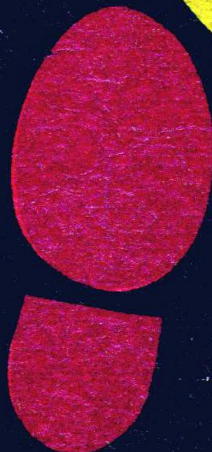


# Karolino nie przeszka-dzaj

Barbara Krzysztoń







Barbara Krzysztoń

# Karolino, nie przeszkadzaj




ISKRY · WARSZAWA · 1976

## 5.VI. środa

Czerwiec w tym roku był wyjątkowo upalny. Od tygodnia słońce prażyło bez miłosierdzia i mieszkańcy miasta z utęsknieniem już spoglądali w niebo w oczekiwaniu na deszcz. Tylko młodzież nic sobie nie robiła z upału. Dziewczyny biegały w króciutkich kolorowych szmatkach, demonstrując opalone kolana, a chłopcy rozpinali wzorzyste koszule i gwizdali na pana Celsjusza. Wszyscy robili plany wakacyjne, a poniektórzy pakowali już ukradkiem worki turystyczne.

Pierwsza gotowała się do wyjazdu we wszystkie cztery strony świata brać artystyczna, ponieważ w Akademii Sztuk Pięknych sesja egzaminacyjna kończyła się o trzy tygodnie wcześniej niż na uniwersytecie. W budynku przy placu Matejki wygasała powoli nerwowa krzątanina. W ciągu kilku najbliższych dni „teren miał zostać oczyszczony” dla nowych adeptów sztuki, którzy po raz pierwszy przekroczą progi szacownej uczelni, aby w dzikim skurczu przerażenia zaprezentować czcigodnej komisji egzaminacyjnej swoje umiejętności.

Ewa Karska, studentka II roku Wydziału Malarstwa, od trzech godzin błąkała się po gmachu akademii w poszukiwaniu profesora Janoty. Zdała już, co miała zdać (nawet niektóre egzaminy w terminie „zerowym”), w indeksie miała powpisywane wszystkie stopnie oprócz... zaliczenia z malarstwa. Bagatela! Przez dziesięć dni Ewa była chora i to bez żadnej blagi, a. właśnie wtedy musiał być w ich pracowni komisyjny przegląd płócien z całego roku. Wiedziała, że dostała ocenę bardzo dobrą, miała ją wpisaną do karty egzaminacyjnej z wszystkimi szykanami, ale w

indeksie rubryka „malarstwo” świeciła białą pustką. No i od trzech dni szukała Janoty. Postanowiła teraz skonać na progu akademii, o ile Janota nie nadejdzie. Jeszcze dzisiaj musi złożyć indeks w dziekanacie, bo jutro... — westchnęła z rozrzewnieniem., myśląc o cudownie spakowanym plecaku i pięknie wypranych dżinsach, które leżały równiutko na jej łóżku w akademiku — tak, jutro o dwunastej (można powiedzieć „w samo południe”) wyjeżdża na obóz wędrowny w Bieszczady, „Nic się nie martw, dogonisz nas na trasie” — powiedziała jej rano Kryśka. Na trasie! Dobra sobie!

— Cześć, bladolica! — wrzasnął jej nad uchem Rysiek.

— Chorowałam... — bąknęła trochę od rzeczy Ewa.

— Ejże? Naprawdę? zapytał kpiąco Rysiek i zaraz zaczął skubać swoją kędzierzawą
brodę. — Czyś ty przypadkiem nie oszalała, z miłości do naszego dziekana?

— Zwariowałeś!

— Sterczysz tu chyba od rana.

— Czekam na Janotę.

— Pod dziekanatem?

— Miał przyjść na posiedzenie w sprawie wstępniaków.

— Posiedzenie już się dawno zaczęło.

— Może się spóźni?

— Może. Lecę, bo Kryśka na mnie czeka. Przyjdziesz wieczorem do Teresy?

— Nie. Zresztą nie wiem.

— Nie łam się, stara! Zobaczymy się u Teresy!

Ewa oderwała się prawie siłą od ściany, którą tak wytrwale podpierała od rana i zaczęła schodzić szerokimi schodami. Naturalnie natychmiast wpadła na Artura.
Nieznośny bufon — pomyślała i chciała go wyminąć, ale na wszelki wypadek zapytała:

— Nie widziałeś Janoty?

— Nie. A tęsknisz za naszym mistrzem z czystej li tylko miłości, czy też masz bardziej prozaiczne ku temu powody?

— Mam do mego interes.

— Interes? Nasza raj ska Ewa prowadzi jakieś interesy z

mistrzem! Uważaj, on już od dawna nie jest Adamem.

— Przestań się wygłupiać. Po prostu nie podpisał mi indeksu, a jutro wyjeżdżam.

— Ach, tak?

— Od trzech dni nie pokazuje się na wydziale. Miał dzisiaj być na posiedzeniu w dziekanacie, ale nie przyszedł.

— Pewnie spił się jak bela i najspokojniej leży teraz w wyrze.

— Jesteś okropny! Jeszcze nie słyszałam, żebyś powiedział o kimś coś miłego albo przynajmniej neutralnego. Wprost ociekasz niechęcią do ludzi.

— Moja mała samarytanko! Mogę cię pocieszyć, że się z tego wyleczysz. To choroba wieku dziecięcego.

— Idiota!

— Hej! Zaczekaj, dokąd lecisz?

— Daj mi spokój ’

— Ten pijus nawet nie wie, że ma takiego adwokata. To cudowne!

Ewa znowu się zatrzymała.

— Czego ty właściwie od niego chcesz? Obszczekujesz go jak rok długi. Robisz mu wśród studentów opinię pijaka i dziwkarza A idioci po tobie powtarzają. Pozwalasz sobie na to chyba tylko dlatego, że jest dla ciebie zbyt pobłażliwy. Niańczy cię, jakbyś był małym geniuszem.

— Nie małym! Tylko nie małym!

— Rzeczywiście, szkoda słów...

— Nie uciekaj. Chcę ci coś poradzić.

— Odczep się!

— Na serio — śmiał się, ubawiony jej oburzeniem. — Dlaczego nie idziesz do nieco do domu?

— Taka mądra to ja też jestem. Sekretarka nie chce mi dać adresu...

Spojrzała na Artura z wahaniem. Wszyscy wiedzieli, że bywał u Janoty w domu.

— Ulica Akacjowa 7, pierwsze piętro. To jest na Zwierzyńcu. Oczywiście nie przyszło ci do głowy, żeby zajrzeć do książki telefonicznej.

— Nie. Dziękuję
— Leć, on lubi blondynki.
— Tak? A ja myślałam, że woli blondynów.
Natychmiast pożałowała, ze to powiedziała.
Mój Boże! Co ja plotę! — Odeszła szybko, żeby nie słyszeć huraganowego wybuchu śmiechu „tego bufona”.
Zanim dojechała na Zwierzyniec i odszukała ulicę Akacjowa, zrobiła się godzina trzecia.
Co za upał — myślała w kółko, wypatrując numeru siódmego. Wreszcie stanęła przed ładną willą otoczoną bujną zielenią. — Jak na wsi — rozmarzyła się i weszła do starannie utrzymanego ogródka.
Do domu prowadziła ścieżka wyłożona równiutkimi płytkami. Niewielka klatka schodowa robiła przyjemne wrażenie. Wisząca na ozdobnym łańcuszku lampa, w rogu kamienna donica z kwiatami, obok mała ławeczka, kolorowe kafle na ścianach.
— Ki diabeł — mruknęła i podeszła do drzwi na lewo od wejścia, żeby przeczytać wizytówkę: Hanna i Zbigniew Ser czy ń s cy . Na drzwiach po prawej stronie druga wizytówka: Doc. Zbigniew Serczyński, neurolog. Przyjmuje poniedziałki, środy, piątki od godz. 17-20”.
— Ano tak, jasna sprawa — obrzuciła klatkę schodową wzrokiem pełnym zrozumienia. Powoli weszła na pierwsze piętro. Kamienna posadzka zalana była słońcem, które wpadało tu przez oszklone dwuskrzydłowe drzwi prowadzące na taras. Oczywiście przytknęła nos do szyby. Trochę z boku na materacu leżał chłopak i opalał plecy. Miał rude włosy. Twarzy nie było widać.
— Szkoda, bo chłopak wygląda całkiem, całkiem... — roześmiała się w duchu z samej siebie.
Wizytówka na drugich drzwiach świadczyła o tym, że znalazła się u celu swojej wędrówki. Nacisnęła dzwonek. Dopiero po dłuższej chwili coś zaszurało i w progu stanął upragniony Janota.
Ewa zaczęła się natychmiast jąkać. Słuchał cierpliwie,

wreszcie powiedział zmęczonym głosem:

— Proszę, niech pani wejdzie.

Przez korytarz wprowadził ją do dużej, jasnej pracowni.

— Przepraszam na chwilę. Muszę umyć ręce.

Wskazał jej wolne krzesło i starannie zaczął wycierać palce szmatką nawilżoną w terpentynie. Potem wyszedł do łazienki.

Ewa rozejrzała się ciekawie. Na sztalugach rozpoczęty obraz, długi stół z heblowanych desek zarzucony farbami, półki, na których leżało nie wiadomo co, jeden zdezelowany fotel, jedno krzesło, jakaś kolorowa zasłona, obrazy ustawione pod ścianą. Bałagan. Dużo wolnej przestrzeni.

W tym momencie zadzwonił telefon.

— Może pani odbierze, bardzo proszę — zawołał z łazienki.

— Halo, słucham? — powiedziała Ewa niepewnie. — Halo? — powtórzyła. Po chwili milczenia odezwał się schrypnięty głos

— Czy to mieszkanie Grzegorza Janoty?

— Tak, proszę chwilę zaczekać.

Janota rzucił ręcznik na fotel.

— Halo?... Tak, słucham — przez chwilę milczał, wreszcie powiedział: — Nie rozumiem, kim pan jest?... Tak... tak... dobrze, będę na pana czekał o piątej. Nie, wcześniej nie mogę. Dobrze, będę sam. — I rzucił słuchawkę na widełki. Ewa doszła do wniosku, że Artur chyba miał rację: „mistrz” był albo chory, albo ciężko skacowany. Jego szaroblada, wymięta twarz nie wyrażała nic poza zmęczeniem.

Taki przystojny mężczyzna, a wygląda jak szmata — pomyślała.

Usiadł w fotelu i przez chwilę patrzył na Ewę ze zdziwieniem, jakby zapomniał, co ona tutaj robi. Potem wyciągnął rękę po indeks. Przejrzał go powoli, wreszcie zaczął szukać czegoś do pisania. Sprawiał wrażenie, jakby myślał zupełnie o czymś innym.

Gdzieś w mieszkaniu trzasnęły drzwi i nagle do pokoju wszedł jak zwykłe ironicznie uśmiechnięty Artur. Dopiero teraz Ewa zauważyła, że w pracowni są drugie drzwi.

— Cześć! — Artur nie bawił się w długie powitania. — Kuchenne wrota jak zwykle gościnnie otwarte. Czyżbyś jednak romansował z gosposią od doktorostwa? Prawdę mówiąc od dawna cię o to podejrzewałem..

Janota nie raczył odpowiedzieć. Spojrzał przeciągle na chłopca, potem uśmiechnął się do Ewy.

— Przepraszam, że to tak długo trwało, ale nie mogłem znaleźć długopisu — i pochylił się nad indeksem.

— Stary obłudnik. Nie wierz mu, Ewo. Chciał cię jak najdłużej zatrzymać w swojej jaskini. On przepada za blondynkami.

— Artur, mam cię serdecznie dosyć — powiedział Janota, wręczając dziewczynie indeks. Ewa była zmieszana. Nie przypuszczała, że stosunki między panami są aż tak zażyłe. Jak najszybciej usiłowała schować indeks, ale jak to bywa, kiedy człowiek się śpieszy, nie mogła sobie poradzić z zamkiem w swojej myśliwskiej torbie. Bąkała „dziękuję” i „przepraszam”, tymczasem Artur stawał się coraz bardziej napastliwy.

— Dosyć? — cedził powoli. — Nagoniłem ci taką ładną dziewczynę, a ty masz mnie dosyć?

— Bardzo cię proszę, uspokój się.

— Nieładna? — szarpnął ją za łokieć i naturalnie wszystkie rzeczy z torby wysypały się na podłogę. Ewa zaczęła je pośpiesznie zbierać.

— Wyjdź stąd! — Janota podniósł głos.

— Chyba nie mówisz tego do tej pani?

— Mówię do ciebie. Prosiłem cię, żebyś tu nie przychodził. Oddaj klucz od pracowni i nie pokazuj mi się więcej na oczy!

— Jeszcze nie dokończyliśmy wczorajszej rozmowy Chciałbym...

— Uważam ją za skończoną! Nie mam ci już nic więcej do powiedzenia. I nie zmienię mojej decyzji!

— Więc wyrzucasz mnie? Mnie też?

— Co to znaczy „mnie też”? — głos Janoty niebezpiecznie się załamywał.

Ewa złapała torbę pod pachę i już była przy drzwiach.

Kiedy szamotała się z zamkiem, usłyszała jeszcze krzyk Janoty: „Wynoś się!” Zbiegła szybko po schodach. Odetchnęła dopiero w schludnym ogródku doktora Serczyńskiego.

Och, to nic... Co mnie to obchodzi — myślała, idąc w stronę przystanku tramwajowego. Miała jednak ochotę wrócić i wyrzucie Artura z pracowni przez okno.

## 6.VI. czwartek

Na drugi dzień Ewa już o ósmej rano złożyła indeks w dziekanacie. Natychmiast poczuła się radośnie wolna. Zaczęty się wakacje! Kupiła kilogram truskawek i wróciła do akademika, gdzie przystąpiła do przepakowywania plecaka. Kryśka ćpała truskawki i od czasu do czasu rzucała w przestrzeń pytania: „Nici wzięłaś? ‘, „A nożyczki?”. O dziewiątej wpadł Rysiek. Cisnął swój worek na środek pokoju, przez chwilę krytycznie obserwował zabiegi Ewy wreszcie zakomunikował:

— Dziewczyny, idziemy na kawę! I to natychmiast! Jeżeli ta furiatka po raz trzeci rozpakuje plecak, spóźnimy się na pociąg.

— Zaraz, zaraz, muszę jeszcze zasznurować...

— Daj, ofiaro, tylko żebyś już niczego nie wyjmowała.

Kryska w sekundę była gotowa, ale Ewa dalej grzebała w swojej nieodstępnej torbie myśliwskiej.

— Ewuniu, idziemy — Rysiek był nieugięty.

— Zaraz! Szukam biletu kolejowego!

— Masz czas, dziewczyno. Pociąg odjeżdża dopiero o dwunastej, nie panikuj!

— Zaczekaj... Nie wiem, gdzie go wsadziłam... O Boże! — powiedziała Ewa i wysypała zawartość torby na łóżko.

— No to cześć! — Rysiek usiadł na wolnym krześle i zapalił papierosa. — Tylko spokojnie. Przypomnij sobie, gdzie go schowałaś.

— Bo dowodu osobistego... ale dowodu też nie mam. Teraz już cala trójka przerzucała drobiazgi leżące na łóżku. Po krótkiej naradzie doszli do wniosku, że Ewa „posiała” dowód w tramwaju albo w dziekanacie, albo na ulicy, albo u Teresy, albo zupełnie gdzie indziej.

— Wiem! Kiedy byłam u Janoty, wysypałam graty z torby na podłogę. Dowód musiał u niego zostać!

— Tylko spokojnie — powtórzył Rysiek. — Wsiadaj w taksę i jedź do Janoty. Kryska, leć do dziekanatu. Ja skoczę do Teresy.

— A jak się nie znajdzie? Przecież bez dowodu nie wyjadę. W żadnym schronisku nie będę mogła się zameldować.

— Nie martw się. W najgorszym razie dogonisz nas na trasie — pocieszyła ją przyjaciółka.

— Ty znowu swoje!

— Dziewczyny, nie ma o czym gadać. Lecimy. Spotkamy się u Michalika bez względu na porę.

— No, niezupełnie... — powiedziała Kryśka.

— Oczywiście do godziny jedenastej. Potem lecimy do akademika po rzeczy. W każdym razie o wpół do dwunastej wychodzimy na dworzec. Na pewno zdążysz.

Ewa znowu stanęła pod willą państwa Serczyńskich. Cisza, spokój, upał jak wczoraj. W ogródku pusto. Wbiegła na pierwsze piętro. Nikt nie odpowiadał na dzwonek. Raz, drugi, trzeci... — cisza... Zeszła na dół. Zadzwoniła do Serczyńskich, potem do gabinetu doktora. Co jest u licha, wszyscy poumierali? — zaklęła w duchu. Stała rozglądając sic. bezradnie i Już jej się zdawało, że słyszy z daleka stukot odjeżdżającego pociągu... „Nic się. nie martw, dogonisz nas na trasie” — mówiła Kryśka machając do niej z okna.

Larwa! — pomyślała ze złością i z furią zapukała do trzecich drzwi, na których nie było żadnej wizytówki. Oczywiście cisza. Nacisnęła klamkę. Weszła do wąskiego, długiego korytarza. Na lewo znowu jakieś drzwi, dalej wąskie schody, prowadzące prawdopodobnie na pierwsze

piętro i wreszcie u wylotu oszklone drzwi do ogrodu. „Kuchenne wrota”
przypomniała sobie Artura i wyszła na dwór. Znalazła się w ogrodzie położonym na tyłach domu.

— Pani kogoś simka? — odezwał się z boku kobiecy głos. Na trawniku, pod bujnym krzakiem jaśminu, siedziała na leżaku przystojna brunetka w średnim wieku.

— Tak. Przepraszam, że aż tutaj zawędrowałam, ale szukam pana profesora Janoty.

— Mieszka na pierwszym piętrze — stwierdziła obojętnie i nałożyła przeciwsłoneczne okulary.

— Tak, byłam tam, ale nikt nie odpowiada na dzwonek.

— Widocznie nie ma go w domu.

— Czy pozwoliłaby mi pani skorzystać z telefonu?

Brunetka nie ukrywała zdziwienia. Ewa w popłochu zaczną wyjaśniać „swoją tragiczną sytuację”. Pani słuchała z umiarkowanym zainteresowaniem.

— Proszę zadzwonić do mieszkania na parterze. Otworzy pani gosposia.

— Już dzwoniłam. Nie ma nikogo w domu.

Pani Hanna Serczyńska (bo któż to mógł być inny) z westchnieniem wstała z leżaka. W dziekanacie nikt nie wiedział o Janocie, Sekretarka poirytowanym tonem wyjaśniła, że miał być, ale jeszcze nie przyszedł. „Od trzech dni się nie pokazuje”. Na pytanie, czy nie znaleziono wczoraj w dziekanacie dowodu osobistego Ewy Karskiej, odpowiedziała krótko: „Nie, proszę się poinformować u woźnego” i odłożyła słuchawkę. Ewa z rozpaczą spojrzała na zegarek. Było już piętnaście po dziesiątej. Pani Serczyńska poprawiła przed lustrem włosy i obojętnie stwierdziła;

— Ma pani pecha, moja mała.

W drzwiach spotkały gosposię wracającą z zakupów. Ryła to wysoka, dobrze zbudowana kobieta, o ponurym, zaciętym wyrazie twarzy. Spojrzała niechętnie na panią doktorową i obrzuciła ciekawym wzrokiem Ewę.

— Zostawiła pani otwarte mieszkanie — rzuciła przez ramię pani Serczyńska. Ewa nie miała odwagi zapytać

gosposi o Janotę, wyszła więc przez frontowe drzwi i usiadła na kamiennej poręczy schodków. Siedziała może piętnaście minut, coraz częściej spoglądając na zegarek, kiedy na ścieżce prowadzącej od ulicy zobaczyła Artura.

Tylko jego tu brakowało! — pomyślała ze złością, ale natychmiast się zmitygowała. Artur mógł jej pomóc! Wprawdzie serdecznie się ubawił jej kłopotami, jednak w końcu skinął wspaniałomyślnie ręką.

— Chodź, mała. Stary na pewno jest w domu. Gdzie by go wyniosło o tak wczesnej porze. Skoro nie ma go na akademii, musi siedzieć w swojej jaskini.

Walił prosto korytarzem do tylnego wejścia.

— Jak będziesz tu częstym gościem, nauczysz się korzystać z tych schodów. Prowadzą wprost do pracowni, ku szalonej radości pani Marianny. Może poznałaś już tę wytworną damę, która dla niepoznaki zajmuje się gospodarstwem doktora, choć taktycznie oddaje się nieustannej adoracji mistrza?

Plótł tak trzy po trzy, wspinając się lekkim krokiem po wąskich stopniach. Ewa miała ochotę odpowiedzieć mu coś takiego, żeby „zwaliło go z nóg”, ale postanowiła jednak nie odzywać się. Artur bez pukania nacisną! klamkę, a kiedy drzwi okazały się zamknięte, walnął w nie dwa razy pięścią. Potem odwrócił się do Ewy.

— No i co teraz będzie? Zdaje się, że jednak nie wyjedziesz dzisiaj w te swoje Bieszczady.

— Nie wiesz, gdzie on może być?

— Nie. O tej porze powinien oddawać się „radosnej twórczości” albo kurować głębinowego kaca. Trzecia ewentualność nie wchodzi w rachubę.

— Widocznie jednak wchodzi... Ja się zabiję... — Ewa usiadła z rozpaczą na schodach.

— Cicho, mała, wujek Artur wie, co robi — powiedział stanowczym tonem i z rozmachem kopnął wycieraczkę. — Nie zostawił klucza — mruknął. — Tylko nie becz. Nie znoszę łez. A teraz popatrz na swojego Jamesa Bonda: — i otworzył małe okienko, przez które zwinnie wydostał się na zewnątrz.

— Coś ty! — krzyknęła Ewa.

— Cii! Nie przeszkadzaj w akcji! — odpowiedział, trzymając się parapetu i zniknął. Ewa rzuciła się do okna. Odetchnęła z ulgą. Oczywiście nie było mowy o chodzeniu po gzymsie czy czymś w tym rodzaju. Po prostu stał spokojnie na niewielkim balkonie i przesyłał jej bezczelnego całusa.

— Zaraz przyniosę ci ten twój dowód osobisty, żebyś mogła wyjechać z jakimś długowłosym troglodytą, zostawiając mnie z rozdartym sercem! — zawołał.

Ewa znowu usiadła na schodach. Spojrzała na zegarek. Za kwadrans jedenasta!

Szybko, szybko — dopingowała w myślach Artura. — Szybciej!

Wtedy usłyszała brzęk tłuczonego szk[1]a.

— Idiota! — krzyknęła i ponownie rzuciła się do okna. Na balkonie nikogo już nie było. — Idiota — powtórzyła bezradnie, szybko obliczając w myślach, ile ją będzie kosztowało wprawienie nowej szyby. Przez dłuższą chwilę panowała idealna cisza, a potem zazgrzytał zamek w drzwiach Janoty.

— Masz dowód? — zerwała się ze schodów.

Ale Artur milczał i miał jakąś dziwną minę. Ironiczny grymas zniknął z jego twarzy. Wydawało się, że patrzy na dziewczynę z przerażeniem. Kiedy zrobiła ruch, jakby chciała wejść do środka, złapał ją za ramię.

— Raczej nie wchodź tam!

— Coś ty?...

— Nie wchodź... to nie jest widok dla ciebie...

Ewa poczuła, że nagle robi jej się zimno...

— Ktoś... ktoś go załatwił... i to na amen...

Pchnęła drzwi gwałtownie.

Wygłupia się jak zwykle — pomyślała ze złością i przez mały korytarzyk wbiegła do pracowni.

Twarzą do ziemi, w kałuży czegoś czarnego, leżał Janota. Bujne szpakowate włosy na potylicy sklejone były czymś obrzydliwym... Otwarta dłoń o sinych paznokciach i czubkach palców.. Ewie zrobiło się niedobrze. Cofnęła się,

przerażona.

— Mówiłem ci — powiedział cicho Artur. Stał tuż za nią. Na podłodze poniewierały się rozdeptane tuby ornych farb, nie dokończony obraz leżał obok wywróconych sztalug.

— Chodźmy stąd, błagam cię, chodźmy stąd! — bełkotała Ewa. Zatrzymała się jednak w progu. — Zadzwoń na pogotowie, może on jeszcze...

— Nie. Lekarz już mu nie pomoże. Zadzwonimy na milicję z dołu, od Serczyńskich.

Ewa powoli wracała do siebie. Siedziała w niewielkim saloniku państwa Serczyńskich i mimo upału wiewającego się przez otwarte drzwi z tarasu, trzęsła się jak w febrze. Artur, rozwalony obok w fotelu, kopcił jak lokomotywa te swoje sporciaki, ale na szczęście przestał pyskować. Ewa zupełnie straciła rachubę czasu. Wydawało jej się, że siedzi tu już całe wieki.

Kapitan Derko wysłuchał w milczeniu chaotycznej opowieści, zadał dwa, może trzy pytania, przyjrzał się jej bardzo uważnie i powiedział”

— No, dobrze. Niechże się pani uspokoi. Potem jeszcze porozmawiamy — i zwrócił się do pani Serczyńskiej. — Może pani będzie tak uprzejma i da tej małej filiżankę herbaty albo kawy?

— Ależ oczywiście! Czego się pani napije?

— Niczego... dziękuję ..

— No, śmiało, proszę posiedzieć. Kawy?

— Tak. Kawy — zgodziła się Ewa potulnie. Pani doktorowa wstała i z wyraźną ulgą opuściła pokój.

— Teraz proszę sobie tu spokojnie posiedzieć i już się nie denerwować. Musimy jeszcze raz wszystko dokładnie omówić, ale na razie niech pani odpocznie i postara się chwilowo o tym nie myśleć. Z panem — zwrócił się do Artura — również chciałbym porozmawiać, więc proszę nic opuszczać tego domu.

Derko wyszedł, a w ślad za nim pośpieszył jak cień

podporucznik, który wydał się Ewie o wiele sympatyczniejszy od kapitana. Może dlatego, że był jeszcze bardzo młody i robił wrażenie „cywila”, który zupełnie przypadkowo trafił do tego domu i usiłuje w czymś pomóc, ale nie bardzo wie, w czym ani jak. Nawet nie był przystojny, tylko po prostu sympatyczny. Nachmurzona pani Marianna przyniosła dzbanek pełen gorącej kawy i dwie filiżanki. Z sąsiedniego pokoju dolatywały strzępy rozmowy telefonicznej. To Dani Serczyńska domagała się od męża natychmiastowego powrotu do domu.

— Musisz jak najszybciej przyjechać! Dom pełen milicji... Stefan niedługo wróci ze szkoły...

Ewa nasłuchiwała odgłosów krzątaniny dochodzącej z klatki schodowej. Potem zaczęła myśleć o Bieszczadach i ze zdziwieniem stwierdziła, że w ogóle nie ma ochoty na żaden obóz wędrowny. Chce jechać do domu...

— Mówiłaś coś? — zapytał Artur.

— Nie.

— Wiesz, to się musiało stać jeszcze wczoraj. Może zaraz po naszym wyjściu?

— Nie wyszliśmy razem. Ty zostałeś, żeby dalej męczyć tego człowieka.

— Oczywiście! Dręczyłem go, dręczyłem, a potem chwyciłem jakiś ciężki przedmiot i rozwaliłem mu łeb. Stary drań. Nic mi go nie żal,

— Czy nawet teraz musisz gadać takie głupstwa?

— Pora na epitafium, moja mała, a on zasłużył sobie na najparszywsze.

— Może mi zaoszczędzisz wysłuchiwania tego?

— W porządku. Już nie powiem ani słowa. Koniec z mistrzem Janotą Finita *la commedia*.

Artur nalał sobie kawy i trzymając filiżankę w jednej ręce, papierosa w drugiej, stanął w
otwartych drzwiach do ogrodu. Pił odwrócony tyłem do pokoju, a potem postawił pustą filiżankę na parapecie i dalej patrzył w ogród. W prześwicie miedzy drzewami widać było fragment ulicy.

— Idzie synalek gospodarzy — powiedział. —Poznasz za chwilę wyjątkowego gnoja.

Ale synalek jakoś się nie pokazywał. Ewa nagle podniosła głowę.

— Telefon!

— Co? Dzwoni? Nie słyszałem.

— Nie, wtedy... — i przerwała.

— No, mów do rzeczy — niecierpliwił się Artur.

— Nic takiego... coś sobie przypomniałam...

— Kiedy byłaś u Janoty, ktoś telefonował?

— Nie, nie o to chodzi... — Ewa usiłowała nadać swojemu głosowi lekceważący ton.

— Dobra, dobra, możesz nic mówić. — Znowu zapatrzył się w ogród — Po twoim wyjściu też ktoś zadzwonił. Ale się nie odezwał. Słyszałem, jak oddychał, ale nie chciał się odezwać. Po chwili się wyłączył.

— Dlaczego ty podniosłeś słuchawkę?

— Jak to dlaczego? — Artur odwrócił się i spojrzał z uwagą na Ewę. — Ach, rozumiem! — Roześmiał się, pierwszy raz od chwili ich fatalnego odkrycia, i usiadł z rozmachem w fotelu. — Janota nie mógł odebrać telefonu, bo w tym czasie leżał na podłodze z twarzą w kałuży krwi! Tak pomyślałaś? Jesteś pyszną dziewczyną! Coraz bardziej mi się podobasz!

Weszła pani Marianna. Zebrała puste filiżanki. Była czymś zaniepokojona. Wyjrzała przez okno, potem zwróciła się do Artura.

— Gdyby Stefcio wrócił, proszę mu powiedzieć... — spojrzała ponuro na Ewę — zresztą nic... Sama mu powiem.

— Stefcio już żeglował w stronę chaty, ale biedy zobaczył wozy milicyjne, musiał dać nogę, bo go do tej pory nie widać,

— Niby dlaczego miałby uciekać? Widocznie to nie był on.

— On, on. Jestem tego pewien.

— A jednak musiał się pan pomylić! — powiedziała patrząc na niego z wściekłością.
W ogóle radzę panu, żeby dał mu pan spokój.

Artur wzruszył ramionami.

— Nie obchodzi mnie ten smarkacz.

— To dobrze. Cieszą się, że już pan nie będzie przychodził do tego domu.

— Dlaczego? Nie mógłbym, żyć bez uroczych spotkań z panią!

Pani Marianna zacisnęła wąskie usta i wyszła, z pasją strzelając drzwiami.

— Wyobrażasz sobie, że to babsko jest jednak zdolne do ludzkich uczuć? Niestety, zlokalizowała swoje afekty dość niefortunnie. Jej pupilem jest Stefcio. Biedna dziecina!

— Dlaczego biedna?

— Jego mateczka nawiała od starego. Ojciec ożenił się powtórnie z panią Hanką, Zresztą chyba zauważyłaś, że ona jest za młoda na matkę dziewiętnastoletniego byka.

— Czy Stefcio jest rudy?

— Tak. Widziałaś go?

— Nie... Tak mi przyszło do głowy.

Kapitan Derko zainstalował się chwilowo w gabinecie doktora Serczyńskiego, który wrócił już ze szpitala i, zakłopotany, krążył po mieszkaniu. Kapitan do spółki z porucznikiem Bartkowskim przeprowadzał wstępne rozmowy z domownikami, których kolejno proszono do gabinetu.

Najpierw gospodarze. Pani Hanka nie potrafiła niczego powiedzieć. Wczoraj od dziesiątej rano do osiemnastej była poza domem. Miała zamówioną wizytę u fryzjera i u kosmetyczki, potem wstąpiła z przyjaciółką na kawę. Po powrocie do domu nie widziała Janoty. Niczego nie słyszała. Wieczorem przyszli goście na brydża. Sześć osób. Siedzieli w saloniku, ale ze względu na wyjątkowo ciepłą noc zostawili szeroko otwarte drzwi Może ktoś z gości wychodził do ogrodu. Nie wie.

Zeznania doktora Serczyńskiego były o wiele ciekawsze. Do godziny piętnastej czterdzieści był w szpitalu. Do domu wrócił o szesnastej. Na górny taras nie wychodził, do ogrodu również. Janoty tego dnia nie widział, to znaczy, owszem,

spotkał go wychodząc z domu, o ósmej rano. Janota wracał właśnie z zakupów, niósł w ręce torbę z bułkami. Minęli się w furtce ogrodowej, Janota zatrzymał się na chwilę i powiedział: ,.Panie doktorze, chciałbym z panem porozmawiać” i dodał natychmiast: „Nie, nie w tej chwili. Wpadnę, do pana po południu albo wieczorem”.

— Czy wspomniał, w jakiej sprawie chce się z panem zobaczyć?     zapytał Derko.

— Nie. Nie zapytałem go o to. Bardzo się śpieszyłem, więc odpowiedziałem „proszę bardzo” czy coś w tym rodzaju i wsiadłem do samochodu. Po południu już go nie widziałem.

— Nie przyszedł?

— Nie.

— A pan nie próbował się z nim skontaktować? Mógł mieć do pana jakiś ważny interes.

— Panie kapitanie. Wczoraj miałem bardzo pracowity dzień. W środę, jak pan wie, przyjmuję prywatnych pacjentów. Po powrocie do domu zapytałem Mariannę, czy Janota sio nie zgłaszał, ale podobno nie było go. Widocznie zapomniał albo... — Serczyński zawahał się
— albo już nie mógł przyjść...

— No tak... proszę mi powiedzieć, ilu miał pan wczoraj pacjentów?

— O ile dobrze pamiętam, siedmiu. Skończyłem za piętnaście ósma. Bardzo się śpieszyłem, ponieważ o ósmej mieli przyjść goście. Niestety, Hania urządziła brydża akurat w dniu, w którym przyjmuję prywatne wizyty.

— Może pan będzie taki uprzejmy i jeszcze raz opowie dokładnie, o ile to możliwe, podając czas do minuty, co pan robił od momentu powrotu do domu.

— Nie wiem, w czym to panu może pomóc, ale skoro pan sobie życzy... Więc jak już wspomniałem, wróciłem o godzinie czwartej.

— Punktualnie?

— No wie pan... Naprawdę nie posługuję się stoperem. Według mnie była czwarta, czyli szesnasta, jak pan woli — dodał z leciutką ironią.

— Słucham, słucham dalej.

— Nie zastałem nikogo w domu. Żona wróciła dopiero o szóstej. Poszedłem do łazienki...

— A pozostali domownicy?

— Stefcio pojawił się tuż przed obiadem, a Marianna chyba była w kuchni. Zresztą nie wiem. Po wyjściu z łazienki zajrzałem do kuchni, ponieważ chciałem zapytać, kiedy będzie obiad, ale nie zastałem jej tam.

— Gdzie mogła się znajdować?

— Nie wiem. Może wyszła do ogrodu albo do swojego pokoju?

— Długo był pan w łazience?

— Jakieś dziesięć minut. Nie dłużej.

— Więc mniej więcej koło godziny szesnastej dziesięć zajrzał pan do kuchni i stwierdził, że Marianna gdzieś wyszła?

— Tak. Tylko niech pan z tego nie robi jakiegoś problemu. Mogła przecież...

— Nie robię z tego żadnego problemu. Proszę mówić dalej. Co pan potem zrobił?

— Usiadłem na małym tarasie na leżaku i czytałem gazetę.

— Dlaczego pan przerwał? Nad czym się pan zastanawia?

— Widzi pan, kiedy wyszedłem na taras, usłyszałem głosy dochodzące z góry.

— Jak pan zapewne zauważał, nad naszym tarasem, trochę z boku, wychodzi duże okno z pracowni Janoty. Wczoraj, zresztą tak jak i dzisiaj, był potworny upał i okna zarówno w pokoju, jak i w pracowni Janoty były ot warte. U nas w mieszkaniu było cicho, więc bardzo dokładnie słyszałem, co się dzieje na górze. Zresztą oni mówili podniesionymi glosami. Po prostu kłócili się.

— Oni? To znaczy kto?

— Tego nie wiem. Janota i jakiś mężczyzna.

— Nie rozpoznał pan tego głosu?

— Nie... Naprawdę nie znam przyjaciół Janoty.

— Na jakiej podstawie pan sądzi, że to był jego przyjaciel?

— Ponieważ ten mężczyzna powoływał się na ich przyjaźń.

Nie pamiętam dokładnie, jak to powiedział, ale żądał czegoś w imię ich dawnej przyjaźni.

— Nie potrafi pan powiedzieć, czego się domagał?

— Chyba pieniędzy... Zresztą nie wiem... W każdym razie była mewa o pieniądzach, Kiedy wyszedłem na taras, ta kłótnia musiała już trwać od dłuższego czasu. Ten mężczyzna krzyczał: „Wiesz, że nie mam więcej pieniędzy. Chcesz mnie wykończyć?!" Janota odpowiedział mu również podniesionym głodem: „Dałem ci tygodniowy termin. Jutro mam dostać od ciebie całą sumę. Nic będę dłużej czekać!" Wtedy tamten coś powiedział o przyjaźni, i Janota po prostu ryknął: „Dajcie mi spokój z waszą przyjaźnią! Drogo każecie mi za nią płacić". Być może nie powtarzam tego zbyt dokładnie, ale ta burzliwa wymiana zdań mniej więcej tak wyglądała.

— Z tego wynika, że to Janota żądał pieniędzy, a nie ten nie rozpoznany przez pana mężczyzna?

— Chyba tak...

— I to było już wszystko?

— Nie, mówił coś jeszcze, ale przestałem na nich zwracać uwagę. Byłem zły, że we własnym domu nie mogę trochę odpocząć. Usiłowałem czytać gazetę. W pewnym momencie usłyszałem, że jeden z nich głośno się śmieje. To nie był chyba Janota. Pomyślałem nawet, że teraz się wreszcie uspokoją, ale dopiero wtedy nastąpił prawdziwy wybuch. Ten mężczyzna, bo to on chyba się śmiał, powiedział: „A jednak nie dostaniesz ode mnie ani grosza. Jesteś fałszerzem, Janota!" Któryś z nich rzucił czymś ciężkim albo potrącił jakiś mebel i coś spadło na podłogę. Janota zaczął przeraźliwie krzyczeć: ,.Wynoś się, wynoś się, wyjdź stąd natychmiast!" Tamten śmiał się. Chyba zaczęli się szamotać. Byłem wściekły. Chciałem już wstać i iść na górę, zażądać bezwzględnego spokoju albo zamknąć się w swoim gabinecie i nie słuchać tego wszystkiego, ale nagle się uspokoili. Zapanowała cisza, którą powitałem z ulgą. Siedziałem na tarasie jeszcze przez chwilę,

— Proszę mi powiedzieć, jak długo mogła trwać ta kłótnia?

— Nie wiem. Ja słyszałem tylko krótki fragment kontowy. Kiedy chciałem wstać z leżaka, spojrzałem na zegarek. Po prostu zacząłem się denerwować, że Marianna nie podaje jeszcze obiadu. Było piętnaście po czwartej. Zaraz potem zapanował na górze spokój, więc tylko przez pięć minut byłem mimowolnym świadkiem tej awantury. Potem czytałem gazetę i nie zwracałem już uwagi na to, co się dzieje u Janoty.

— Czy na pewno Janota powiedział: „Dajcie mi spokój z waszą przyjaźnią?” Chodzi mi o to, czy użył liczby mnogiej? Powinien powiedzieć: „Daj mi spokój z twoją przyjaźnią”.

— Tak. To samo wtedy pomyślałem. Ale jestem pewny, że użył liczby mnogiej.

— Proszę się dobrze zastanowić.

— Jestem przekonany, że tak powiedział.

— Czy jest pan również pewien, że ten mężczyzna użył słowa „fałszerz”? Może powiedział: „jesteś oszustem”? Albo użył jakiegoś innego określenia?

— Nie. Powiedział: „Jesteś fałszerzem, Janota”.

— Długo pan jeszcze przebywał na tarasie?

— Około dwudziestu minut. Pięć po wpół do piątej Stefcio wrócił ze szkoły. Widziałem go, jak przechodził przez pokój. Torbę z książkami cisnął na fotel i poszedł chyba do łazienki, ponieważ po kilku minutach wrócił z mokrą głową. Wtedy pojawiła się również Marianna i zaczęła nakrywać do stołu. Była godzina szesnasta czterdzieści. To wiem na pewno, ponieważ zacząłem robić Mariannie wyrzuty, że spóźnia się z obiadem. Tego dnia chciałem punktualnie zacząć przyjmować pacjentów. Jak już panu wspomniałem, śpieszyłem się, ponieważ o ósmej mieli przyjść goście.

Doktor Serczyński nie potrafił niczego więcej powiedzieć. Lokatorem nie interesował się. Był zbyt zajęty: szpital, prywatna praktyka, dom i obowiązki towarzyskie, nie wykraczające zresztą poza środowisko lekarskie. Oczywiście sporządzi spis gości, wprawdzie jest mu bardzo nieprzyjemnie,

że jego znajomi będą przesłuchiwani przez milicję, ale trudno, rozumie, że nie da się tego uniknąć. Do Janoty przychodzili różni ludzie. Nie, nie zna jego przyjaciół. Owszem, Janota był u nich kilka razy w domu, ale właściwie nie utrzymywali z nim stałych stosunków towarzyskich. Czy pił? Chyba nie. Nie, nie było u niego żadnych pijackich burd. Chociaż ostatnio, odkąd pojawił się pan Artur, czasem dochodziły z góry odgłosy wesołej zabawy. Ale nic takiego. Głównie słychać było Artura i kilka razy jakieś dziewczyny. To bezczelny chłopak. Owszem, zna go, trudno było tego uniknąć. Zresztą w jakiś sposób skumał się z jego synem. Kiedy pojawił się Artur? Chyba ze dwa lata temu. Najpierw zachowywał się całkiem spokojnie. Nic było go prawie widać. Czasem doktor spotykaj go na klatce schodowej. Potem zaczął się wszędzie panoszyć. Opalał się w ogrodzie, chociaż ogród jest do wyłącznej dyspozycji państwa Styczyńskich. Czasem widywano go na górnym tarasie. Kto jeszcze przychodził? Przystojna pani w średnim wieku. Nazywa się... nazywa się chyba Skrzyska, Tak, poznał ją kiedyś. Podobno historyk sztuki. Nie, to nie był romans. W każdym razie nie wyglądało na to. To prostu przyjaciółka czy znajoma. Dawno jej nie widział. Nie pamięta, kiedy.

— Niestety, nie potrafię panu powiedzieć, czy Janota miał jakąś... sympatię. Ale chyba nie miał nikogo. Wcześniej czy później musiałbym ja spotkać rano na schodach albo widziałbym, że wchodzi do domu. Niewiele mogę powiedzieć o prywatnym życiu mojego lokatora. To był spokojny człowiek.

— Czy pański syn wrócił już ze szkoły?

— Nie. Prawdopodobnie wstąpił do kolegi. Ale o czym chce pan z nim rozmawiać? On przecież nic nie wie.

— Sam pan powiedział, że zaprzyjaźnił się z Arturem Kosterą. Sądzę, że bywał w pracowni pana Janoty?

— Nie. Na pewno nie. Zresztą z Arturem nie łączyła go przyjaźń. Starałem się usunąć go nieco spod wpływów tego chłopca. To nie był odpowiedni kolega dla mojego syna.

— Może spotykali się bez pańskiej wiedzy? Zresztą to nieistotne. Proszę mi podać nazwiska i adresy wczorajszych

pacjentów.

Serczyński ostro zaprotestował.

— To jest tajemnica gabinetu lekarskiego!

— Co jest tajemnicą? Że byli u pana? Przecież prowadzi pan oficjalną praktykę prywatną. Nie wchodzi się do pana w czapce niewidce.

— Ale nie mam obowiązku informować pana, że pani X leczy się u mnie.

— Przecież nie pytam o diagnozę. Nic interesuje mnie, na co leczy się pani X, tylko jaki jest jej adres.

— Panie kapitanie, proszę wyłączyć z tej sprawy moich pacjentów. Naprawdę nie chciałbym, żeby byli nachodzeni przez milicję. Oni nie mają z tym wszystkim nic wspólnego.

— Niestety, nie mogę spełnić pańskiej prośby. W tym domu popełniono morderstwo. Któryś z pańskich pacjentów mógł widzieć osobę schodzącą z pierwszego pietra. Mógł spotkać się oko w oko z mordercą.

Doktor Serczyński milczał zakłopotany.

— Na klatce schodowej zauważyłem małą ławeczkę. Kto z niej korzysta?

— Poczekalnia jest bardzo mała. Bywa w niej ciasno. Czasem pacjenci wychodzą na schody na papierosa. — Serczyński pokiwał głową. — No tak, dam panu spis pacjentów.

— Dziękuję. To byłoby na razie wszystko

Derko po wejściu doktora podszedł na chwilę do okna.

— Ale upał — powiedział i spojrzał na podporucznika Zieję, który siedział z boku i z przejęciem coś notował. Derko mrugnął porozumiewawczo do porucznika Bartkowskiego, który lekko się uśmiechnął i powiedział półgębkiem:

—Lubię pilnych uczniów.

— Słucham? —Zieją zamrugał ze zdziwieniem swoimi niebieskimi oczami.

— Mówię o Stefciu Serczyńskim, który tak niechętnie rozstaje się ze swoją szkołą.

Derko chrząknął ostrzegawczo.

— Dawaj tę gosposię — powiedział siadając za biurkiem.

Zanim jednak wezwano Mariannę Korneluk, drzwi się otworzyły i do gabinetu, wszedł lekarz sądowy.
— Na razie skończyłem. Zabieram go.
— Dobrze. No i co powiesz?
— Nic nowego. Tylko to, do czego sam mogłeś dojść. Cios zadano tępym narzędziem, prawdopodobnie mosiężnym świecznikiem, który leżał pod stołem. Ofiara przed, uderzeniem musiała stać odwrócona plecami do napastnika, który był mniej więcej tego samego wzrostu, praworęczny i prawdopodobnie dosyć dobrze zbudowany albo działał pod wpływem silnego afektu. Śladów walki nie stwierdziłem, alkoholu we krwi denata również nie stwierdziłem. Zresztą dostaniesz protokół autopsji. Dokładny opis i resztę szczegółów po sekcji.
— Kiedy?
— Co kiedy?
— Kiedy nastąpił zgon? — zapytał Derko i znając doktora Ligęzę dodał natychmiast — oczywiście w przybliżenia.
— No myślę, że w przybliżeniu. Przed sekcją i przeprowadzeniem niezbędnych analiz nie pawiem ci nic konkretnego. Więc zgon nastąpił wczoraj między godziną jedenastą a siedemnastą trzydzieści.
— Nie możesz uściślić?
— Mogę, ale jutro.
— A nie dzisiaj?
— Nie żartuj! — doktor Ligęza zatrzymał się jeszcze w drzwiach. — Aha, ale cios mógł być zadany wcześniej. Bardzo możliwe, że facet leżał jakiś czas nieprzytomny, zanim się nie wykrwawił.
— Ile wcześniej?
— Skąd mogę wiedzieć?
— A może później?
— Co to znaczy: później?
— Po godzinie siedemnastej trzydzieści.
— Raczej nie. Jutro odpowiem ci na wszystkie pytania. Cześć! — I Ligęza wyszedł.
Derko zwrócił się do podporucznika Ziei.

— Poruczniku, dopilnujcie, żeby ekipa odjechała stąd jak najszybciej. Niech sierżant Srocki zabierze nasz samochód spod domu i zaparkuje gdzieś dalej, powiedzmy, przy. ulicy Kasztanowej. Reszta wozów — odjazd. Może ten smarkacz, jak zobaczy, że samochody odjechały, wróci wreszcie do domu. A my — skinął na porucznika Bartkowskiego — zajrzymy jeszcze raz na górę.

Kapitan Derko wszedł do saloniku, w którym siedziała Ewa i Artur.

— Jak. się pani czuje?

— Już dobrze... — utkwiła w nim pytające spojrzenie. — Chciałbym panią prosić i pana również, żebyście państwo poszli z nami na górę.

— Po co? — zapytał arogancko Artur.

— Pan był częstym gościem pana Janoty, a poza tym obydwoje byliście wczoraj w pracowni. Chciałbym, żebyście spokojnie obejrzeli pokój i powiedzieli, co się w nim zmieniło od wczoraj.

— Czy to konieczne? Ja... — Ewa była bliska płaczu.

— Bardzo bym panią prosił... Jego tam nie ma.

Artur wstał bez pośpiechu.

— Chodź, Ewo, Adam jest już w raju.

Dziewczyna mruknęła coś pod nosem i zerwała się z fotela. W milczeniu poszli korytarzem i schodami w górę. Przed drzwiami Ewa zawahała się, ale Derko spokojnie powiedział: „Proszą, proszę dalej” i weszli wszyscy do pracowni. Ewa poczuła, że za chwilę jednak zemdleje. Starała się nie patrzeć na „to miejsce” na podłodze, obrysowane białą kredą.

W pracowni panował nieład. Rozrzucone i rozdeptane przez kogoś tuby z farbami poniewierały się po parkiecie poznaczonym śladami stóp. Z przewróconych sztalug spadł nie wykończony obraz Janoty, podziurawiony jakimś ostrym narzędziem. Koło stołu leżał gliniany garnek, z którego wypadły pędzle. W całym pokoju unosił się zapach oleju, farb i terpentyny.

— Sztalugi stoły tutaj — powiedziała słabym głosem —

obraz oczywiście na nich... Farby leżały na stole i na zydlu koło sztalug... paleta... nie pamiętam, gdzie była paleta?

— Nie wiem — powiedział Artur. — Janota kładł ją, gdzie popadnie: na stole, na tapczanie, pod tapczanem, na oknie, wszędzie.

— Ale wczoraj? — Ewa starała się jak najlepiej wykonać to, czego od niej oczekiwano.

— Chyba na zydlu. Rano pod stołem leżał świecznik. Nie ma go teraz.

— Tak. Zabraliśmy go powiedział Derko. — Proszę jednak nie mówić, jak pokój wyglądał dzisiaj. Gdzie był świecznik wczoraj? Pod stołem?

— Oczywiście, że nie. Tutaj...

Artur podszedł do wiszącej długiej półki, zarzuconej różnymi gratami. Obok glinianej figurki stały oparte o ścianę trzy ikony. Przez chwilę w milczeniu przyglądał się obrazom, potem odwrócił się gwałtownie i szybkim spojrzeniem ogarnął całą pracownię.

— O co chodzi? — zapytał Derko.

— Nic, nic... — mruknął niechętnie.

— Zdawało mi się, że coś pan zauważył? — nalegał kapitan.

— Coś tu się nie zgadza... ale nie wiem co?...

— Ikony! — zawołała Ewa.

— Co takiego?

— Wczoraj było ich pięć.

Artur spojrzał na nią uważnie.

— Tak, chyba masz rację... Było ich pięć.

— Na pewno, Janota marudził z tym indeksem, wychodził do łazienki, miałam więc dosyć czasu, żeby im się przyjrzeć. Bardzo mi się podobały — dodała niepewnie.

— Mistrz chałturzył zawzięcie — Artur skrzywił się lekceważąco. — Malował „stare” ikony i sprzedawał w Cepelii po dwa patyki sztuka. Towar dla turystów. — Kopnął leżącą na ziemi ścierkę uwalaną farbami. — Może to dwie zaniósł do Cepelii albo komuś sprzedał?

Derko wziął do ręki jedną z ikon. Godzinę temu już je

oglądał, ale teraz powtórnie, z uwagą, przyjrzał się malowanej, na drzewie postaci jakiegoś świętego. Na odwrocie przyklejona była duża karteczka z nadrukiem: „Grzegorz Janota — artysta malarz, Kraków 1 972 rok”.

— Czy one przedstawiają jakąś wartość? — po raz pierwszy zabrał głos podporucznik Zieją.

— Skądże! — Artur patrzył na niego kpiąco. — Mówiłem paru, że sprzedawał je po dwa tysiące.. Całkiem zręczne bohomazy. Nawet je „postarzał” dla uzyskania, lepszego efektu. Ale wartość ich nie przekracza ceny, jaki za nie dostawał. Taka twórczość pamiątkarska. Jak z Cepelii.

Od niechcenia podniósł wieko skrzyni stojącej pod półką.

— Tam ich nie ma — powiedział Derko.

— Więc pan sprawdzał?

— Nie szukałem ikon, ale znam zawartość tej skrzyni. Chyba pana to nie dziwi?

— Już mnie nic nie dziwi.

Ewa, starannie omijając „to miejsce”, podeszła do stołu.

— Na stole leżała jeszcze jedna. Nie wykończona... o, jest tu nadal... Poza tym... oczywiście nie było tego... — wskazała dużą plamę po rozlanym tuszu, który wyciekł z wywróconej buteleczki. Na środku tej czarnej, zaschniętej kałuży widniał wyraźny, jasny ślad po kluczu.

— Ponieważ na kluczu tkwiącym w zamku są również ślady zaschniętego tuszu, sądzę, że leżał on właśnie tu, na stole, kiedy pan wszedł do pracowni przez drzwi balkonowe — powiedział Derko zwracając się do Artura.

— Tak. To był mój klucz. Oddałem go wczoraj Janocie. Dzisiaj wziąłem go ze stołu i otworzyłem nim drzwi.

— Proszę, co jeszcze? — kapitan skierował pytanie znowu do Ewy.

— No... podłoga była czysta... to znaczy nie było tych rozdeptanych farb... i gliniak z pędzlami stał na stole... Nie potrafię nic więcej powiedzieć. Aha, jeszcze krzesło. To, które oparte jest o ścianę. Nie było go tam. Chyba właśnie na tym krześle siedziałam podczas wizyty u profesora Janoty.

Czułam, że się lekko chwieje. Chciałam nawet przesiąść się na fotel, ale jakoś było mi głupio. Widzę, że ma teraz urwaną jedną nogę. Po moim wyjściu profesor musiał odstawić je pod ścianę.

— Czy to się stało przy panu?

— Co?

— Czy przy panu złamała się noga od krzesła?

Artur wzruszył ramionami.

— Nie. — Odwrócił się na pięcie i podszedł do drzwi balkonowych. Pod nogami zazgrzytały odłamki szkła.

— Dlaczego rozbił pan szybę, skoro drzwi nie były zamknięte na klucz? — zapytał Derko.

— Nie zauważyłem tego. Po prostu nie próbowałem ich otwierać. Kiedy zobaczyłem Janotę rozciągniętego na środku pokoju, zdjąłem sandał z nogi i wybiłem szybę.

— Może przejdziemy do drugiego pokoju?

— Ja byłam tylko w pracowni — Ewa patrzyła błagalnie na kapitana.

— No, dobrze — Derko zwrócił się do Ziei: — Proszę zaprowadzić panią na dół do gabinetu.

Ewa z ulgą opuściła pracownię. W gabinecie zawahała się przez chwilę, czy ma usiąść na białej kozetce, czy w fotelu, ale jednak zdecydowała się na fotel. Natychmiast zapatrzyła się w okno.

— Zapali pani? — Marcin Zieją wyciągnął do niej paczkę sporciaków.

— Nie, dziękuję. Nie palę... Proszę mi powiedzieć... czy mój dowód znalazł się?

— Tak. Był pod stołem. — Podporucznik spojrzał w rozterce na drzwi, ale jednak usiadł na kozetce, —Niestety, będzie pani musiała wyrobić sobie nowy.

— Dlaczego?

— Jest zniszczony.

— Jak to. Podarty?

— Nie... Poplamiony farbami. Dostanie pani zaświadczenie tymczasowe i będzie pani mogła wyjechać. Koledzy chyba nie zaczekali na panią?

— Skąd! Dwanaście osób nie może siedzieć w mieście tylko dlatego... No tak! — uderzyła dłonią o poręcz fotela. — Byłam trzynasta!

Marcin roześmiał się.

— Jest pani przesądna?

— Oczywiście, że nie! Ale jednak byłam trzynasta.

— Dogoni ich pani na trasie.

— Wie pan co, od trzech dni moja przyjaciółka powtarza mi do znudzenia, że w razie czego, dogonię ich na trasie. Nie mam zamiaru nikogo gonić. W ogóle nie mam ochoty na żaden obóz wędrowny... Mam dosyć... Jak tylko to się skończy, pojadę do mamy...

Poczuła, że się gwałtownie czerwieni, ale już nie mogła cofnąć tego, co zostało powiedziane. Spojrzała z przerażeniem na podporucznika, na szczęście wcale się nie śmiał, bo już wtedy mogłaby się tylko rozpłakać. Siedział spokojnie i z obojętną miną oglądał paznokcie u lewej ręki.

— Złamałem paznokieć. To bardzo nieprzyjemne.

— Dać panu pilnik? — I już zanurzyła rękę w swojej myśliwskiej torbie.

— Nie, nie! — zaprotestował gwałtownie i rzucił szybkie spojrzenie na drzwi. Prawie się roześmiał, kiedy sobie wyobraził, jaką minę zrobiłby kapitan Derko, gdyby go zastał siedzącego na lekarskiej kozetce z pilnikiem w ręce.

— Jak pan myśli, długo to jeszcze potrwa?

— Jest pani zmęczona?

— Trochę. Chciałabym porozmawiać z kapitanem, ale nie przy Arturze.

— Będzie miała pani ku ternu okazję i to niestety niejedną. Dzisiejsze rozmowy musi pani potraktować jako wstępne. Jutro będzie pani musiała zgłosić się na komendę w celu złożenia oficjalnego zeznania. No i nie wiadomo, czy kapitan poprzestanie na jednej rozmowie. Bądź co bądź była pani tutaj przed zabójstwem, a dzisiaj odkryła pani zwłoki.

— Tak... nie tak szybko kapitan pozwoli mi wyjechać. Tym bardziej że... — Ewa obejrzała, się w stronę drzwi, potem pochyliła się ku porucznikowi i powiedziała szeptem — ...

słyszałam głos mordercy!

— Co takiego?! — Zieją patrzył na nią jak na wariatką.

— Widzę, że świetnie sobie państwo radzicie beze mnie — w głosie Derki nietrudno było uchwycić nutki rozbawienia.

Podporucznik zerwał się jak wyrzucony z katapulty i stanął na baczność. Bartkowski już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale zgromiony spojrzeniem Derki, strzelił tylko palcami i machnął ręką.

— Ucięliśmy sobie na górze pogawędkę z panem Arturem Kosterą. Sądzę, że już pani trochę ochłonęła. Proszę teraz spokojnie opowiedzieć jeszcze raz o wczorajszej wizycie u pana Janoty.

Derko zapalił papierosa i usiadł koło podporucznika Ziei na kozetce. Ewa zaczęła mówić. Czasem spoglądała na Marcina, który potakiwał głową, jakby wygłaszała zadaną lekcję na piątkę. Powiedziała o telefonie, o wizycie Artura, o kłótni, która się przy niej zaczęła, o rudym chłopcu leżącym na tarasie. Opisała dokładnie dwie brakujące ikony, potem wyjaśniła cel swojej dzisiejszej wizyty i jeszcze raz opowiedziała, jak się dostali z Arturem do pracowni.

— Bardzo pani dziękuję — Derko podał jej rękę — i przepraszam, ze tak długo musiała pani czekać. Proszę iść teraz do domu i porządnie się wyspać, a jutro rano, powiedzmy o dziewiątej, proszę przyjść do komendy wojewódzkiej, pokój 304. Przepustka i wezwanie będą leżały w portierni u oficera dyżurnego. Niestety będę musiał jeszcze panią trochę pomęczyć. Wie pani, protokół, oficjalne zaznanie, nie chcę już pani teraz dłużej zatrzymywać.

Ewa posłała Marcinowi spojrzenie pełne goryczy, mające oznaczać „a nie mówiłam” i, zarzuciwszy torbę myśliwska na ramię, wyszła z gabinetu. Wcale się nie zdziwiła, kiedy na schodach prawie się potknęła o Artura,

— Hej! Dolores! Dokąd pędzisz?

— W zupełnie przeciwnym kierunku niż ty! — krzyknęła i szybko zbiegła ze schodów.

W akademiku oczywiście nie zastała nikogo z wyjeżdżającej paczki. Na swoim łóżku znalazła kartkę:

*Dowodu nie ma ani w dziekanacie, ani u Teresy. Jest już 11.30. Lecimy na dworzec. Zadzwoń jutro w południe do Przemyśla. Zatrzymamy się w hotelu PTTK. W sobotą idziemy do Giszęcin, niedziela schronisko w Tulejowie, Bywaj! Kryśka i Rysiek!*

Usiadła na łóżku i na dobre się rozpłakała.

## 6.VI. czwartek wieczorem

— Nie podoba mi się ten Artur — babcia Karolina zsunęła okulary na czubek nosa, żeby znad nich spojrzeć na wnuka.

— Mnie też — przyznał Marcin. Siedział wygodnie rozparty w fotelu i powoli popijał herbatę. Karolina zaczęła znowu szydełkować. Przez chwilę zastanawiała się nad doborem kolorów, wreszcie zdecydowała się na „słonecznikowy". Nie żółty, tylko „słonecznikowy", jak zwykła mówić.

— W ogóle nie rozumiem tego chłopaka.

Marcin już chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język. Przeżywał właśnie chwilę wyrzutów sumienia. Nic za dużych, ale zawsze. Czuł jednak pewien niepokój. Nie powinien babce tego wszystkiego opowiadać. To było niegodne... „niezgodne z regulaminem" stwierdził stanowczo i westchnął. Był pewny, że staruszka nikomu nie powtórzy ani słowa z rozmowy, bo po pierwsze jest dyskretna, po drugie nie miała komu powtórzyć, a po trzecie zdaje sobie sprawę, ze mogłaby go narazić na poważne przykrości. Ale jednak czuł pewien niepokój. Dokuczał mu trochę jak wysypka, o której można szybko zapomnieć, kiedy się tylko przestanie o niej myśleć.

Wreszcie nie stało się nic złego — pocieszał się w myśli. — Staruszka jest taka samotna, stale powtarza, że nie ma z kim porozmawiać, a poza tym wiem, że ją to bardzo zajmuje.

Przypomniał sobie, jak „zdawała razem z nim maturę", potem jak w trakcie studiów zainteresowała się prawem karnym, międzynarodowym prawem publicznym, nawet ekonomią. Uśmiechnął się na wspomnienie przedziwnych

teorii, które wtedy wygłaszała. Koniec każdego semestru witała z wyraźną ulgą. Rzucała się z pasją „w wir życia". Kupowała abonament do filharmonii, oblatywała teatry i z lubością wygłaszała długie monologi na temat „okropnej twórczości młodego pokolenia".

Prawdziwym ciosem dla Karoliny była decyzja Marcina, który po ukończeniu wydziału prawa postanowił „wstąpić do milicji" — j a k to określiła w sposób nieco ironiczny, „Ty się do tego w ogóle nie nadajesz" orzekła i przez jakiś czas udawała, że jej nie interesują dalsze poczynania wnuka.

— Ty się do tego w ogóle nie nadajesz — powiedziała babcia Karolina jak echo jego myśli.

Marcin aż podskoczył w fotelu.

Słowo daję, ona chyba ma jakieś wyjątkowe uzdolnienia telepatyczne — pomyślał zdziwiony.

— Już dobrze, dobrze. Nie denerwuj się — uspokoiła go. — Nie będę więcej na ten temat mówiła, aczkolwiek, nadał uważam, że...

— Babciu!... — przerwał jej Marcin w pół słowa.

— Mój drogi, chyba sam przyznasz, że z twoimi zdolnościami mógłbyś daleko zajść. — Znowu spojrzała na niego sponad swoich okularów, nieco krytycznie. — W każdym razie dzisiaj byłbyś po egzaminie adwokackim. — Zawahała się. — Chociaż nie, nie byłbyś dobrym adwokatem. Brak ci tupetu. Nie jesteś wyszczekany.

— Wiesz co, dziwię się, że w ciągu tych kilkunastu lat nie nabawiłem się przy tobie jakichś straszliwych kompleksów.

— No, coś takiego! — babka — zerwała się z fotela, budząc leżącą na jej kolanach Kikę, która skoczyła na cztery łapy, raźno zaszczekała i w radosnych podskokach pobiegła w stronę drzwi, wymownie oglądając się na Marcina. Karolina zmięła pustą paczkę po klubowych i zaczęła się kręcić po pokoju w poszukiwaniu papierosów.

— Oczywiście nie masz fajek? — Marcin wyciągnął z kieszeni sporty.

— Nie powinieneś palić.

— Dobrze, dobrze.

— Wcale nie usiłuję ci wmówić, że jesteś do niczego. Wręcz przeciwnie. Uważam, że po pięciu latach studiów, ukończonych z tak dobrym wynikiem, nonsensem było...

— Błagam cię, zmień temat!

— Pięć lat prawa i dwa lata szkoły milicyjnej — babka ciągnęła z uporem — to strata czasu. A teraz plączesz się przy tym Derce jak piąte kolo u wozu. Kiedy dostaniesz wreszcie samodzielną robotę?

— Już ci tłumaczyłem, ale ty wciąż nie chcesz tego zrozumieć. Mógłbym siedzieć w jakiejś komendzie powiatowej i zajmować się, jak ty to mówisz „samodzielnie" włamaniami do kiosków z piwem. To, że zostałem skierowany do Derki, nawet w charakterze „piątego koła"...

— Wiem, wiem! Uważasz, że to jest wyróżnienie, które świadczy o uznaniu... i tak, dalej, i tak dalej. Ale w sumie blisko osiem lat uczyłeś się i to nie najgorzej. 1 co? W ciągu ośmiu lat mógłbyś się już doktoryzować. Nie rozumiesz, że jesteś typowym teoretykiem, nie praktykiem?

— Teoria mnie nie interesuje. Zresztą skąd wiesz, czy kiedyś nie zajmę się teorią? — dodał ugodowo.

Babka spojrzała na niego badawczo i bez słowa wzięła się znowu cło szydełkowania.

— Ale wracając do sprawy — powiedziała i zaczęła liczyć oczka, a Marcin szybko zasłonił się „Polityką". „Wysypka" znowu dawała o sobie znać. Babka wprawdzie mogła sto razy przerywać jakieś zdanie, żeby wykonać milion różnych czynności; zawsze jednak „wracała do sprawy".

— No więc czego dowiedzieliście się od tej Marianny? Jeszcze mi nie powiedziałeś.

— Właściwie niczego. Ona nic nie wie.

Nadal udawał, że go wprost pasjonuje lektura „Polityki".

— Jak to nic? — w głosie Karoliny było tyle zawodu, że Marcin zrezygnowany odłożył pismo.

— Przecież wiesz, że nie powinienem ci tego wszystkiego opowiadać!

— Oczywiście! No mów, mów!

— Stefcio jest dzieckiem rozwiedzionych rodziców. Jego

matka dziesięć łat temu wyszła ponownie za mąż i wyjechała gdzieś w siną dal. Doktor kilka lat temu ożenił się z panią Hanką. Jest zbyt zaabsorbowany swoją pracą zawodową i jeszcze dosyć młodą żoną, żeby zajmować się „trudnym dzieckiem". Pani Hanka wprawdzie nie pracuje, ale ograniczyła swoją opiekę nad dorastającym chłopcem do minimum. W rezultacie całymi latarni jedyną osobą, która czuwała nad wychowaniem Stefcia, była Marianna, która pracuje u Serczyńskich od piętnastu lat. Między zakupami a smażeniem kotletów, sprzątaniem i myciem schodów znalazła trochę czasu dla chłopaka. Ale od kilku lal Stefcio wymyka się spod jej kontroli. Marianna już zupełnie nad nim nie panuje. Jest do niego bardzo przywiązana i gotowa zawsze stanąć w jego obronie. Na przykład kiedy Stefcio wagaruje, Marianna dotrzymuje tajemnicy i nie informuje o tym ojca, który być może zająłby się smarkaczem. Rodzice przyjęli wy godną postawę. Wszystko według nich jest w porządku. Chłopak jakoś sobie radzi w szkole i nie ma powodów da niepokoju. Sprawiają mu kosztowne prezenty, wysyłają do Zakopanego na narty i na tym koniec. Derko zainteresował się Stef ciem właściwie tylko dlatego, że chłopak na widok wozów milicyjnych nawiał. Poza tym ta mała... no, wiesz?

— Ewa — powiedziała babcia Karolina, rzucając z ukosa ukradkowe spojrzenie na wnuka.

— No, właśnie. Ewa widziała go w dniu zabójstwa na górnym tarasie. Marianna skłamała, że był w szkole do piątej, ale sprawdziliśmy: od trzech dni wagaruje. Wreszcie kazała nam przysiąc, że nie wsypiemy go przed doktorem i przyznała, że Stefcio ma kłopoty w szkole. Został w domu ze względu na klasówkę z matematyki. Rodziców wprawdzie nie było, ale na wszelki wypadek opalał się na górnym tarasie, na który rzadko zaglądają. Ot i cała „tajemnica" Stefcia.

— Ale co to ma wspólnego ze sprawą?

— Pytałaś o Mariannę Korneluk, więc ci mówię. Po prostu gosposia nie powie nic istotnego ani o chłopaku, ani o

doktorze i jego żonie. Widać, że ich nie lubi, zwłaszcza pani Hanki, ale nabrała wody w usta, Ten gnojek wrócił zresztą do domu, ale nie powiedział niczego ciekawego. Rano wyszedł „dla niepoznaki”. Wrócił o dziesiątej, pokręcił się po domu i poszedł się opalać. Był na górnym tarasie do szesnastej trzydzieści pięć. Potem zszedł na dół. Po obiedzie, to znaczy dwadzieścia po piątej wyszedł z domu. Poszedł do kolegi. Wrócił o jedenastej wieczorem. Wiedział, że starzy bankietują i nie śpieszył się, Marianna bardzo skrupulatnie potwierdziła jego zeznania,

— Przypuszczam.

— O ludziach spoza rodziny doktora Marianna chętnie; opowiada.

— Co mianowicie?

— Czasem sprzątała u Janoty. Mówi, że u niego różni bywali. „Popili się i któryś mu dołożył” — oświadczyła z pewną satysfakcją. Ale nie potrafi wymienić nikogo spośród jego znajomych. „Różni tacy”. Dokładnie opisała tylko panią Moniką Skrzyską. „Taki ona historyk sztuki jak i ja”, oświadczyła. „Przyjaciółka Janoty”. Podobno znali się od lat. Przychodziła do niego sama albo z innymi;. Całymi miesiącami nie pokazywała się, a potem nagłe się zjawiała. Ostatni raz Marianna widziała jątrzy dni temu, rano. Twierdzi, że się kłócili.

— O co?

— Nie wiadomo. Marianna miała otwarte okno w kuchni i słyszała ich podniesione głosy. Ale nie potrafi powtórzyć dokładnie, o czym mówili. Wreszcie Monika huknęła drzwiami i zbiegła ze schodów. Marianna specjalnie wyjrzała z kuchni, żeby zobaczyć, kto tak wrzeszczał.

— Ale o co się kłócili? .

— Trudno powiedzieć. Marianna słyszała tylko oderwane zdania i podniesione głosy. Monika prosiła Janotę, żeby coś skończył. Nawet płakała: „Skończ to, proszę cię — mówiła — ja nie mogę się już z tego wycofać”.

— I to wszystko?

— Była również mowa o Arturze. W każdym razie padło

jego imię.

— No, dobrze, a wczoraj Marianna niczego nie słyszała? Pracownia znajduje się nad kuchnią. Jak sam mówiłeś, prawie we wszystkich pomieszczeniach okna były otwarte. Więc musiała coś słyszeć! Ktoś wywrócił pokój Janoty cło góry nogami, a ona nic nie słyszała?

— Widocznie nie było jej wtedy w kuchni albo była czymś zajęta. Mogła nie zwrócić uwagi na odgłosy dochodzące z góry.

Karolina układała na stole kolorowe kółka z włóczki.

— Co to będzie? — zapytał Marcin.

— Jeszcze nie wiem. Chyba duża chustka z frędzlami — znowu przestawiła kółka.

— Robisz i nawet nie wiesz, co?

— Improwizacja — spojrzała na niego z politowaniem. — Nigdy nie słyszałeś, że można coś improwizować? Zresztą wszystko jedno, co z tego wyjdzie.

Marcin uśmiechnął się. Znał te robótki Karoliny! Miała już kilka naprawdę pięknych chustek z frędzlami, dziwne kolorowe kamizelki, w których niestety nie wychodziła na. ulicę. („Jednak nie wypada, mam bądź co bądź 68 lat” mówiła i obnosiła je „po domu”). Kiedyś wydziergała sobie nawet spodnie — czarne w czerwone, zielone i beżowe koła. Oczywiście nie wychodziła w nich na ulicę. Ale nigdy nie chciała mu zrobić swetra. Po pierwsze nie znosiła roboty na drutach, po drugie („Gdybyś był dziewczyną!” — wzdychała) jednokolorowa „dziergota” nudziła ją. Ograniczyła się więc do trzech krawatów — i to (o dziwo) bardzo stonowanych.

Kika przeciągnęła się z lubością, demonstracyjnie ziewnęła i niedwuznacznie zaczęła się kręcić koło drzwi.

— Wyprowadzę psa.

— Zaczekaj. Byłaś niedawno.

— Jest już wpół do jedenastej. Kupię ci papierosy w kawiarence. Potem będzie zamknięta.

— Nie trzeba. Znalazłam klubowe. Ale co Marianna mówiła o Arturze? — babcia twardo wracała „ad rem”.

— Nic albo prawie nic.

— No, tak. Kumpel Stefcia. Powiedz mi jeszcze jedno, synku — Karolina spojrzała na niego badawczo. — Czy nie uważasz, że z tymi śladami na podłodze jest coś nie w porządku?

— Mianowicie co?

— Przecież tylko ciężki idiota zostawiłby taką „wizytówkę” odbitą w farbie. Jeżeli morderca jest aż: tak nieostrożny, zidentyfikowanie go nie powinno nastręczać wam większych trudności.

— Kto ci powiedział, że ślady pozostawił morderca?

— A któżby?...

— Wszystko na to wskazuje, że są to ślady samego Janoty. Stuprocentowej pewności nie możemy jeszcze mieć, ale sądzę, że nasza ekipa techniczna potwierdzi nasze przypuszczenia.

— Mógłbyś to powiedzieć normalnie? Ludzkim językiem?

— Po prostu Janota miał na nogach sandały, których podeszwy były pobrudzone farbą. Nawet bez specjalnych sztuczek technicznych widać, że pozostawione ślady pasują do tych sandałów. Rozmiar, kształt, wykrój obcasa, charakterystyczna łatka na zelówce, itd. itd.

— Ale chyba znaleźliście również ślady drugiej osoby?

— Na „podłodze? Nie. Oczywiście mówię na podstawie powierzchownych oględzin. Dlatego wspomniałem o ekipie technicznej (co ci się tak nie .spodobało), ponieważ jutro powinniśmy otrzymać na piśmie wyniki ekspertyzy.

— To byłoby dziwne...

— Nie sądzę! — powiedział cierpko Marcin.

— Czy to już wszystko, co wiesz o Janocie?

— Przecież nie możemy w ciągu kilku godzin zebrać o nim pełnych informacji.

— Oczywiście, ale czy nic więcej nie mogliście się dowiedzieć od mieszkańców tego domu?

Marcin wzruszył lekko ramionami.

— Na razie nic.

— A nie znaleźliście w jego mieszkaniu jakichś listów, notatek, adresów?

— Nic.

— Jak to, nie miał przy sobie notesu? Każdy lub prawie każdy ma jakiś kalendarzyk z adresami czy coś takiego.

— No, ma i co z tego? Janota też miał kalendarzyk orbisowski z adresami i numerami telefonów. Przecież tych ludzi trzeba dopiero odszukać, porozmawiać z nimi... Tylko jedna notatka z kalendarzyka Janoty zasługuje na uwagę. Wygląda jak jakiś rachunek: dwadzieścia tysięcy, piętnaście i trzydzieści tysięcy, razem: sześćdziesiąt pięć tysięcy. „Komik — sześćdziesiąt pięć tysięcy", — Suma została podkreślona dwukrotnie. Wśród telefonów, zanotowanych w kalendarzyku, nie znaleźliśmy żadnego Komika.

— Widzisz! To już jest coś! Ten facet, o którym mówił Serczyński, to mógł być właśnie Kornik.

— Nawet gdybyś miała rację, to i tak nie wiemy, kto to jest. Zresztą Janota prowadził swój kalendarzyk bardzo niestarannie. Numery telefonów wpisywał, gdzie popadło, niekoniecznie pod właściwą literą alfabetu. Nazwisko zaczynające się na „B" znajdziesz pod literą „Z". Zupełny mętlik. Może się okazać, że ten rachunek jest już dawno nieaktualny. Albo że nie dotyczył Janoty.

— Nie przesadzaj. Po co by zapisywał cudze rachunki w swoim notesie?

Karolina milczała przez chwilę.

— No dobrze — odezwała się wreszcie. — Przypuszczam, że już macie jakiś pogląd na sprawę?

— Oj, babciu. Stanowczo jest na to za wcześnie. Naprawdę masz za duże wymagania. Cała maszyna poszła dopiero w ruch. Przesłuchania, ekspertyzy...

Babka wpadła mu w pół zdania.

— Analizy, elektrolizy...

— O czym ty mówisz?!

— Fotokomórki i komputery. Wiem! Wiem! Ale żeby maszyna poszła w ruch, ktoś musi mieć jakiś pomysł. Ktoś musi ją zaprogramować.

— Jeżeli już używasz tego porównania, to zwracam ci uwagę, że do zaprogramowania niezbędny jest pewien zasób

informacji. W przeciwnym wypadku maszyna da błędną odpowiedź.

Karolina z furią szydełkowata.

— Zresztą może Derko ma już jakąś koncepcję — dodał jak zwykle ugodowo.

— A ty?

— Ja? — Marcina aż zatkało. — Tak, mam koncepcję. Janotę zamordował doktor. Wyszedł z gabinetu przez okno. Pacjenci w poczekalni stanowią jego alibi. Zatłukł Janotę, ponieważ „mistrz” romansował z jego żoną! Idę wyprowadzić psa.

Kika już tańczyła koło niego na dwóch łapach.

— Serczyńska była kochanką Janoty?

— Nie wiem! — krzyknął i strzelił drzwiami. Oczywiście po chwili już żałował, że się tak uniósł.

Wracał do domu pełen skruchy. Był skłonny przyznać jej rację, pięknie przeprosić i solennie obiecać, że do jutra postara się mieć jakąś „koncepcję”. Ale kiedy wszedł do pokoju, stwierdził, że Karolina, nucąc coś wesołego pod nosem, pruje zawzięcie swoją robótkę. Wydało mu się to mocno podejrzane. Zapytał od niechcenia:

— Prujesz chustkę?

— Tak. Zmieniłam koncepcję.

Marcin znowu się najeżył.

— Dobranoc — powiedział i uciekł do swojego pokoju.

## 7.VI. piątek

Na drugi dzień Zieją od rana był bardzo zajęty. Przesłuchania, przesłuchania i całe stosy papierów... Przyszły wstępne wyniki badań daktyloskopijnych i protokół sekcji. Nagle pomyślał o równoczesnym zgodnym działaniu wielu Judzi i przez moment stanęła mu przed oczyma babcia Karolina, ale szybko o niej zapomniał.

Na korytarzu spotkał Ewę Karską.

— Mów i jak? Wyspała się pani?

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

— Nareszcie ktoś odezwał się do mnie po ludzku!

— Ejże, któż ta panią tak. nieludzko potraktował?

— Jestem wykończona. Każą mi w kółko przesłuchiwać jakąś taśmę. Różni faceci powtarzają to samo zdanie: „Czy to mieszkanie Grzegorza Janoty?” — śmiesznie zachrypiała. — Proszę pana — powiedziała, zniżając poufnie głos — obawiam się, że ja już nie poznam tego głosu.

— Niech się pani nie martwi. Na pewno go pani pozna. Wychodzi pani?

— Nie. Mam jeszcze czekać.

— No, to na razie. Pewnie się jeszcze zobaczymy.

W swoim pokoju zastał Bartkowskiego. Właściwie był to ich wspólny pokój, ale porucznik Bartkowski od rana nie pokazywał się. Stał teraz pochylony nad biurkiem i przewracał jakieś papierki.

— Fajne, co? — zagadnął, — Żadnych śladów, nie licząc pięknych odbitek sandałów Janoty. Żadnych odcisków palców. Na świeczniku nie było, na klamce też nie, stół, krzesło, nawet sztalugi elegancko wypucowane. Półeczka czysta, skrzynia czysta, drzwi wejściowe też... i tak dalej, i tak dalej... Nie wiem, czy Janota często miał tak starannie odkurzone mieszkanie. No, ale coś uszło uwagi tego pedanta. Coś uszło...

— Telefon?

— Ano właśnie. Wyraźne odciski palców nie zidentyfikowanego osobnika. Zabawne. Innych odcisków brak. Tak, jakby ktoś wytarł porządnie ślady, a potem chwycił słuchawkę. Co pan o tym myśli? — I Bartkowski, nie czekając na odpowiedź, wybiegł z pokoju.

Marcina wezwał do siebie kapitan Derko.

— Jest piętnaście po jedenastej, więc Cepelia będzie już otwarta. Pójdzie pan i porozmawia z kierowniczką. Proszę sprawdzić, czy Janota nie wstawił wczoraj do Cepelii dwóch ikon. Jeżeli tak, proszę ustalić czy przyniósł je osobiście, czy przysłał przez kogoś. Ikony proszę zabezpieczyć. Ewa Karska musi je zidentyfikować.

Marcin pomyślał, że Ewa jednak nie tak szybko pojedzie

do mamy. Na ulicy było znowu nieprawdopodobnie gorąco. Zamarzył mu się nagle wspaniały skok z trampoliny do wielkiego basenu pełnego zimnej, niebieskiej wody. Dochodziło wpół do dwunastej, Przyspieszył kroku. Na chwilę zatrzymał się przed wystawą Cepelii i już, już miał wejść do środka, kiedy nagle w otwartych drzwiach stanęła babcia Karolina. Kika rzuciła się do niego z serdecznymi powitaniami, ale babcia szarpnęła ją ostro i przeszła koło niego obojętnie. Marcin stał sparaliżowany ze zdumienia i pewnie długo jeszcze nie ruszyłby się z miejsca, gdyby Karolina, która zatrzymała się przy sąsiednim sklepie, nie dawała mu gwałtownych a tajemniczych znaków. Rozejrzał się półprzytomnie, nie rozumiejąc, o co chodzi, wreszcie poszedł za nią. Czekała na niego przy następnej wystawie.

— Nie chciałam, żeby kierowniczka widziała, że z tobą rozmawiam — powiedziała swobodnie.

— Co ty tu robisz, na Boga?

— Cicho, nie wydzieraj się. Ludzie na nas patrzą. Zapraszam cię do Michalika.

— Babciu! Ja przecież pracuję, ja...

— Nie chodź do Cepelii. Już wszystko wiem. Postawisz mi dużą kawę, to ci opowiem.

Marcin poczuł, że wzbiera w nim wściekłość. Jednak opanował się. „Trudno, sam jestem temu winien" — powiedział sobie w duchu i włos mu się z jeżył na głowie na wspomnienie kapitana Derki. Babcia szła raźno w stronę Michalika, a obok niej kroczyła dumnie mała, czarna pudlica, uczesana w piękny kok. Marcin już nie protestował. Wiedział, że i tak by się to na nic nie zdało. W kawiarni babcia przywiązała Kikę do fotela stojącego w szatni i po wygłoszeniu krótkiej przemowy do zrozpaczonego pieska, udała sic do sali dla palących.

— No wiec mów wreszcie, coś tam narozrabiała.

— Och, nic takiego... Chciałam po prostu kupić ikonę. Dzisiaj jest wyjątkowo duszno, a ja bądź co bądź mam już 68 lat. Musiałam trochę odpocząć. Usiadłam na chwilę i pogwarzyłam sobie z kierowniczką. Bardzo mila osoba. Oni

mają tylko dwie ikony Janoty. Przeczytałam na odwrocie jego nazwisko i wyraziłam zdziwienie, że zajmuje się tego rodzaju twórczością. Wspomniałam, że widziałam jego wystawę na placu Szczecińskim. Zgodziła się ze mną, że to bardzo interesujący artysta. Potem zapytałam, czy nie spodziewa się nowych ikon. „Te leżą u pani chyba już dosyć długo" — powiedziałam — „może pan Janota przyniesie coś nowego. Chciałabym kupić coś naprawdę ładnego. To dla mojej przyjaciółki na imieniny". Kierowniczka przyznała, że te dwie istotnie leżą u niej blisko miesiąc. Pan Janota powinien w tych dniach przynieść nowe.

— Powiedz mi teraz, po co to zrobiłaś?

— Co? A... że tam byłam? Pomyślałam, że jeżeli z tymi ikonami jest coś nie w porządku, to lepiej nie straszyć kierowniczki milicyjnym mundurem.

— Jak widzisz, nie jestem w mundurze.

— Przypuszczam! Na taki upał! Ale musiałbyś się wylegitymować.

— Za to przejrzałbym książkę i kwity sklepowe. Nie uwierzyłbym kierowniczce na słowo.

— A ja uwierzyłam.

— No dobrze, mniejsza z tym. Pij teraz spokojnie kawę, ja muszę już lecieć.

— Zaczekaj! Nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego.

— Nie?! — Marcin usiadł z powrotem, a raczej nogi same się pod nim ugięły.

— Tymi ikonami nie tylko ja się interesuję. Przychodzi do Cepelii jakaś pani. Jedną już kupiła. Chce kupić jeszcze jedną albo nawet dwie. To ma być prezent dla przyjaciółki z Hiszpanii. Ale uparła się, że ta druga musi być odpowiednio dobrana. W ubiegłym tygodniu była dwa razy i nawet zostawiła swój numer telefonu z prośbą, żeby kierowniczka zaraz do niej zadzwoniła, jak tylko dostanie nowe ikony. Kierowniczka mówi, że jest jej bardzo niemiło, bo ta pani przyniosła wielkie pudło czekoladek i teraz ona czuje się zobowiązana dzwonić do tej paniusi.

— Istotnie, to dziwne.

— No, nie tak bardzo. Ludzie, kupując tapczan, wtykają ekspedientce czekoladki albo usiłują wsunąć sto złotych. Trzy ikony to wydatek w granicach sześciu tysięcy. Niebagatelna suma dla przeciętnego obywatela. Gdybyś jednak chciał znać telefon tej pani...

Marcin patrzył na babkę jak zaczarowany.

— Skąd masz ten telefon?

— Ach, drobiazg. Mam swoje sposoby. No. więc pisz: Jolanta Walczak 23-612.

— Ale po co mi ten telefon?

— Nie wiem — powiedziała obojętnie Karolina. — Na wszelki wypadek. Aha, czy ta mała... jak ona się nazywa?

— Ewa!

— Właśnie, Ewa. Czy ona już wyjechała?

— Nie. Widziałem ją dzisiaj w komendzie.

— A jej koledzy pojechali na ten obóz wędrowcy?

— Nie wiem.

— Biedactwo. Zepsuliście jej wakacje.

— My?!

— Teraz dom akademicki powoli pustoszeje... Chyba nie jest jej zbyt przyjemnie siedzieć tam samej.

— Babciu, dlaczego się o nią martwisz? W ogóle, błagam cię, przestań się tym wszystkim interesować.

— Za trzy dni zaczynają się egzaminy wstępne na ASP.

W akademiku mają dać zakwaterowanie kandydatom na pierwszy rok, więc nie będzie już sama. Marcin spojrzał na babkę podejrzliwie.

— Powiedz, gdzie jeszcze byłaś? Ale krótko! Bez kręcenia!

— Ja? — zdziwiła się niewymownie. — Chyba nie masz zamiaru zamknąć mnie w domu na klucz?

— Gdzie byłaś?

— Z Kiką na spacerze — powiedziała obrażonym tonem.

— Dobrze. Teraz proszę cię, zapomnij o Janocie. Zapomnij o akademii, Cepelii i o tym wszystkim, o czym mówiliśmy wczoraj. Przestań się tym zajmować. Idź do ogrodu botanicznego, kup sobie skrzypce, zacznij się uczyć serbskiego albo zrób cokolwiek innego, ale przestań

rozrabiać. Zrozum! Mnie wreszcie wyleją z milicji.

— Nie byłoby to najgorsze, nadal uważam...

— Wiem, że się do tego w ogóle nie nadaję. Chyba masz rację.

Karolina patrzyła na niego z przerażeniem.

— Nie mówisz tego poważnie?

— Oczywiście, że nie... — Marcinowi zrobiło się przykro. — Ale obiecasz mi, że zajmiesz się czymś innym?

— Mogę cię uspokoić. Idę wieczorem na koncert. Umówiłam się z Anetą. Chyba to nie ma nic wspólnego z Janotą?

Marcin ponuro wpatrywał się w dno pustej filiżanki. To mogło mieć bardzo wiele wspólnego z Janotą. Ale nie powiedział tego głośno w obawie, że podsunie jej pomysł, na który być może jeszcze nie wpadła.

Wczoraj podczas wieczornej pogawędki wspomniał oczywiście o tym, ze Artur Kostera jest synem nieżyjącej od pięciu lat, słynnej swego czasu, znakomitej pianistki Olgi Misłockiej, laureatki konkursu chopinowskiego... Misłocka uległa pięć lat temu wypadkowi. Niezbyt poważnemu, ale doznała obrażeń stawiających pod znakiem zapytania jej dalszą karierę. Skomplikowane złamanie kości nadgarstka, w prawej ręce. Po wypadku przeżywała ostry kryzys. W rezultacie popełniła samobójstwo. Niedługo po śmierci żony Kostera przeniósł się razem z synem do Wrocławia.

Wśród różnych papierów Janoty Derko znalazł zdjęcie. Olgi Misłockiej. Takie zwyczajne zdjęcie prywatne, na którym bardzo ładna blondynka uśmiechała się ujmująco. Na odwrocie zielonym flamastrem podpis: Żebyś przez te trzy tygodnie nie myślał o kimś innym — Ola.

Anetka natomiast była starą przyjaciółką Karoliny. Widywały się jednak dosyć rzadko, ponieważ Anetka mieszkała na drugim końcu miasta. Była profesorką w średniej szkole muzycznej. Klasa fortepianu. Była, ponieważ od kilku lat już nie pracowała.

— Synku — babcia poklepała go po ręce. — Idź już, dziecko, bo ten twój Derko obedrze cię ze skóry.

— I tak to zrobi — stwierdził ponuro Marcin i chciał wstać od stolika, ale Karolina w ostatniej chwili przytrzymała go za rękaw.

— Czy znaleziono jeszcze jakieś ślady na podłodze poza śladami pozostawionymi przez Janotę?

— Nie.

— A odciski palców na meblach, klamkach, wszystko jedno gdzie?

— Nie. Żadnych.

— A na garnku?

— Na jakim garnku?

— Mówiłeś, że koło stołu leżał gliniany garnek.

— A, tak... To znaczy nic, nie było na nim żadnych odcinków. Ale o co ci chodzi?

— To chyba jasne. Gdyby podczas awantury garnek został zrzucony ze stołu, po prostu gdyby upadł na podłogę, chyba musiałby się rozbić? Prawda? Tymczasem nie był nawet pęknięty.

— Tak...

— Więc ktoś musiał położyć go ostrożnie na ziemi,, a pędzle wyjąć, połamać i rzucić obok. Brak śladów stóp drugiej osoby potwierdza moje przypuszczenia. Ktoś już po śmierci Janoty sfabrykował ten cały bałagan, żeby was wprowadzić w błąd.

— Karolino — Marcin uśmiechnął się — jesteś najsprytniejszą i najbardziej przebiegłą babcią, na świecie. Ale błagam cię, przestań się tym już zajmować. Obiecałaś!

— Nie przesadzaj. Trudno, żebym nagle przestała w ogóle o tym myśleć!

## 7.VI. nadal piątek

— Co takiego! Jaka babcia?! — ryknął kapitan Derko.

— Karolina... — powiedział Marcin i poczuł, że zalewa go fala ognia. Derko siedział skamieniały, a porucznik Bartkowski zerwał się i zakręcił po pokoju jak w ukropie.

Derko wodził za nim przez chwilę oczami, potem spojrzał na Zieję i zapytał bardzo łagodnie:

— Może mi pan wytłumaczy, podporuczniku, o kim pan mówi?

Marcin pomyślał, że dżungla tropikalna jest chyba rajem o wyjątkowo łagodnym klimacie, spojrzał z rozpaczą w okno i zaczął opowiadać o swojej babce. Kiedy doszedł do czarnych spodni w czerwone koła, Bartkowski powiedział nieswoim głosem:

— Ale co to ma wspólnego z . . . — nie dokończył i zakaszlał nerwowo.

— Chciałem po prostu wytłumaczyć, jaka ona jest — brnął z determinacją Zieją. Ponieważ nikt się nie odezwał (nie licząc ponownego chrząknięcia Bartkowskiego), Marcin bolesnym głosem opowiadał dalej. Tym razem już o Cepelii.

— Mam nadzieję, że nie poszła do tej Jolanty Walczak? — głos Derki był nadal łagodny jak aksamit.

— Nie! — ożywił się Marcin. — Jolanta Walczak mogła kupić ikony bezpośrednio od Janoty. Ale musiałaby to zrobić w środę po piętnastej, ponieważ Ewa Karska widziała je jeszcze podczas swojej wizyty w pracowni profesora. Karolina wiedząc, że Jolanta Walczak może okazać się bardzo ważnym świadkiem, nie ryzykowałaby rozmowy z nią.

— Co jeszcze zdziałała w tej sprawie babcia Karolina?

— Chyba już nic.

— Chyba?

— Na pewno!

Bartkowski wiercił się niespokojnie.

— Podporuczniku Zieją! — powiedział ostro Derko.

— Tak jest! — Marcin przyjął postawę na baczność. — napisze pan raport.

— O babci? — zapytał żałośnie Marcin.

— Odmaszerować! Jest pan na razie wolny! — krzyknął kapitan Derko. Nie czekając, aż Marcin opuści pokój, szarpnął z rozmachem szufladę i szybko zaczął rzucać na biurko jakieś papiery. Zieją zamykając drzwi za sobą,

usłyszał huraganowy wybuch śmiechu.

Oczywiście — westchnął w duchu. — Wiedziałem, że tak będzie.

Usiadł przy swoim biurku i włączył wentylator. Przez otwarte okno waliło do pokoju gorące, ciężkie powietrze.

Będzie burza — pomyślał i wyciągnął z kieszeni duży notes. Spojrzał jeszcze ukradkiem w stronę drzwi. Za nic nie chciałby, żeby porucznik Bartkowski złapał go na tych „prywatnych" zapiskach. Wolał już mu nie dostarczać najmniejszego powodu do radości.

Otworzył notes. Wczoraj wieczorem wypisał tu osoby, które jako pierwsze pojawiły się na arenie. Listę kończyły nazwiska gości Serczyńskich oraz nazwiska siedmiu pacjentów. Czterech już dzisiaj przesłuchano. Nie zauważyli niczego szczególnego. Doktor Serczyński nie opuszczał swojego gabinetu. Marcin westchnął ciężko i dopisał:

Jolanta Walczak — Nr tel. 23-812 — interesuje się ikonami.

Potem na pustej stronie zrobił zestawienie:

godz. 15.00 — Ewa przychodzi do Janoty
godz. 15.00 — Stefcio opala się na górnym tarasie
godz. 15.10 — telefon. Janota umawia się z nie zidentyfikowanym osobnikiem na 17.00
godz. 15.15 — wchodzi Artur
godz. 15.20 — Ewa wychodzi, Artur zostaje. Nie wiadomo, czy Stefcio jest jeszcze na tarasie
godz. 15.30 — Artur wychodzi (w każdym razie tak twierdzi)
godz. 16.00 — wraca Serczyński. Wchodzi do łazienki. Dom pusty
godz. 16.10 — Serczyński zagląda do kuchni. Marianny nie ma
16.10 —18.15 — Serczyński wychodzi na dolny taras. Czyta gazetę, słyszy kłótnię
godz. 16.35 — Stefcio „wraca ze szkoły" — Marianna nakrywa do stołu, Serczyński denerwuje się, że obiad spóźniony

godz. 16.10 — Serczyński i Stefcio jedzą obiad
godz. 17.00 — Serczyński przechodzi do gabinetu, którego nie opuszcza do 19.45.
godz. 17.20 — Stefcio wychodzi z domu. Idzie do kolegi
godz. 18.00 — wraca pani Serczyńska
godz. 20.10 — przychodzą goście.

Marcin zamknął notes.

Godzina szesnasta — wraca Serczyński. Dom pusty — powtórzył — No, tak. Krótko mówiąc nikt nie widział Serczyńskiego od szesnastej do szesnastej trzydzieści pięć, to znaczy do powrotu Stefcia i ukazania się Marianny w pokoju. A co robił i gdzie był Artur Kostera od wpół do czwartej? Twierdzi, ze poszedł na basen, a potem do kina, ale nie ma na to żadnych dowodów. Jak również na to, że było inaczej — przyznał sprawiedliwie. — Jak wygląda Monika Skrzyska i czego chciała od Janoty?

Spojrzał na zegarek. Skrzyska dostała wezwanie na pierwszą. Westchnął ciężko i podszedł do otwartego okna w nadziei, że odetchnie świeżym powietrzem. Stał przez chwilę, obserwując ulicę i nie czuł żadnej ulgi. Nagle zobaczył Ewę. Wyszła właśnie z komendy i przeszła na drugą stronę chodnika kryjąc się w cieniu rozłożystych kasztanów. Marciu już chciał zawołać „pani Ewo” i pomachać jej ręką, ale na szczęście opamiętał się w ostatniej chwili. Szła powoli, szurając niedbale nieprawdopodobnymi chodakami na grubej, drewnianej podeszwie. Króciutka zielona sukienka wyglądała jak przerobiona z koszulki niemowlęcej (tak by pewnie powiedział Bartkowski). Ewa bardziej podobała się Marcinowi we wczorajszym „wycieczkowym” stroju.

Jak ktoś ma takie chude nogi, powinien stale chodzić w dżinsach — odprowadził wzrokiem znikającą kretem dziewczynę. — Przez te chude nogi wygląda jak nadmiernie wyrośnięty podlotek — pomyślał z sympatią i zapalił papierosa.

## Nadal piątek

— Marianna? — Monika Skrzyska mówiła z wyraźnym lekceważeniem. — Zawsze podsłuchuje pod drzwiami. Nie powinien pan tego. co ona mówi, poważnie traktować. Ponura plotkarka, której świat zamyka się w ogródku doktora Serczyńskiego.

— Więc nie było żadnej kłótni? — zapytał jak zwykle spokojnie kapitan Derko.

— Oczywiście, że nie. Bardzo często mówię trochę za głośno, ale to jeszcze nic nie znaczy. Być może, że rozmawialiśmy o Arturze. Uważam, że Grzegorz poświęcał mu zbyt wiele czasu.

— Dlaczego pan Janota zajmował się Arturem Kosterą?

— Po prostu uznał, że to zdolny, inteligentny chłopak, chociaż nieco zmanierowany. Grzegorz nie był już młodym człowiekiem. Nie miał swojego dziecka, nie był nigdy żonaty... Może nagłe odezwały się w nim ojcowskie instynkty?

— Czy pan Janota znał rodziców Artura Kostery?

— Nie.

— Kogoś z jego rodziny?

— Nie. Dlaczego pan tak sądzi?

— Ktoś z rodziny mógł prosić pana Janotę o opiekę nad Arturem Kosterą.

— Nie. Nie znał nikogo z bliskich Artura. O ile wiem, jego ojciec mieszka we Wrocławiu. Matka nie żyje.

— Pani znała Olgę Misłocką?

Monika zawahała się. Podporucznik Zieją, który usiłował nie zwracać na siebie uwagi szefa, pomyślał: Strzela czy wie?

— Tak, znałam ją — przyznała Monika. — Spotykałyśmy się z Olgą swego czasu dosyć często.

— Więc znała pani pewnie również jej syna? Artura Kosterę?

— Owszem. Widywałam go... od czasu do czasu. Ale od śmierci matki straciłam z nim wszelki kontakt, ponieważ wyjechał z ojcem do Wrocławia. Nie wiedziałam, że po kilku

latach wrócił do Krakowa. Któregoś dnia zobaczyłam go z Janotą u Michalika. Potem przy jakiejś okazji Grzegorz powiedział mi, że Artur bywa u niego w domu, a nawet korzysta z jego pracowni. Od tego dnia nie przychodziłam do Janoty do domu, ponieważ obawiałam się, że mogę tam zastać Artura.

— Dlaczego unikała pani spotkań z Kosterą?

Monika przez chwilę milczała, wreszcie powiedziała:

— Artur bardzo przeżywał śmierć matki. Nie chciałam mu przypominać tych ciężkich chwil... sama zresztą niechętnie o nich myślę...

— Tak? — Derko nie zadał żadnego konkretnego pytania, ale patrzył na Skrzyską wyczekująco. Monika zapaliła kolejnego carmena.

— Pan zapewne wie o tym... milicja ponoć wie wszystko? — uśmiechnęła się kokieteryjnie.

— Zresztą nie mam powodu tego ukrywać... Byłam przy tym... Mówię o wypadku Olgi... Gdzieś tam może pan znaleźć moje zeznanie w tej sprawie... niestety, po jej śmierci nie obeszło się bez przesłuchania. — Znowu zaciągnęła się papierosem. Powoli przeniosła wzrok z Derki na Bartkowskiego, potem na Zieję. I ponownie spojrzała na Derkę. — Olga po prostu spadła ze schodów. Była trochę pijana i wywróciła się. Spadając uderzyła ręką o metalową poręcz. To wszystko.

— Gdzie to się wydarzyło?

— U mnie w domu. Przyszła trochę zawiana, wypiła jeszcze dwa koniaki i nagle oświadczyła, że musi już iść. Chciałam ją odwieźć, ale stanowczo odmówiła. I na schodach... jak już mówiłam, potknęła się i spadła...

— Kto był jeszcze przy tym?

— Andrzej Golski. Młody rzeźbiarz. To on odwiózł Olgę do szpitala. Ja pojechałam do Kosterów, ale nie zastałam męża Olgi. Zabrałam więc Artura i razem pojechaliśmy do szpitala. On miał wtedy niespełna 18 lat. Bardzo to wszystko przeżywał. Zachodziła obawa, że Ola nie odzyska pełnej władzy w ręce. Co się potem stało, to już pan. wie. Jej

samobójstwo było jednak dla mnie zaskoczeniem.

— To się stało w szpitalu?

— Nie. Olga była wtedy w. domu. Podobno bardzo źle znosiła pobyt w szpitalu. Ale miała tam wrócić, coś z ręką było nie najlepiej. Miała wrócić do szpitala na jakiś zabieg operacyjny. Nie wytrzymała jednak tego stanu niepewności... chociaż lekarze nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa. Niechętnie o tym mówię. To była wspaniała artystka i tak głupio... tak głupio to wszystko się stało...

— Czy Grzegorz Janota był również w pani domu, kiedy zdarzył się ten wypadek?

— Ależ nie. Już panu mówiłam, że oni się nie znali.

— Gdzie pani poznała Olgę Misłocką?

— Na jakimś wernisażu. Potem spotkałyśmy się w Zakopanem. Była z Arturem. Pojechałyśmy razem na Kalatówki. Tak się zaczęła nasza znajomość. Z Arturem widziałam się kilka dni po jej śmierci. Chciałam go jakoś pocieszyć. Przecież on był wtedy jeszcze dzieckiem... Dużym, wyrośniętym dzieciuchem... Ale spojrzał na mnie z taką pasją, prawie z nienawiścią... i powiedział: „Proszę nigdy nie mówić ze mną o mojej matce. Nigdy! Jeżeli istotnie chce pani coś zrobić .dla mnie, to proszę uznać naszą znajomość za .niebyłą. Wolałbym pani nie spotykać. Zawsze mi będzie pani przypominać to, co się wydarzyło kilka dni temu”... Kiedy zobaczyłam znowu Artura, a było to właśnie wtedy u Michalika, był już dorosłym młodym mężczyzną. Pewnie nie pamiętał naszej ostatniej rozmowy sprzed lat. Ale mimo to unikałam spotkania z nim. Już sama nie wiem, czy ze względu na niego, czy też ze względu na siebie samą.

— Więc przez—jakiś czas nie składała pani wizyt Janocie w jego pracowni? Co się stało, że przyszła pani do niego w poniedziałek, trzeciego czerwca?

— Nic takiego. Miałam już dosyć tego ukrywania się przed Arturem. A poza tym chciałam, żeby mi Grzegorz pożyczył pieniędzy.

— Pan Janota był sam w pracowni?

— Tak. Ale to zupełny przypadek, że nie wpadłam wtedy na Artura. Kiedy wychodziłam od Grzegorza, zobaczyłam pod domem jakiegoś długowłosego chłopca, stojącego na ulicy koło furtki ogrodowej. Był odwrócony do nonie plecami. Rozmawiał z kimś, kogo w pierwszej chwili nie zauważyłam., ponieważ zasłaniał go krzak jaśminu. Kidy podeszłam bliżej, okazało się, że to Artur i Stefcio. Przez ułamek sekundy chciałam zawrócić, ale pomyślałam, że to nie ma najmniejszego sensu. Stefan, kiedy mnie zobaczył, przerwał w pół zdania. Przeszłam koło nich zupełnie obojętnie. Artur chyba mnie nie poznał.

— Przypomina pani sobie, o czym mówili?

— Tak. Oczywiście. Stefan powiedział: „Nigdy bym się tego nie spodziewał, że go nagłe zobaczę w telewizji...”.

— Kogo?

— Tego nie wiem.

— Czy dobrze pani znała Stefana Serczyńskiego?

— Nie. Poznałam doktora Serczyńskiego i jego syna zupełnie przypadkowo. Wychodziłam kiedyś z domu z Grzegorzem, a oni wysiadali właśnie z samochodu. Potem któregoś dnia Serczyński podwiózł mnie do miasta. A Stefcia spotkałam jeszcze kilka razy. Pod domem czy w klatce schodowej. Już nie pamiętam dokładnie. Takie przelotne spotkania. Ale właściwie go nie znam. Nic nie wiem ani o nim, ani o jego ojcu.

— Więc w poniedziałek, trzeciego czerwca przyszła pani do Janoty, żeby prosić go o pieniądze?

— Tak.

— I pożyczył?

— Nie. — Roześmiała się. — Twierdził, że jest bez grosza.

— O jaką sumę chodziło?

— Dwa tysiące.

— Nie powiedział pani, że w środę będzie miał pieniądze?

— Nie...

— Prawdopodobnie sprzedał dwie ikony. — Derko obojętnie przewracał jakieś papiery. Rozmowa wyraźnie dobiegała końca. — Pani wie, że produkował „stare ikony” do

Cepelii?

— Tak, ale... Skąd panu przyszło do głowy, że właśnie w tych dniach jakieś sprzedał?

— Bo dwóch brakuje. W środę rano było ich pięć, a teraz są tylko trzy.

Monika przez chwilę milczała.

— Stary skąpiec. Nie przyznał się, że spodziewa się przypływu gotówki — powiedziała ze złością.

— Mieć na nią oko? — zapytał porucznik Bartkowski, kiedy za Skrzyską zamknęły się drzwi.

— Oczywiście — Derko wstał od biurka. — Muszę się napić kawy — sapnął prostując kości.

Kiedy Bartkowski wybiegł z pokoju, Derko spojrzał na podporucznika Zieję chyba po raz pierwszy od godziny.

— Mam nadzieję, że nie poinformuje pan swojej babci Karoliny o przebiegu tej rozmowy?

— Tak jest, panie kapitanie — Marcin usiłował przyjąć postawę na baczność, wywołując na twarzy Derki lekki uśmiech. Bartkowski wrócił do gabinetu.

— Wychodzisz na kawę czy wolisz, żeby ci tu przynieść?

— Sam nie wiem... — Derko znowu usiadł przy biurku. — Po prostu nie mam siły się ruszyć. Ten upał mnie wykończy.

— Słuchaj, stary, dlaczego strzeliłeś z tymi ikonami?

— Na rybkę. Ten interes może niewart jest funta kłaków — spojrzał na Zieję. — No, co jest z tą kawą? Mamy dosłownie piętnaście minut!

Ewa wędrowała przez rozgrzane do białości ulice. Od czasu do czasu spoglądała z utęsknieniem w niebo.

Jednak coś z tego będzie — pocieszała sic na widok najmniejszego obłoczka. Szybko przeliczyła w myśli swoje „wycieczkowe” zasoby finansowe i wstąpiła do Delikatesów.

Co sobie będę żałowała — pomyślała, wychodząc ze sklepu z wypchaną torbą myśliwską, W nieco lepszym nastroju i uszyła w stronę akademika.

W pustym pokoju znowu opadły ją czarne myśli Z daleka

dochodziły odgłosy zbliżającej cię burzy. Nareszcie. Postanowiła urządzić sobie „przyjęcie”. Pomidory, sałatka z ogórków, ser edamski i kefir. Na deser miały być ciasteczka orzechowe i herbata. Grzmiało już porządnie i firanki w oknie łopotały niespokojnie Ewie zrobiło się jakoś głupio. Usiadła przy zastawionym stole i nagle poczuła, że się za chwilę rozpłacze.

Wtedy ktoś zapukał. Podskoczyła uradowana. Wszedł Artur. Jego najmniej się spodziewała.

— Cześć, Dolores, widzę, że przygotowałaś na moją cześć bankiet. Po cóż tyle zachodu, moja miła.

— Przestań się wygłupiać i jeżeli chcesz, siadaj!

Wcale nie czekał na jej zaproszenie. Już wcinał pomidory.

— Nie przypuszczałem, że jeszcze tkwisz w Krakowie.

— No to po co przyszedłeś?

— Na wszelki wypadek, mała. Czy nie uważasz, że woda w czajniku już się zupełnie wygotowała?

Ewa zajęła się skomplikowaną czynnością parzenia herbaty.

— Ale poważnie, dlaczego nie wyjechałaś?

— Chciałam, ale nie mogłam...

I nagle po tym okropnym dniu Artur wydał jej się zupełnie sympatyczny. Na dworze szalała burza. Ewa zamknęła okno i deszcz walił w szyby. Była nawet zadowolona, że przyszedł. Jeśli chciał, potrafił być całkiem miły. Opowiedziała mu o tym nieszczęsnym telefonie i o eksperymentach Derki.

— No i co? Poznałaś tego faceta?

— Nie. Widocznie jeszcze go nie mają.

— Przecież to mógł być ktoś, kto nie ma nic wspólnego ze śmiercią Janoty.

— Oczywiście. Ale przyznasz, że to mocno podejrzane? Umówił się na piątą. Jeżeli przyszedł, czy zastał Janotę żywego? A jeżeli tak, czy Janota żył jeszcze po jego wyjściu?

— Załóżmy, że rozpoznasz jego głos. To i tak nie będzie żaden dowód. Po prostu możesz się pomylić.

— Wiesz, ja go chyba widziałam.

— Kogo?

— Tego faceta. Pamiętasz, wspominałeś, że przy tobie też ktoś dzwonił do Janoty?

— Tak mówiłem? Nie przypominam sobie.

— Ależ tak. Podniosłeś słuchawkę, nikt się nie odezwał. Od Serczyńskich do przystanku tramwajowego idzie się około dziesięciu minut. Ja szłam bardzo szybko. Kiedy byłam już zupełnie blisko, zobaczyłam, że w budce telefonicznej stoi jakiś facet. Zwróciłam na to uwagę, ponieważ miałam zamiar zadzwonić do Janoty i nakłonić cię, żebyś stamtąd wyszedł i zostawił tego człowieka w spokoju. Zatrzymałam się koło budki. Ten mężczyzna wykręcił numer, a potem bez słowa odwiesił słuchawkę i wyszedł z kabiny.

— Nie zadzwoniłaś?

— Nie. Pomyślałam, że to byłoby jednak głupio.

— Dlaczego uważasz, że ten mężczyzna dzwonił do Janoty?

— Nie wiem. Po prostu przypadek. Powiedziałeś o głuchym telefonie. Ten człowiek też się nie odezwał. Podobno byłeś u Janoty jeszcze przez dziesięć minut od mojego wyjścia. Więc czas by się zgadzał. Poza tym coś mnie uderzyło w tym człowieku...

— Co?

— Nie potrafię tego określić. Nie wiem... Ale coś takiego, że mu się przyjrzałam. Wydawało mi się, że już go gdzieś widziałam.

— Przypomniałaś sobie, gdzie?

— Nie.

— Jak on wyglądał?

— Wysoki, przystojny pan, około siedemdziesiątki. Siwe, gęste włosy, ładny profil, porządnie ubrany, w ręce trzymał laseczkę. Sprawiał wrażenie dosyć zamożnego.

— To byłby nadzwyczajny zbieg okoliczności, gdybyś właśnie ty widziała człowieka, który dzwonił do Janoty.

— Ale to jest możliwe.

— Masz fantazję, moja mała. A co na to Derko? —Nie powiedziałam mu o tym. Żartowałby ze mnie, że w każdym przechodniu widzę mordercę.

Artur roześmiał się.

— Wiesz, opowiadałaś tak sugestywnie, że przez chwilę ci wierzyłem.

— Ale to prawda! Widziałam tego pana...

— Wiem, wiem, Sherlocku Holmesie w spódnicy. Boże! Jaką ja mam bystrą koleżankę.

Ewa w milczeniu chrupała ciasteczka.

— Nie zapomnij jutro zakomunikować tej rewelacji kapitanowi. Na pewno się ucieszy. Zaprezentuje ci całą galerię przystojnych starszych panów, może któryś wpadnie ci w oko. Czekaj, zaraz obliczymy. Kraków ma 500 tysięcy mieszkańców, w tym mężczyzn jakieś 230 tysięcy, panów po sześćdziesiątce będzie jakieś 25 tysięcy, przystojnych... no, powiedzmy, 20 tysięcy. Teraz wyeliminujemy łysych, blondynów i brunetów. Jak myślisz, ilu zostanie? Pięć, sześć tysięcy? To niewiele! Zdążysz do Bożego Narodzenia obejrzeć wszystkich! W każdym razie masz zapewnione wspaniale wakacje w Krakowie! Ale to nic! Warto, na pewno warto! Możesz się na przykład dowiedzieć, że ten gentleman dzwonił do swojej córeczki, żeby dowiedzieć się, co słychać!

— Dureń — Ewa z godnością zaczęła zbierać naczynia ze stołu.

— Popatrz, popatrz, jak leje — powiedział Artur i zagapił się w okno. — Może przenocuję u ciebie?

— Nie wygłupiaj się i znikaj stąd. Jestem strasznie śpiąca.

— Wyganiasz mnie na taki deszcz?

— Och, Artur! Jeżeli chcesz, to zaczekaj, aż trochę przejdzie. Może zagramy w szachy?

— O nieba! Ona gra w szachy!

— Co w tym dziwnego?

— Ależ stokrotko! Jesteś po prostu rewelacyjna!

O dziesiątej Artur wreszcie wyszedł. Ociągał się jeszcze przy drzwiach.

— Nie będziesz się bała siedzieć tu sama?

— Czego miałabym się bać?

— No, nie wiem... Akademik prawie pusty... Może jednak zostanę z tobą?

— Wynoś się wreszcie i nie zawracaj głowy.

— Wiesz co, powinnaś jednak wyjechać. Oni nie mają prawa zatrzymywać cię.

— Idź już — wypchnęła go za drzwi.

Ale po jego wyjściu Ewie zrobiło się jakoś nieprzyjemnie. Zamknęła się na klucz i szybko wskoczyła do łóżka, naciągając koc na głowę.

Obudziła się w środku nocy. Znowu burza krążyła gdzieś blisko miasta. Zdawało jej się, że ktoś chodzi po korytarzu. Wstrzymała oddech. Ktoś zatrzymał się pod jej drzwiami... Chyba klamka się poruszyła... Ewa zaświeciła lampkę nośną przy łóżku. Cisza... Siedziała skulona pod kocem i trzecia się jak galareta, Niewyraźny szelest. I znowu cisza...

Wyskoczyła z łóżka i przysunęła stół do drzwi. Na wierzch położyła dwa krzesła i wszystko, co jej wpadło w ręce. Potem siedziała znowu w łóżku, owinięta kocem, aż w pokoju urobiło cię zupełnie jasno. Wtedy zasnęła wreszcie ciężkim, niespokojnym snem.

## 8.VI. sobota

Mieszkańcy miasta z ulgą przywitali deszczową sobotę. Marcin wrócił tego dnia wcześniej do domu. Był jednak solidnie zmęczony. W piątek do późnych godzin nocnych grzebał się w kartotekach, przygotowując materiał dla Berki na .sobotę rano. Samobójstwo Olgi Misłockiej wyglądało tak, jak to opisała Monika Skrzyska. Jej zeznania potwierdził przed laty Andrzej Golski — rzeźbiarz. Prawdopodobnie znał Janotę z uczelni, ukończył ASP mniej więcej w tym samym czasie, co tamten. Odcisków palców, pozostawionych na telefonie, nie udało się zidentyfikować. Po prostu ten człowiek nie miał nigdy do czynienia z milicją.

W sobotę rano— ustalenie tożsamości Jolanty Walczak. Państwo Walczakowie mieli duży zakład fotograficzny przy ulicy Dolnej. Bezdzietne małżeństwo, dosyć zamożne, samochód, duże mieszkanie. Wakacje spędzali na ogół za granicą: Jugosławia, Bułgaria, Francja, Krym, nawet

Włochy; Nic dziwnego, zakład fotograficzny przynosił spory dochód. Derko zostawił na razie ich w spokoju.

Dalsze przesłuchania pacjentów doktora Serczyńskiego dały jednak pewne rezultaty. Pan Zbigniew Trzciński wyszedł z poczekalni na klatkę schodową na papierosa. Na małej ławeczce siedział jakiś starszy pan. Nie zwracał w ogóle uwagi na Trzcińskiego. Splecione dłonie, oparł na lasce i nieruchomo patrzył przed siebie. Trzciński zapewniał, że mankiet śnieżnobiałej koszuli i prawy rękaw marynarki miał pobrudzone czymś, co bardzo przypominało krew. A więc jakiś tajemniczy starszy pan. Przystojny, pociągła twarz, bujne siwe włosy. Była wtedy godzina siedemnasta trzydzieści lub trzydzieści pięć. Nikt poza panem Trzcińskim go nie widział.

Marcin wracał do domu z dwoistymi uczuciami. Z jednej strony cieszył się na sobotnie popołudnie, z drugiej jednak strony niepokoiła go myśl, że Derko, który tego dnia był wyjątkowo ruchliwy, na pewno w tym czasie nie będzie odpoczywał. Kto wie, co się może wydarzyć?

Dom zastał pusty. Babcia Karolina mimo deszczu gdzieś Powędrowała. Minęła już godzina piętnasta. Marcin niezadowolony kręcił się po kuchni. Co chwila wyglądał przez okno. Lało z cebra.

Obraziła się, pomyślał. Zaczął przerzucać gazetę, kiedy trzasnęły drzwi.

— Już jesteś?.— zapytała dość obojętnie i poszła do łazienki rozłożyć mokrą parasolkę.

Marcin usiadł przed telewizorem, zły na siebie i trochę na babkę za to ośmieszenie się przed
Derką i Bartkowskim. Bezmyślnie gapił się przed siebie, kiedy do pokoju weszła Karolina. Niosła ostrożnie tackę zastawioną różnościami. Postawiła na stole swoją mistrzowską dereniówkę (nalewki to była jej specjalność), dwa kieliszki i talerzyk ze słonymi ciasteczkami.

— Jadłeś obiad?

— Tak.

— Bo jeżeli jesteś głodny, mam bardzo dobre zraziki.

— Nie, dziękuję, zjem na kolację.

— No, to wypij kieliszeczek. Na pewno przemoczyłeś nogi.

— Jeżeli myślisz, że mnie upijesz i wyciągniesz ode mnie cokolwiek... — powiedział biorąc karafkę do ręki.

Roześmiała się, serdecznie ubawiona.

— To już zakrawa na obsesję! — i wyciągnęła swoją dziergotę.

Marcin popijał pyszną dereniówkę i przyglądał się Karolinie. Było mu trochę głupio. Po pierwsze jego babka była jednak wspaniała, po drugie zrobiła pierwszy krok i należało to docenić, po trzecie zupełnie zapomniał, że umówił się wieczorem z przyjaciółmi i teraz nie wiedział, jak zakomunikować Karolinie, że jej zraziki muszą powędrować do lodówki.

— Wiesz, spotkałem dzisiaj w komendzie tę małą... Ewę Karską — powiedział, żeby jej dać do zrozumienia, że sprawę ikon i Cepelii wymazał już z pamięci.

— Tak? — szydełkowała zawzięcie.

— Wyobraź sobie, że ona boi się mieszkać sama w akademiku.

— Dlaczego?

— Histeryzuje. Powiedziała, że w nocy ktoś chciał wejść do jej pokoju. Podobno nie mogła zasnąć ze strachu aż do świtu.

— No i co?

— Pocieszyłem ją, że od jutra w akademiku będzie pełno. W poniedziałek zaczynają się egzaminy wstępne do ASP i od niedzieli dostają zakwaterowanie kandydaci na pierwszy rok.

— A dzisiaj w nocy?

— Poradziłem jej, żeby zamknęła się na klucz, zażyła elenium i położyła się wcześnie spać.

— Doprawdy jesteś wspaniały. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy takie proste rozwiązanie kłopotów tej panienki. — W głosie Karoliny było coś takiego, że Marcin natychmiast pożałował, że w ogóle wspomniał o Ewie.

— Przecież nic jej się nie może stać.

— Oczywiście. — Karolina nalała sobie do kieliszka odrobinę dereniówki i wypiła. — Zupełnie udana! Nie uważasz?

— Pyszna.

Przez chwilę babka w milczeniu szydełkowała.

— Zapomniałem ci powiedzieć, że umówiłem się z Zygmuntem. Chyba się nie pogniewasz, jeżeli zjem te zraziki w niedzielę?

— Ależ oczywiście! Bardzo się cieszę.

— Z czego? — zdziwił się Marcin.

— Że zdecydowałeś się wyjść. Sobota przed telewizorem jest przerażająca, zwłaszcza dla takiego młodego człowieka jak ty.

— Nie będzie ci przykro, że zostaniesz znowu sama?

— Me opowiadaj głupstw! — Karolina — krytycznie przyjrzała się swej szydełkowej robótce i energicznie wzięła się do prucia.

Marcin z pewnym ociąganiem poszedł się ogolić. Kiedy wchodził znowu do pokoju, żeby babce powiedzieć „do widzenia", zastał ją ze słuchawką telefoniczną przy uchu.

— Aneta, nie zawracaj głowy. Odpowiedz krótko: siedzisz w domu czy wychodzisz? Bo jeżeli się gdzieś wybierasz, to od razu mogę ci powiedzieć, że nic z tego...

Bardzo dobrze — pomyślał Marcin — montuje sobie towarzystwo — i pocałował babkę w policzek.

Wrócił do domu bardzo późno. Karolina oczywiście już spała. Wypił szklankę zimnego mleka z lodówki i natychmiast położył się do łóżka.

## 9.VI. niedziela

Obudził go dzwonek telefonu. Zerwał się na równe nogi, jakby się paliło, ale natychmiast przypomniał sobie, że jest. niedziela. Za oknami znowu świeciło słońce.

— Halo? —: powiedział rozleniwionym głosem.

— Dzień dobry. Czy zastałam panią Karolinę? —

zaszczebiotał jakiś młodociany damski głosik.

— Proszę zaczekać, zaraz sprawdzę, czy jest w domu.

Ale Karoliny nie było ani w kuchni, ani w jej pokoju. Ponieważ zniknęła również Kika, doszedł do wniosku, że poszły na spacer.

— Proszę zadzwonić trochę później. Wyszła z psem powiedział do telefonu.

— Czy mógłby pan powtórzyć pani Karolinie, jak wróci, żeby natychmiast, zadzwoniła do pani Anetki. Tylko, proszę nie zapomnieć! To bardzo ważne.

— Ale kto mówi? — zapytał niecierpliwie Marcin, tym bardziej że głos wydał mu się znajomy.

— Ewa Karska. Ma pan wspaniałą babcię, panie poruczniku. — I odłożyła słuchawkę.

Oczywiście już nie było mowy o spaniu. Był tak wzburzony, że omal nie utopił się w
wannie. Cudem nie skaleczył się przy goleniu, ale parząc kawę załamał się zupełnie i zalał całą kuchenkę. Tymczasem wróciła Karolina. Udał, że nic się nie stało.

— Zadzwoń do Anetki. Podobno jesteś jej niezbędna do szczęścia. — Z podziwem stwierdził, że babka wcale się nie speszyła.

— Anetka! — mówiła do telefonu. — Ty sobie chyba wyobrażasz, że ja mam dwadzieścia lat!... No dobrze, dobrze, zaraz przyjadę. Przez ciebie wydam połowę renty na taksówki.

Potem bez słowa wyjaśnienia zaczęła się ubierać.

— Wychodzisz?

— Tak — powiedziała beztrosko. — Gdybyś był głodny, odgrzej sobie zraziki. Są w lodówce. — Wzięła Kikę i wyszła.

— No, więc, co się właściwie stało? — zapytała babcia Karolina, kiedy Aneta otworzyła drzwi.

— Chodź, chodź, zaraz ci wszystko opowiem.

Weszły do dużego, jasnego pokoju. Na tapczanie siedziała „po turecku” Ewa w kwiecistym szlafroku Anety i rozczesywała mokre włosy, które zasłaniały jej całą twarz.

— Co ona wyprawia? — zdziwiła się Karolina.

Ewa odrzuciła mokre włosy do tyłu, odsłaniając twarz zaróżowioną i uśmiechniętą. Karolina z satysfakcją pomyślała, że nie przypomina już wystraszonego wróbla. To porównanie przyszło jej do głowy wczoraj wieczorem, kiedy wtargnęły z Anetą do pokoiku Ewy w domu akademickim. Dziewczyna najpierw nie chciała otworzyć drzwi, ale kiedy Karolina zapewniła ją, że przychodzi z polecenia podporucznika Marcina Ziei, zdecydowała się wreszcie wpuścić je do środka. A potem ze zdziwieniem wpatrywała się w dwie obce starsze panie: jedna chuda i wysoka trzymała w ręce mokrą parasolkę i bystro rozglądała się po pokoju, druga niska i gruba patrzyła na Ewę łagodnymi oczami, w których migały wesołe iskierki. Koło tej chudej dreptał w miejscu mały czarny pudeł, zostawiając mokre ślady na podłodze. Ewa nie miała zbyt dużo czasu do namysłu. Po prostu Karolina zarządziła szybkie pakowanie, sama zasznurowała worek turystyczny i. prawie nie dopuszczając Ewy do głosu, kazała jej natychmiast opuścić akademik. Potem zawiozła ją do Anety, gdzie dostała jeść, pić i zanim, się obejrzała, leżała już w łóżku, przykryta kołdrą po czubek nosa. Ewa nie była pewna, czy przypadkiem Aneta nie pocałowała jej w czoło na „dobranoc", ale być może, że jej się to tylko śniło, bo zasnęła prawie natychmiast.

— Czy po to wzywałyście mnie z drugiego końca miasta, żeby mi zademonstrować nową fryzurę Ewy? — powiedziała teraz babcia Karolina i z ulgą usiadła w wygodnym fotelu.

— Nie żartuj. Sprawa jest bardzo poważna. — Aneta niezdecydowanie kręciła się po pokoju.

— Zaparzę kawę — zaproponowała Ewa i pobiegła w stronę kuchni.

— Dzisiaj rano rozmawiałyśmy z Ewą o tym i owym — powiedziała Aneta przysiadając wreszcie na tapczanie. — Opowiadałam jej trochę o Arturze. Ewa nie wiedziała, że Artur swego czasu był uczniem szkoły muzycznej. Tak... To całkiem zdolny chłopak. Przez jakiś czas myśleliśmy wszyscy, że wstąpi w ślady swojej matki.

— Aneta, nie zawracaj głowy. Już mi o tym mówiłaś. To chyba nie jest ta ważna sprawa, w której mnie wzywałaś.

— No, nie... ale chcę ci wytłumaczyć, jak doszło do naszego „odkrycia”. Ponieważ Ewa bardzo się zainteresowała jego „muzyczną” przeszłością, pokazałam jej stary album z fotografiami z różnych uroczystości szkolnych. Są w nim. także zdjęcia z popisu Artura. Miał wtedy 15 lat. Fotograf nie mógł oprzeć się pokusie i zrobił również zdjęcie publiczności, ponieważ w pierwszym rzędzie siedzieli rodzice Artura. Chodziło oczywiście o Olgę Misłocką, naszą wychowankę i byłą uczennicę, z której szkoła była bardzo dumna. I Ewa poznała w ojcu Artura tego starszego pana. o którym wczoraj opowiadała.

— Mówisz o tym panu z laseczką? O tym z budki telefonicznej?

— Tak.

— Czy jesteś tego pewna?

— Raczej Ewę o to zapytaj.

Karolina siedziała sztywno, bez ruchu. Aneta była zakłopotana. Utkwiła w przyjaciółce pytające spojrzenie.

— Co o tym myślisz?

— Nic nie myślę! Ewa!! — krzyknęła ze zwykłą sobie energią.

Ewa natychmiast stanęła w drzwiach. Znowu przypominała wystraszonego wróbla.

— Aneta, dawaj ten album — zakomenderowała Karolina. Potem wyjęła okulary i pilnie zaczęła studiować fotografie.

— Dziecko, przyjrzyj się dobrze. Czy jesteś pewna, że to jest właśnie ten człowiek?

— Tak... — Ewa jeszcze raz pochyliła się nad. albumem. — Powiedziałam pani wczoraj, że ten mężczyzna miał w sobie coś takiego, co zwróciło moją uwagę. Teraz już wiem, co to było. Po prostu Artur jest podobny do swojego ojca. Dlatego wydawało mi się, że widziałam już kiedyś tego pana...

— Ale przecież stary Kostera mieszka we Wrocławiu? — powiedziała z pewnym ociąganiem Aneta.

— No to co? Nalej mi, Ewuniu, kawy. Muszę się nad tym

wszystkim zastanowić.

— Co robić? Co robić?

— Przede wszystkim uspokój się. Może jednak Ewa się myli.

Ewa rozłożyła na tapczanie książkę telefoniczną.

— Czego szukasz? — zapytała Karolina.

— Artur mieszka u ciotki. Gdzieś na Podwalu. O, jest... Krystyna Kostera, Niecała 9.

— Chyba nie masz zamiaru do nich dzwonić?

— Dlaczego nie? Zapytam o starszego pana Kosterę.

— No i co?

— Może okaże się, że go nie ma w Krakowie, że w ogóle nie było go w tym tygodniu?

— A jeżeli będzie? O ile Krystyna Kostera jest rzeczywiście ciotką Artura.

— Nie będę z nim rozmawiała. Chcę tylko sprawdzić... adres. . . i w ogóle.

— Nie podoba mi się to — powiedziała stanowczo Karolina.

— Jednak spróbuję — Ewa już wykręcała numer.

— Halo? — odezwał się jakiś kobiecy głos.

— Dzień dobry. Czy mogę prosić pana Kosterę?

— Artura?... — zapytała po chwili wahania nieznajoma.

— Nie... Chodzi o starczego pana Kosterę...

Tamta kobieta przez chwilę milczała.

— Przykro mi, ale mój brat jest chory. Nie może podejść do telefonu. — Odłożyła słuchawkę.

Aneta wpatrywali się w Ewę.

— No i co? — zapytała.

— Wszystko cię zgadza. Ta pani chciała najpierw poprosić do telefonu Artura, potem powiedziała, że jej brat jest chory i nie może ze mną rozmawiać...

— Więc jednak jest w Krakowie — skonstatowała Aneta.

— No to co? — przerwała jej energicznie Karolina. — To jeszcze o niczym nie świadczy. Nawet jeżeli jego widziała Ewa w budce telefonicznej, wcale nie wiadomo, czy dzwonił do Janoty i czy z nim Janota umówił się na siedemnastą.

— Przyznasz jednak, że to byłby dziwny zbieg okoliczności, gdyby się okazało, że człowiek, który stale mieszka we Wrocławiu, akurat tego dnia przyjechał do Krakowa i nagle znalazł sic w budce telefonicznej pod domem Janoty.

— Wszystko jest możliwe. Poza tym do Janoty mogły dzwonić dwie różne osoby: ktoś, kto zapowiedział swoją wizytę, a potem Kostera. Jeżeli nawet w obu wypadkach dzwonił Kostera, nie wiadomo, czy przyszedł na to spotkanie. A jeżeli przyszedł, to jeszcze nie znaczy, że go zabił.

— Nie rozumiem, dlaczego miałby to zrobić... Po tylu latach...

— O czym pani mówi? O jakie lata chodzi? — zaniepokoiła się Ewa.

— Widzisz — powiedziała z namysłem Karolina — ojciec Artura mógłby mieć powód, żeby nienawidzić Janoty, ale... jak by to powiedzieć... przyczyna ewentualnego konfliktu przestała istnieć. Zresztą nie wiem, czy w ogóle o niej wiedział... Krótko mówiąc sprawa jest stara i przedawniona.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Nie szkodzi. — Karolina była trochę zniecierpliwiona.

— Czy Ewa powinna o tym powiedzieć kapitanowi?

— Będzie musiała. Może wszystko jakoś się wyjaśni.

## 10.VI. poniedziałek

W poniedziałek sprawa istotnie się wyjaśniła. Ewa rozpoznała głos pana Władysława Kostery, a potem bez chwili wahania wskazała go wśród dziesięciu obcych mężczyzn. Rozpoznał go również pan Zbigniew Trzciński. „To on, widziałem go w środę o godzinie siedemnastej trzydzieści w willi doktora Serczyńskiego” — powiedział. Odciski palców na słuchawce telefonicznej były odciskami Władysława Kostery.

Sierżant, który doręczył mu wezwanie, przywiózł go do komendy w ciągu pół godziny. Starszy pan natychmiast

przyznał się do morderstwa. Zabił, ponieważ Janota uwiódł mu żonę.

— Do kogo pan dzwonił? — zapytał kapitan Derko.

— Chciałem sam zgłosić się na milicję. Ale się rozmyśliłem.

— W takim razie powinien pan wytrzeć słuchawkę telefoniczną.

— Nie przyszło mi to do głowy.

Derko spojrzał na porucznika Bartkowskiego. Przez chwilę milczeli.

— Dlaczego nie opuścił pan domu doktora Serczyńskiego natychmiast? Dlaczego zatrzymał się pan na klatce schodowej?

— Źle się poczułem. Nie byłem w stanie wyjść na ulicę...

— Nie rozumiem motywów pańskiego postępowania — powiedział Bartkowski. — Dlaczego pan go zabił?

— Już panu mówiłem.

— Oświadczył pan, że przyjechał pan, żeby zabić Grzegorza Janotę, ponieważ uwiódł pańską żonę. To brzmi dość nieprawdopodobnie, biorąc pod uwagę, że pańska żona zmarła pięć lat temu. Musiał pan mieć inne powody.

— Nie. Nie miałem innych powodów.

— Kiedy pan się dowiedział, że Janota był kochankiem pańskiej żony?

Władysław Kostera milczał. Patrzył zmęczonymi wzrokiem przed siebie, jakby cała sprawa przestali go interesować.

— Jak pan uważa — powiedział powoli Derko. — Ale pańskie zachowanie musi nasunąć nam pewne podejrzenia.

— O czym pan mówi?

— Zaczynam rozumieć, dlaczego nie chce pan powiedzieć prawdy.

— Jeśli to jest konieczne... Wiedziałem od dawna o Janocie i Oli. Jeszcze za jej życia dowiedziałem się o wszystkim, chociaż usiłowała to ukryć przede mną. Nie chciałem jej stracić... Kochałem ją. Zresztą nie będę tego panu tłumaczył... W każdym razie udawałem, że o niczym

nie wiem, ponieważ balem się, żeby ode mnie nie odeszła. To byłoby dla mnie trudne do przeżycia. Mieliśmy dziecko, dom... Sądziłem, że to taka chwilowa historia... bez znaczenia... ale się pomyliłem...

Kostera umilkł i siedział bez ruchu, wpatrzony w czarny, lśniący blat biurka.

— Tak... Ale to, o czym pan mówi, potwierdza tylko nasze wątpliwości. Był pan niejako pogodzony... Proszę się nie gniewać, że użyłem tego określenia. Rozumiem, że to musiało być dla pana bardzo bolesne. Ale nadal nie mogę zrozumieć, dlaczego po tak długim czasie postanowił pan zemścić się. Czy możemy mówić o zazdrości albo o zbrodni popełnionej w afekcie? Po pięciu latach?

— Wiem, wiem... Zaraz panu wszystko wyjaśnię... Czy mogę zapalić?

— Proszę — Derko podsunął mu paczkę sportów.

— Między Olą a Janotą coś się popsuło. Nic wiem dokładnie, co się stało, ale Ola była przygnębiona. Niespodziewane zmiany nastrojów, przejścia od nadmiernej wesołości do stanów beznadziejnego przygnębienia i apatii świadczyły o jej złym stanie nerwowym... Zaczęła pić. Nigdy tego przedtem nie robiła. Polem nastąpił ten nieszczęśliwy wypadek. Wiem, że Janota nie miał z tym nic wspólnego, ale jestem przekonany, że gdyby nie on... Może nie mam racji, ale nie potrafię się pozbyć myśli, że gdyby nie on, Ola nie zrobiłaby tego... Nie zostawiłaby domu i dziecka... To on odebrał jej to wszystko, co mogłoby ją uratować... Nienawidziłem go za to. Panu może się to wydać nieprawdopodobne, że zdradzony mąż może mieć żal do kochanka żony, że nie uczynił jej szczęśliwą. Wiem, że to brzmi nonsensownie... ale to prawda. Lata mijały, a ja obsesyjnie wracałem w myślach do tej sprawy i nienawidziłem go coraz bardziej. Jak pan wie, kilka miesięcy po śmierci mojej żony przeniosłem się z synem do Wrocławia. Artur bardzo ciężko przeżywał śmierć matki. Przestał się uczyć. Stracił rok. Ale potem powoli wrócił do równowagi. Zdał maturę i zapisał się na Akademię Sztuk

Pięknych we Wrocławiu. Było to dla mnie niespodzianka. Wiedziałem, że ma uzdolnienia plastyczne, ale nie przypuszczałem, że pójdzie w tym kierunku. Matka rozbudzała w nim od najmłodszych lat zainteresowania sztuką. To był ich wspólny język. Moja wrażliwość na dzieła sztuki jest dosyć ograniczona. Wzruszenia wywołane nastrojem, kolorem, światłem są mi obce. Ola i Artur mieli swój odrębny świat, do którego wstęp miałem bardzo utrudniony. Odczuwałem to nieraz jako rodzaj upośledzenia. Może właśnie dlatego istoty takie jak moja żona wzbudzały we mnie podziw... Przepraszam, że mówię trochę nie na temat... To pana nie interesuje... — Kostera zdusił niedopałek papierosa w popielniczce. — Artur po pierwszym roku przeniósł się do Krakowa. Nie chciałem tego, ale nie potrafiłem go zatrzymać. Nigdy nie byłem dla niego tak bliski jak jego matka. Zrozumiałem, że chce być wolny. Może chciał zapomnieć o tym, co się nam przydarzyło, może miał do mnie o coś żal... Może wyczuwał, że matka nie kochała mnie na tyle, żeby dla mnie żyć... Zostałem sam. Artur rzadko mnie odwiedzał... Niewiele wiedziałem o jego życiu... Kilka dni temu otrzymałem list... anonim. Był plugawy. Ktoś donosił mi, że mój syn... zresztą niech pan przeczyta.

Kostera podał kapitanowi rozerwaną niebieską kopertę. Derko wyciągnął z niej złożoną we czworo kartkę, przeczytał, a potem podał bez słowa porucznikowi Bartkowskiemu.

„Stary idioto” — ktoś pracowicie nakleił wycięte z gazety litery. — „Ten dziwkarz i pijak Janota znudził się kurwami z ulicy. Zabawia się teraz twoim synem. Wstyd i zgorszenie. Myślisz, że twój Arturek zostanie artystą? Stary idioto! Będzie tylko alfonsem pedałów. Zabierz swojego synalka, póki czas”.

— To przyszło ekspresem — powiedział zmienionym głosem Kostera.

— Kiedy?

— We wtorek. W nocy wsiadłem w pociąg. Oczywiście nie miałem żadnych planów. Po prostu nie wierzyłem. Ale chciałem się zobaczyć z synem. Przyjechałem do Krakowa

przed południem, we środę. Artur mieszka u mojej siostry. Nie zastałem go w domu. Siostra powiedziała mi, że od dwóch lat Artur jest na akademii w pracowni Janoty. Podobno Janota uznał go za wybitnie zdolnego. Opiekował się nim... Siostra powiedziała mi, że Artur przesiaduje u niego całymi dniami... Nie mogłem się oprzeć podejrzeniu, że to anonimowy ,.przyjaciel” napisał prawdę. Pojechałem na Zwierzyniec. Zadzwoniłem z budki telefonicznej. Odebrała telefon jakaś kobieta. Umówiłem się z Janotą na siedemnastą. Chciałem z nim porozmawiać. Jeszcze nie wiedziałem, co zrobię. Ale nie byłem w stanic wrócić do domu. Zbyt dużo czasu zostawił mi Janota na rozmyślania. Cała gorycz i nienawiść odżyły we mnie. Odebrał mi żonę, zniszczył mi syna... Chodziłem po ulicach bez celu. Ponownie zadzwoniłem.

Poznałem głos Artura i nie odezwałem się. Nie wiedziałem, co dalej robić. Wszedłem do kawiarni. Usiadłem przy oknie, z którego widać było przystanek tramwajowy. Może po dziesięciu minutach zobaczyłem Artura. Wskoczył do tramwaju. Postanowiłem nie czekać dłużej. Byłem pewien, że Janota jest w domu. Kiedy do niego przyszedłem, dochodziła czwarta. Może było trochu wcześniej. Doprawdy nie wiem.

Kostera znowu milczał.

— Proszę, proszę mówić dalej.

— Nie potrafię panu powtórzyć tej rozmowy... On naigrawał się ze mnie. Powiedziałem coś nonsensownego o Oli i zacząłem go prosić, żeby zostawił mojego syna w spokoju. Janota śmiał się... Głośno i bezczelnie... Nie panowałem już nad sobą. Powiedziałem, że go zniszczę, zabiję, zresztą sam nie wiem, co jeszcze... Odwrócił się tyłem. Wtedy wziąłem świecznik, który jakby sam mi się nawinął pod rękę, i uderzyłem go... Raz... zresztą nie wiem... może wiele razy...

— Nie pamięta pan, ile razy pan go uderzył?

— Nie, nie pamiętam.

— Gdzie stał świecznik?

— Nie wiem. Nie potrafię panu tego powiedzieć. Nie pamiętam, w jaki sposób znalazł się w mojej ręce.

— Więc twierdzi pan, że była wtedy godzina szesnasta?

— Chyba tak.

— Nie jest pan pewien?

— Nie. Mogło być trochę przed czwartą...

— W takim razie co pan robił w wilii doktora Serczyńskiego jeszcze o godzinie siedemnastej trzydzieści?

— Bardzo długo siedziałem w pracowni Janoty. Nie mogłem opuścić tego miejsca.

— To dziwne. Nie uważa pan? Byłoby chyba o wiele naturalniejsze, gdyby pan stamtąd oddalił się jak najprędzej.

— Może, aleja tam zostałem. Nie wiem, co w takich wypadkach jest „naturalniejsze”.

— Co pan robił w ciągu tej godziny? Proszę opowiedzieć dokładnie.

— Nie potrafię. Nie wiem... Siedziałem w fotelu. Chciałem zadzwonić na milicję. Potem zrezygnowałem z tego. Wytarłem świecznik, wewnętrzną klamkę i telefon. Ale potem znowu chciałem zadzwonić.

— I znowu się pan rozmyślił?

— Tak.

— I ponownie pan wytarł słuchawkę telefoniczna?

— Nie wiem... Chyba nie... Nie pamiętam. Myślałem o czymś innym.

— O czym?

— O moim życiu... O Arturze i o Oli... o tym, co zrobiłem...

— Wychodząc z pracowni wytarł pan ślady na drzwiach?

— Jakie ślady?

— Odciski palców.

— Nie pamiętam.

— Nie pamięta pan takiej rzeczy?

— Nie pamiętam...

— Twierdzi pan, że pan nie pamięta, co pan robił w ciągu całej godziny?

— Nie pamiętam.

Kapitan Derko milczał przez dłuższą chwilę.

— Chciałbym jednak, żeby pan sobie niektóre rzeczy przypomniał. Zacznijmy jeszcze raz od momentu, w którym pan zobaczył przez okno kawiarni swojego syna wsiadającego do tramwaju. Albo nawet jeszcze wcześniej... Zadzwonił pan z budki telefonicznej po raz drugi do Janoty i, poznawszy głos swojego syna, odłożył pan słuchawkę. Która mogła być wtedy godzina?

— Nie wiem dokładnie... W każdym razie było przed czwartą. Jakieś dwadzieścia minut przed czwartą.

— Może to było trochę wcześniej?

— Może — zgodził się obojętnie Kostera.

— Pani Ewa Karska widziała pana w budce telefonicznej o piętnastej trzydzieści. Nakręcił pan numer i po chwili odwiesił słuchawkę. Ile razy dzwonił pan do Janoty?

— Dwa razy. Po raz pierwszy rozmawiałem z Janotą i umówiłem się z nim na godzinę siedemnastą. Zresztą wtedy odebrała telefon ta panienka...

— Ewa Karska.

— A potem zadzwoniłem przed czwartą i nie odezwałem się, ponieważ poznałem głos syna.

— I właśnie wtedy widziała pana Ewa Karska.

— Tak.

— A więc była godzina piętnasta trzydzieści.

— Możliwe.

— Po dziesięciu minutach zobaczył pan swojego syna, który wsiadł do tramwaju?

— Tak.

— Jest pan pewien, że upłynęło tylko dziesięć minut?

— Nie potrafię określić czasu .co do sekundy. Ale minęło najwyżej dziesięć minut.

— A więc najpóźniej o godzinie piętnastej czterdzieści Artur wsiadł do tramwaju, i odjechał?

— Tak.

— A jednak musiał się pan pomylić. To nie mógł być Artur.

— Jak to?

— Pański syn był wtedy jeszcze w willi państwa Serczyńskich.

— Nie wiem... nie wiem, jak to jest możliwe... Widziałem go.

— Ale nie o godzinie piętnastej czterdzieści.

— Mogłem się pomylić o kilka minut.

— Trochę więcej niż o kilka.

— W takim razie to pan się myli albo raczej pański informator.

— Tak pan myśli?

Zapanowała nieprzyjemna cisza. Kostera odetchnął głęboko i powiedział powoli:

— Nie wiem, do czego pan zmierza.

— Do ustalenia prawdy.

— Czy to ma jakieś znaczenie, o której przyszedłem do Janoty?

— Dla śledztwa ma, dla pana może już nie... chociaż nie jestem tego pewien.

— Powiedziałem panu wszystko.

— Chciałam tylko pomóc pańskiej pamięci. Ale na razie zostawmy to wyliczenia minutowe. Proszę mi opisać, jak wyglądała pracownia, kiedy pan do niej wszedł?

— Mam ją opisać?

— Bardzo bym prosił.

— Nic pamiętam szczegółów. Nie zwracałem uwagi na urządzenie pracowni... Byłem tak wzburzony...

— Proszę się jednak postarać.

— Ale po co? Przecież pan wie, jak wygląda jego pracownia.

— Może właśnie w ten sposób zrekonstruujemy tę godzinę, którą podświadomie usiłuje pan wymazać ze swojej pamięci.

Kostera zmęczonym ruchem potarł czoło.

— Pracownia, jak pracownia... Wyglądała zupełnie zwyczajnie. Długi stół pod oknem... nie wiem, co na nim leżało.,, nie potrafię tego panu powiedzieć... skrzynia... fotek., sztalugi. Nie, nie umiem opisać tego pokoju.

— Którędy wszedł pan do mieszkania Janoty, główną klatką schodową czy „kuchennymi schodami”?

— Oczywiście główną klatką schodową. Nie wiedziałem o

istnieniu drugiego wejścia.

— Zapukał pan, zadzwonił? Proszę powiedzieć, jak to było?

— Zadzwoniłem dwa razy. Otworzył mi Janota. Wprowadził mnie do pracowni...

— I co było potem?

— Już panu mówiłem.

— Ale jak się zachowywał Janota? Co robił? Usiadł podczas rozmowy czy chodził po pokoju? A może zaczął malować?

— Nie... Kręcił się po pokoju, potem stanął tyłem do mnie... właśnie wtedy...

— Rozumiem. To znaczy w tym momencie był odwrócony plecami do drzwi wychodzących na „kuchenne schody”? Po prawej ręce miał sztalugi?

— Tak.

— Jak one były ustawione?

— Nie wiem. Nie zwróciłem na to uwagi.

— Proszę sobie przypomnieć. Czy widział pan obraz na sztalugach?

— Nie. Chyba były odwrócone w stronę drzwi ba ikonowych. Panie kapitanie, po co pan zadaje mi te pytania? To są nieistotne szczegóły.

— Chwileczkę. Więc pan podszedł do Janoty od tyłu, to znaczy od strony drzwi kuchennych.

— Nie! Nie będę o tym więcej mówić!... Jestem już zmęczony...

— Będzie pan musiał o tym mówić. Myśli pan, że sąd zadowoli się ogólnikowym stwierdzeniem: „zabiłem”?

Kostera milczał.

— Więc potem, po zadaniu ciosu, siedział pan przez jakiś czas w fotelu?

— Tak.

— Ale kiedy pan zrezygnował z zawiadomienia milicji, zaczął pan zacierać ślady. Wytarł pan klamki, świecznik i telefon?

— Tak...

— Czy wytarł pan również klamkę przy drzwiach wejściowych? Mówię o drzwiach prowadzących na główną klatkę schodową.

Kostera podniósł głowę i z uwagą patrzył na kapitana Derkę.

— Nie przypominam sobie. Być może, że tę klamkę również wytarłem... Tak... chyba ją wytarłem...

— A potem?

— Potem... nie wiem, co było potem... Opuściłem pracownię.

— Którymi drzwiami pan wyszedł?

— Od... od tych „kuchennych schodów".

— Dlaczego?

— Nie wiem...

— No, dobrze. Więc wyszedł pan z pracowni. I co dalej?

— Nie mogłem trafić do wyjścia. Schodziłem po jakichś schodach .. Przez chwilę kręciłem, się po wąskim korytarzu, wreszcie znalazłem się na klatce schodowej. Bardzo źle się, czułem. Nie jestem już młody. Co tu dużo mówić. Jestem po prostu stary. Było mi duszno. Nie wiedziałem, co mam robić dalej, gdzie mam iść, co powiedzieć Arturowi. Usiadłem na jakiejś ławeczce i nie mogłem się z niej ruszyć. W pewnym momencie zorientowałem się, że ktoś mi się przygląda. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że wcale nie jestem tym zaniepokojony. Było mi wszystko jedno. Pomyślałem: „On mnie na pewno pozna" i nadal nie byłem w stanie się ruszyć Potem wstałem i poszedłem do domu.

— Jak długo siedział pan na tej ławeczce?

— Nie wiem.

— Ale mniej więcej. Dziesięć minut? Pół godziny? Godzinę?

— Nie wiem.

— Co pan potem zrobił? — zapytał Derko z rezygnacją.

— Poszedłem do domu.

— Co było dalej?

— Nic.

— Zastał pan syna w domu?

— Nie. Zresztą nie wiem. Może był w swoim pokoju. Drzwi otworzyła mi siostra. Powiedziałem jej, że źle się czuję i muszę się położyć. I żeby mnie nie budziła pod żadnym pozorem.

— Dlaczego nie wyjechał pan do Wrocławia?

— Nie chciałem uciekać. Nie zależało mi już na tym, żeby się bronić.

— Ale nie zgłosił się pan na milicję.

— Nie. Czekałem, aż milicja przyjdzie po mnie.

— Wiedział pan, że to się. stanie?

— Spodziewałem, się tego. Przez wiele godzin o tyra myślałem. Wiedziałem, że u Janoty musiałem zostawić jakieś ślady... że widział mnie tamten człowiek. Janota mógł komuś powiedzieć, że do niego dzwoniłem. Ta panienka rozmawiała ze mną. .Na pewno słyszała, jak Janota umawiał się ze mną na siedemnastą. Zresztą nie miałem pojęcia, jak na to wpadniecie. Wiedziałem tylko, że to musi nastąpić.

— I czekał pan?

— W pewnym sensie tak. Dlatego nie wyjechałem. Nie chciałem denerwować mojej siostry. Nic jej nie powiedziałem. Arturowi również. Zresztą w ogóle z nim .nie rozmawiałem. Nie byłem w stanie. Zamknąłem się w pokoju, w którym zawsze spałem podczas bytności w Krakowie. Z nikim nie rozmawiałem, nie odpowiadałem na żadne nagabywania rodziny. Od razu pierwszego dnia wieczorem, kiedy Artur wszedł, do mojego pokoju, wyrzuciłem go za drzwi, nie dopuszczając do głosu. Siostra była zaniepokojona. Chciała wezwać lekarza, ale nie zgodziłem się. I tak, nie wychodząc prawie z pokoju, spędziłem te cztery dni, Żeby mi nie przeszkadzano, zamykałem się na klucz.

— Ale dlaczego?

— Wydawało mi się, że wszystko, co mnie łączyło ze światem, już się skończyło. Czekałem...

— Na co?

— Na was.

## 10.VI. nadal poniedziałek

Podporucznik Marcin Zieją powoli układał papiery w teczce.

Więc to ma być już koniec? — pomyślał ze zdziwieniom. Zawsze sądził, że w takich momentach powinno się odczuwać jakąś satysfakcję, pewien rodzaj zadowolenia, nawet podniecenia. A tu nic... O mężczyźnie, który jeszcze kilka minut temu siedział w tym gabinecie i opowiadał o swoich najbardziej osobistych sprawach, pomyślał z zażenowaniem. Przychodziło mu do głowy wiele pytań, na które nie znał odpowiedzi, ale nie miał odwagi ich zadać.

Kapitan Derko siedział nieruchomo przy biurku nad popielniczką pełną niedopałków i wyglądał jak ktoś, komu uciekł sprzed nosa ostatni pociąg na wczasy.

— No, to mamy mordercę — powiedział obojętnym tonem porucznik Bartkowski, zerkając z ukosa na Derkę.

— Tak niby wygląda — kapitan spojrzał niechętnie przed siebie i zapalił kolejnego papierosa. — Będziemy mieli jeszcze sporo roboty z tym mordercą. Jego zadziwiające „luki pamięciowe” musimy sami wypełnić jakąś treścią. A to może być niełatwe.

— Dlaczego uważasz, że zadziwiające? Przecież zupełnie możliwe, że pod wpływem szoku zapomniał o wiciu szczegółach.

— Raczej powiedziałbym „o wszystkich szczegółach”, I to dość istotnych.

— W każdym razie jedno się w tym całym bałaganie zgadza. — Bartkowski, nie wiadomo czemu, powiedział to jakimś zaczepnym tonem. — Od szesnastej dziesięć do szesnastej piętnaście doktor Serczyński, siedząc na tarasie, słyszał kłótnię dochodzącą z pracowni Janoty. W tym czasie był tam Kostera.

— Zygmunt, mówisz zupełnie bez zastanowienia.

— Dlaczego?

— Wiesz bardzo dobrze, że Serczyński nie rozpoznał głosu Kostery.

— Powiedział, że nie jest pewien, ale raczej głos brzmiał inaczej. Co nie wyklucza możliwości, że to jednak był Kostera. Nie słyszałeś nigdy, jak ktoś w podnieceniu zaczyna krzyczeć zupełnie nieswoim głosem?

— Zapominasz, że Kostera przyjechał do Janoty w sprawie syna, a tamten mężczyzna awanturował się o pieniądze. Poza tym... dlaczego Janota miałby do niego mówić o ich przyjaźni, nie byli przecież na „ty”. Prawdopodobnie wcale się nie znali.

— Może Kostera kłamie.

— Ale Ewa Karska nie ma powodu kłamać. Janota, rozmawiając z Kosterą telefonicznie, mówił do niego „pan”.

— No tak, no tak... — porucznik Bartkowski okazywał coraz większe niezadowolenie. — Ciekawe, kiedy Janota zdemolował pracownię? Przed nadejściem Kostery? Jak to było? Wpadł w szał, zniszczył swoje płótno, rozdeptał farby, zastawiając ślady w całym pokoju, a potem poszedł spokojnie otworzyć drzwi Kosterze i nie powalał farbami podłogi w korytarzu? Czyżby wychodząc z pracowni zdjął brudne sandały, a po powrocie natychmiast je z powrotem nałożył?

— Może zrobił ten cały... — podporucznik Zieją przerwał w pól zdania.

— No, no, śmiało! Nie żałujcie sobie, kolego! — Bartkowski uśmiechnął się nieznacznie.

Marcin poczuł, że się czerwieni.

— Może zrobił tera cały bałagan dopiero w trakcie rozmowy z Kosterą?

— Przypomnę wam, kolego, co powiedział Kostera podczas naszej przemiłej pogawędki: „Janota naigrawał się ze mnie. Powiedziałem coś nonsensownego o Oli. Janota śmiał się”... itd. itd. Krótko mówiąc, odniósł się do niego lekceważąco, nawet ironicznie. Jak pan to sobie wyobraża? Śmiał się, równocześnie depcząc farby i drąc płótno?

— No, nie... — powiedział Marcin niepewnie.

— A Kostera? Był taki zdenerwowany, że właściwie nic nie pamięta, a jednak potrafił stąpać tak ostrożnie, że nie

wdepnął ani razu w farbę? Musiał przecież podejść bardzo blisko do Janoty, żeby go uderzyć. Przy drzwiach „kuchennych” leżało na podłodze kilka rozgniecionych tub i mimo to czystą nóżką wyszedł na schody? Zręczny staruszek. Tym zręczniejszy, że w ogóle tych rozdeptanych farb nie zauważył. Powiedział „pracownia, jak pracownia...” Nic go nie zdziwiło, kiedy do niej wszedł. Ani orgia kolorystyczna na podłodze, ani panujący w pokoju nieład. Zresztą nawet gdyby Janota podczas ich rozmowy pastwił się nad swoim płótnem, Kostera nie miałby powodu tego ukrywać. Tymczasem twierdzi, że sztalugi stały odwrócone w stronę drzwi balkonowych, a przecież powinien wiedzieć, że leżały rozwalone na podłodze.

— Jak sam powiedziałeś, wszystko powoli się wyjaśni — mruknął Derko niechętnie.

— W każdym razie mamy mordercę. — Bartkowskiego jak zwykle rozsadzała energia. Zakręcił się swoim zwyczajem po pokoju, a potem zatrzymał się. przed kapitanem.

— Oczywiście Jolanta Walczak już cię nic interesuje?

— Nie wygłupiaj się! O co chodzi?

— No więc państwo Walczakowie wybierają się za granicę. Do Paryża. Wyjeżdżała swoim samochodem, gdzieś za tydzień. Mają zamiar spędzić urlop we Francji, Hiszpanii, a potem we Włoszech.

— Piękna wycieczka. Co jeszcze?

— Obserwacja nic nie dała. W ostatnim okresie nie utrzymują żadnych kontaktów towarzyskich. Zakład fotograficzny nie przynosi takich dużych dochodów, jakby się można było spodziewać po ich trybie życia, ale mogą mieć jakieś oszczędności. Pani Jolanta Walczak była w sobotę w Cepelii. Obejrzała znowu ikony Janoty, wreszcie kupiła dwie. Nie miała zachwyconej miny. Powiedziała: „To jednak nie to, o czym myślałam”.

— To wszystko?

— Wszystko.

— Czyli prawie nic. Każdemu wolno zawieźć jakąś pamiątkę przyjaciołom, u których się będzie mieszkało we

Francji czy też w Hiszpanii. To nie jest zabronione... — Derko spojrzał na Bartkowskiego i już nie spuszczał z niego wzroku.

— Zwłaszcza jak się ma dowód kupna i kwit, stwierdzający, że nie jest to dzieło sztuki, tylko zwyczajna twórczość pamiątkarska. — Bartkowski również patrzył na kapitana w jakiś szczególny sposób, tak że Marcin Zieją, obserwując tę scenę z boku, odnosił wrażenie, że panowie prowadzą jakiś drugi, niemy dialog.

— Wiesz co? Bardzo chciałbym zobaczyć tę pierwszą ikonę, którą Walczakowa kupiła miesiąc temu — powiedział Derko.

— Ja też. Ale jak masz zamiar zaspokoić swoją niezdrową ciekawość?

— No, to nic pilnego. Nie będę przecież niepokoił spokojnych obywateli tylko dlatego, że jestem głupio ciekawy. Mogę zerknąć na te prezenciki przy okazji...

— Dajmy na to za tydzień?

— Dajmy na to.

— Powiedzmy na punkcie granicznym?

— Powiedzmy.

— Wiesz, to może być całkiem ładna wycieczka. Pogoda wymarzona na przejażdżkę, chętnie zabrałbym się z tobą.

— No, to już będą prawdziwe wagary — posiedział Derko z uśmiechem. — Ale wiesz, że nigdy nie byłem w stanie niczego ci odmówić.

Bartkowski roześmiał się. Na biurku kapitana zabrzęczał telefon. Derko podniósł słuchawkę.

— Słucham?... Czego on chce?... Tak, tak, wiem... No, to wpuśćcie go.

— O co chodzi? — zainteresował się Bartkowski.

— Arturek Kostera awanturuje się u oficera dyżurnego. Siedzi u niego już od dwóch godzin, ale jak się domyślasz, nie mogłem go wcześniej przyjąć.

Szarpnięte drzwi gwałtownie się otworzyły i do gabinetu wszedł, a raczej wpadł Artur Kostera.

— Gdzie jest mój ojciec? Jakim prawem pan go

aresztował? — natarł na kapitana.

Derko obserwował go z pewnym zainteresowaniem.

— Na jakiej podstawie? — Artur był zdenerwowany. Brakowało mu słów. Rozejrzał się nieprzytomnie i wreszcie powiedział już nieco ciszej: — Proszę mi wyjaśnić. To musi być jakieś nieporozumienie...

— Niech pan usiądzie. — Derko wskazał fotel po drugiej stronie biurka. — Więc słucham, o co panu chodzi?

— Nie było mnie rano w domu, ale ciotka powiedziała mi, że przyniesiono wezwanie i że ojciec wyszedł z funkcjonariuszem, który pismo doręczył. Ponieważ nie wrócił do domu, zaniepokoiłem się...

— Ale dlaczego pomyślał pan, że został aresztowany? Czy raczej zatrzymany?

Artur rozejrzał się po obecnych spłoszonym wzrokiem.

— Nie wiem. Tak mi przyszło do głowy. Po co go ciągniecie na komendę? Jeżeli panowie chcecie dowiedzieć się czegoś o mnie, nie musicie niepokoić mojego ojca. On jest starym, schorowanym człowiekiem i niewiele może wam o mnie powiedzieć. Jak pan wie, mieszka stale we Wrocławiu. Widujemy się bardzo rzadko. Nie zna moich przyjaciół, nie wie, jaki tryb życia prowadzę, co robię, z kim się spotykam. On nic nie wie. Zostawcie go w spokoju.

— Kiedy pański ojciec przyjechał do Krakowa?

— W środę.

— O której godzinie?

— Nie wiem dokładnie. Po południu — powiedział Artur ostrożnie.

— Kiedy pan się z nim zobaczył?

— Dopiero wieczorem.

— Czy mówił panu, w jakim celu przyjechał do Krakowa?

— Nie.

Derko milczał przez chwilę.

— Pańskiego ojca widziano w willi doktora Serczyńskiego o godzinie siedemnastej trzydzieści.

— To niemożliwe.

— A jednak to prawda. Siedział na ławeczce koło gabinetu

doktora. Jeden z pacjentów rozpoznał go.

— Mój ojciec nie mógł tam być.

— Dlaczego?

— Nie znał Janoty. Nie miał z nim nic wspólnego.

— Jednak był tego dnia w willi Serczyńskich.

— Powtarzam, że mój ojciec nie miał nic wspólnego z Janotą... ani z jego śmiercią.

— Jest pan tego pewien?

— Oczywiście! Dziwię się, że pan go w ogóle podejrzewa... Jakie mógłby mieć powody, żeby to zrobić?

— Znowu nie tak trudno doszukać się motywów... powiedziałbym natury osobistej.

— Wiem, o czym pan mówi. Ale to jest zupełna bzdura. Od śmierci mojej matki minęło pięć
lat.

— Od kiedy pan wie, że pańska matka była kochanką Janoty?

Artur uderzył pięścią w poręcz fotela. Patrzył na kapitana złymi, błyszczącymi oczyma.

— Niech pan zostawi w spokoju moją matkę! Niech pan zostawi w spokoju całą moją rodzinę! Nie pozwolę... nie pozwolę na to!... Moja matka była wspaniałą kobietą i nie życzę sobie, żeby ją pakować w jakieś brudy.

— Sam pan zaczął rozmowę na ten temat — powiedział Derko. — A moje zainteresowanie brudami nie wynika z czystej ciekawości, A więc od kiedy?

Artur z trudem opanował się.

— Wiedziałem o tym od dawna. Od samego początku. Nie byłem przecież dzieckiem. Miałem wtedy siedemnaście, prawie osiemnaście lat. Ale niech pan nie usiłuje mi wmówić, że mój ojciec nagle, po pięciu latach, stał się zazdrosny. Przecież to bzdura.

— Miał również inne powody.

— Jakie?

Derko bez słowa podał mu list. Spokojnie obserwował, jak twarz Artura nagłe się zmieniła.

Więc on jednak potrafi się jeszcze rumienić — pomyślał z

pewnym zdziwieniem Marcin Zieją.

— To jest nieprawda! — Artur rzucił list na biurko. — Ohydne oszczerstwo. Kto to napisał?

— Pan się nie domyśla?

— Nie. Nie wiem, kto mógłby się zdobyć na taką podłość. Gwiżdżę na to, co ktoś o mnie myśli, ale żeby coś takiego posłać staremu człowiekowi... Kto to zrobił? I po co?

— Rozumiem pańskie oburzenie. Ale jeżeli chce pan pomóc swojemu ojcu, musi pan mówić prawdę.

— Przecież mówię prawdę.

— Czyżby? Na przykład twierdzi pan, że pan wyszedł z pracowni Janoty kilka minut po pani Ewie Karskiej.

— Tak.

— Na pewno?

— Nie siedziałem tam dłużej niż dziesięć minut.

— Pani Karska opuściła pracownię o piętnastej dwadzieścia;. A pan?

Artur wzruszył ramionami.

— Powiedzmy o piętnastej trzydzieści.

— Nie później?

— Nie.

— No i to właśnie się nie zgadza. Na tarasie leżał Stefcio Soczyński. Widział pana, jak pan wybiegł z domu piętnastej pięćdziesiąt.

— Mógł się pomylić.

— Spojrzał na zegarek, ponieważ pani Marianna kazała mu przyjść na obiad o czwartej. Była za dziesięć czwarta. A więc po wyjściu Ewy Karskiej przebywał pan w pracowni Janoty jeszcze pół godziny.

— Być może...

— A jednak przed chwilą upierał się pan, że zaledwie kilka minut. Dlaczego?

— Nie wiem... — Artur mówił teraz powoli, z namysłem. — Panie kapitanie. To chyba zupełnie naturalne, że chciałem się „odsunąć czasowo” od momentu śmierci Janoty. Zrobiłem to zupełnie bezwiednie. Po prostu nie chciałem z tym mieć nic wspólnego... Ale nie skłamałem świadomie.

Naprawdę wydawało mi się, że byłem tam bardzo krótko...

— Tak, to zupełnie możliwe — powiedział Derko i podsunął Arturowi paczkę papierosów.

— A więc wybiegł pan o piętnastej pięćdziesiąt i dokąd, pan poszedł?

— Na przystanek tramwajowy.

— Jeżeli nigdzie się pan nie zatrzymał, musiał pan znaleźć się na przystanku o godzinie szesnastej.

Artur zastanawiał się przez chwilę, przyglądając się kapitanowi badawczo.

— Nie... nigdzie się nie zatrzymywałem — powiedział ostrożnie.

— Gdzie pan się potem udał?

— Już mówiłem. Pojechałem na stadion. Trochę popływałem. Byłe potwornie gorąco.

— Nie wstępował pan do domu?

— Po co?

— No, choćby po kąpielówki. Chyba ich pan nie nosi przy sobie?

— Tak, ma pan rację. Byłem w domu. Wstąpiłem po kąpielówki. — Artur nie spuszczał czujnego spojrzenia z kapitana Derki.

— I ciotka nie powiedziała panu, że przyjechał ojciec?

— Nie. Nie rozmawiałem z ciotką. Nawet nie wiem, czy była w domu.

— Czy ktoś pana widział, kiedy pan wchodził do domu? Może któryś z sąsiadów?

— Nie wiem.

— Nikogo pan nie spotkał?

— Nikogo. Zresztą nie przypominam sobie.

— Szkoda.

— Również żałuję.

— Co pan potem zrobił?

— Pojechałem na basen. Byłem tam do siódmej. Przecież już to wszystko panu mówiłem!

— zniecierpliwił się Artur. — Byłem na basenie, potem w kinie. Nie mam na to żadnego dowodu. Nie zachowałem

biletu, nie potrafię podać wiarygodnego świadka, bo po prostu nie spotkałem nikogo znajomego. Nic więcej na ten temat nie mogę powiedzieć.

— Pan miał klucz od pracowni profesora Janoty?

— Tak, ale go oddałem.

— Kiedy?

— Dlaczego każe mi pan powtarzać to samo po kilka razy? Przypuszcza pan, że się pomylę i powiem co innego niż poprzednio?

— Niczego nie przypuszczam. Po prostu chcę sobie uporządkować pewne fakty. Więc?

— W środę Janota zażądał ponownie zwrotu klucza. Ewa to zresztą słyszała. Rzuciłem mu klucz na stół. Na drugi dzień, kiedy wszedłem do pracowni przez balkon, właśnie tym kluczem otworzyłem drzwi.

— Jest pan pewien, że w zamku nie było klucza?

— Tak. Ewa może to potwierdzić. Pukaliśmy do drzwi i kiedy nikt nie odpowiadał, pochyliłem się i zajrzałem przez dziurkę od klucza.

— I co pan zobaczył?

— Nic nie mogłem zobaczyć. Ale przy okazji stwierdziłem z całą pewnością, że w zamku nie ma klucza. Po wejściu do pracowni wziąłem klucz ze stołu. Leżał w tym samym miejscu, w którym go położyłem poprzedniego dnia. Był tylko zalany tuszem.

— Skąd pan wie, że to pański klucz?

— Wisiał przy nim breloczek. Wszyscy go znali... Może pan sprawdzić.

— Dlaczego był pan agresywny w stosunku do profesora Janoty?

— Tak sobie. On po prostu pozwalał tańcować sobie po głowie.

— Czy rozmawiał pan z nim często o swojej matce?

— Nie! Nigdy! — W oczach Artura ukazały się znowu złe błyski.

— Trafił pan do jego pracowni zupełnie przypadkowo?

— Tak.

— I profesor nie zapytał pana, czy jest pan synem Olgi Misłockiej?

— Nie.

— Ale przecież pan wiedział, kim był Janota dla pańskiej matki? Nie przeszkadzało to panu przyjaźnić się z nim? Korzystać z jego pracowni?

— Nie. Zresztą nie byłem z nim zaprzyjaźniony. Żywiłem do niego ambiwalentne uczucia. Z jednej strony zainteresował mnie. Chciałem dociec, co w nim jest takiego, że mógł oczarować taką kobietę jak moja matka. Z drugiej strony nie lubiłem go. Nie omijałem żadnej okazji, żeby mu dokuczyć. Udawałem, że o niczym nie wiem, ale zdawałem sobie sprawę, że moja obecność sprawia mu przykrość. W pewnym sensie wykorzystywałem go i dręczyłem... ale nic ponad to. Nie zabiłem go... jeżeli o to panu chodzi.

— Mogę pana uspokoić. Mamy już zabójcę Grzegorza Janoty.

Artur wpatrywał się bez słowa w kapitana Derkę.

— Pański ojciec przyznał się do tego morderstwa.

— Nie! On tego nie zrobił!

— Ależ tak. Przyznał się. Złożył w tej sprawie oficjalne zeznanie.

— On go nie zamordował! — Artur Kostera zerwał się z fotela i stał oparty o biurko, pochylony do przodu, jakby chciał się rzucić na kapitana..

— Dlaczego miałby kłaniać? Tylko w jednym wypadku mógłby wziąć winę na siebie. Pan wie, w jakim? — powiedział Derko.

Artur ciężko usiadł z powrotem w fotelu.

— Jak widzę, według pana, zabójcą musi być koniecznie Kostera... Stary czy młody, ale Kostera... Może spróbowałby pan poszukać kogoś spoza naszej rodziny?...

— Chętnie. Tylko musi mi pan w tym pomóc.

— W jaki sposób?

— Nie ukrywając niczego i mówiąc prawdę.

Artur milczał przez dłuższą chwilę.

— Powiedziałem panu prawdę — powtórzył z uporem.

Kapitan milczał chwilę.
— Jak Serczyński odnosi się do swojego syna?
— Nie mam pojęcia.
— Przyjaźnił się pan ze Stefciem, więc chyba wie pan coś na ten temat?
— Nie przyjaźnię się ze Stefciem. Wydaje mi się jednak, że ojciec nie przejmuje się nim za bardzo. Nie ma na to czasu. Stefcio świetnie sobie z nim radzi. Potrafi go naciągnąć na nowy magnetofon i chyba to mu zupełnie wystarcza.
— Czy pan zna kolegów Stefcia?
— Nie.
— Ale chyba ich, pan widywał, będąc częstym gościem w willi państwa Serczyńskich?
— Nie znam żadnego kumpla Stefcia. Proszę pana, jestem jednak o kilka lat starszy od Stefcia i grono jego znajomych nie wydaje mi się zbyt ciekawe. Nie cierpię aż na takie niedobory towarzyskie, żeby szukać przyjaciół wśród jego kolegów.
— Wydawało mi się, że Stefciowi zależało na pańskim towarzystwie.
— Może. Takiemu smarkaczowi imponuje student akademii. Dla niego jestem „artystą” — Artur roześmiał — Nie ma na to rady. Im bardziej będę go traktować lekceważąco, tym bardziej będzie się za mną snuł. Ot i wszystko. Ale nie ma przecież między nami mowy o żadnym koleżeństwie.
— Czy zna pan Monikę Skrzyską?
Artur prawi moment zawahał się.
— Tak — powiedział po chwili z pewnym ociąganiem. To była znajoma mojej matki. Typ dość bezczelny, nawet nachalny. Zależało jej, żeby, wkręcić się w „środowisko”, żeby poznać ludzi, „którzy się liczą”. Usłużna, schlebiająca, fałszywa. W każdym razie takie na mnie robiła wrażenie. Nie lubiłem jej. Od kilku lat w ogóle jej nie widuję.
— Czy w jej postępowaniu było coś, co usprawiedliwiałoby pańską opinię?
— Nie rozumiem?

— Czy zrobiła coś takiego, co potwierdziłoby pańskie zarzuty?

— Nie... Właściwie nie. Po prostu nie miałem do niej zaufania... I nadal nie mam..

— Przecież pan jej nie widuje.

— Tak... Ale... Wiem, że kręciła się koło Janoty. Mało tego, na coś go naciągnęła. Nie wiem dokładnie, na co, ale on miał jej też już dosyć.

— Rozmawiał pan z nim na ten temat?

— I tak, i nie.

— Co pan przez to rozumie?

— Po prostu nie powiedział mi dokładnie, o co chodzi. Monika od jakiegoś czasu wydzwaniała do niego. Zawsze dosyć niechętnie z nią rozmawiał.

— Skąd pan wie, że to była Monika Skrzyska?

— Janota mówił do niej po imieniu. Obiecywał jej, że namaluje dla niej jakiś obraz, nie wiem dokładnie, o co chodziło, ale była mowa o jakiejś pracy, którą miał dla niej wykonać. Potem widocznie nie dotrzymał terminu, jak to on, i kilka razy prosił mnie, żebym odbierał telefony, Kazał pytać, kto mówi i gdyby odezwała się Monika Skrzyska, miałem powiedzieć, że nie ma go w domu. Stąd wiem, że to była ona.

— I rozmawiał pan z nią telefonicznie?

— Nie. Natomiast kilka dni temu widziałem ją, jak wychodziła z willi Serczyńskich. Poznałem ją, chociaż od paru lat nie miałem z nią do czynienia.

— Kiedy to było?

— Chyba tydzień temu. W poniedziałek, może we wtorek? Wybiegła na ulicę jak furia. Chyba nawet mnie nie zauważyła. Zapytałem potem Janotę, co to za dama opuściła jego pracownię. Był trochę speszony. „Nieznośne babsko — powiedział — koniecznie chce mnie wplątać w kryminalną aferę”. — Artur spojrzał nagle na kapitana zaczepnie. — O, niech pan tą panią bliżej się zainteresuje. Ona miała jakieś nieczyste sprawki z Janotą. Czemu pan się tym nie zajmuje?

— Dlaczego Janota zażądał zwrotu klucza? — Derko nagle

zmienił temat.

— Artur wzruszył ramionami.

— Czyja wiem? Trochę mu dokuczałem, jak pan wie. Widocznie już miał tego dosyć.

— Powiedział pan: „Nie dokończyliśmy jeszcze wczorajszej rozmowy”. Co to miało znaczyć?

— Nic takiego. Poprzedniego dnia wściekł się na mnie o jakieś głupstwo. Obraził się, ponieważ powiedziałem mu, że jest przeciętnym malarzem. Potem chciałem to jakoś załagodzić. Wiedziałem, że mu to po jakimś czasie przejdzie, ale na razie udawał obrażoną primabalerinę. Kiedy im wyjściu Ewy znowu zażądał klucza, rzuciłem mu ten jego klucz na stół i wyszedłem. To wszystko.

— Jest pan pewien, że to już wszystko?

— O co panu chodzi?

— Chyba pan wie, o co. O ustalenie prawdy.

— Powiedziałem prawdę — powtórzył po raz trzeci Artur.

## 11.VI. wtorek

— Tak mi przykro. Tak mi strasznie przykro! — Ewa chlipała nad filiżanką herbaty.

— Nie myśl już o tym, dziecinko — pocieszała ją Aneta. — Nie było innego wyjścia.

— Było. Mogłam nic nie mówić. Milicja wcześniej czy później wpadłaby na jego ślad. Ale stałoby się to bez mojego udziału.

— Uspokójcie się obydwie i to natychmiast. Od wczoraj słyszę tylko wasze pojękiwania — przerwała im energicznie babcia Karolina. — Nie znoszę mazgajstwa. Zresztą nie wierzę, żeby stary Kostera był mordercą.

— Podobno się przyznał...

— Wiem, wiem. Przyznał się i co z tego?

— Jak to? — zdziwiła się Aneta.

— On mi nie pasuje do całego interesu. Wszystko to razem jest jakieś nie pozbierane — Karolina była zirytowana. —

Jego zeznania, są mętne. Niczego nie pamięta. Kiedy przyszedł, kiedy wyszedł, po co usiadł na ławeczce koło gabinetu Serczyńskiego. Nagle o wszystkim zapomniał.

— Skąd wiesz? — znowu zdziwiła się Aneta. — Marcin ci powiedział?

— Niczego mi nie mówił — oburzyła się Karolina. — Nie rozmawia ze mną o sprawach służbowych.

Nagle zachichotała, serdecznie ubawiona.

— On prowadzi notatki. Kupił sobie wspaniały notes. Tylko żebyś nie próbowała sobie z niego żartować — dodała groźnie.

— Ależ Karolino!

— Po tobie można się wszystkiego spodziewać. Oczywiście Marcina też trochę przycisnęłam do muru. A że potrafię kojarzyć poszczególne fakty i jak dotychczas mam jeszcze zupełnie niezłą pamięć, więc wiem mniej więcej tyle samo, co on. No, może trochę mniej. Ale wielu rzeczy nie rozumiem. Na przykład co mają wspólnego ze starym Kosterą ikony?

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Zabawna jesteś. W dniu zabójstwa z pokoju, w którym potem znaleziono trupa, zginęły dwa bohomazy, i ty uważasz, że to jest drobiazg bez znaczenia?

— To może nie mieć nic wspólnego z morderstwem.

— Ale równie dobrze może mieć. Albo o co kłócił się Janota z tą... no, jak jej tam... z Moniką Skrzyską? Co miał dla niej skończyć? O czym Artur nie powinien się dowiedzieć? Czy to możliwe, żeby taka osoba jak Monika nie wiedziała o romansie Janoty z Olgą Misłocką? Znała przecież zarówno Olgę, jak i Janotę. Dlaczego Stefcio Serczyński uciekł na widok wozów milicyjnych? Czy to możliwe, żeby człowiekiem, od którego Janota domagał się pieniędzy, był stary Kostera?

— Wykluczone, to nie mógł być on! — zaprzeczała gorąco Ewa.

— Mógł, mógł, ale wcale nie jestem przekonana, że to był on.

— Kostera nie zabił Janoty — upierała się Ewa. — Ten człowiek przeze mnie został niewinnie zaaresztowany... Postaram się dla niego o najlepszego adwokata w Krakowie.

— Na to masz jeszcze czas.

— Nie szkodzi. Ojciec Bomby jest pierwszorzędnym adwokatem. Zaraz do niej zadzwonię.

Ewa wyciągnęła z przepaścistych otchłani swojej myśliwskiej torby kalendarzyk.

— Bomba. Nie znam adwokata o takim nazwisku.

— Bo to nie nazwisko, tylko przezwisko. Na pierwszym roku nazwaliśmy ją Sex-Bomba, czyli Bomba i tak zostało. Ona i wzywa się Danuta Lipska.

— Ach, Lipski!

Ewa przerzucała kartki kalendarzyka.

— Pod „L" nie ma, pod „D" nie ma, musi być pod „B"...

— Zaraz, zaraz, co ty wyprawiasz? Lipskiej szukasz pod „B"? — zdziwiła się Karolina.

— No tak, jest! Lipska 28-112!

— Pokaż no ten notesik. Dlaczego wpisałaś Lipską pod „B"?

— No, bo „Bomba". To chyba jasne. — Ewa rzuciła się do telefonu.

— Zaczekaj! — Babcia Karolina energicznie położyła rękę na słuchawce. — Pozwól, że ja pierwsza skorzystam z telefonu. Koniecznie muszę coś sprawdzić.

Marcin Zieją siedział sam w pokoju, kiedy odezwał się telefon.

— Podporucznik Zieją, słucham — powiedział podnosząc słuchawkę, ale natychmiast zmienił ton. — Babciu! Czy coś się stało?

— Nie, skąd. Chciałabym tylko, żebyś jak. najszybciej coś sprawdził. Zobacz, czy pod literą „K" nie masz nazwiska nie zaczynającego się na „K"?

— Babciu, o czym ty mówisz?!

— O kalendarzyku Janoty oczywiście.

— Rany boskie, Karolino! Błagam cię, przestań się tym zajmować! Nie mam czasu na bzdury! Ja przecież pracuję!

— Właśnie chcę, żebyś przez chwilę trochę popracował! Skoro Ewa wpisuje Lipską pod literę „B”, ponieważ koledzy nazywali ją Bombą, to równie dobrze Janota mógł pod literą „K” wpisać prawdziwe nazwisko tego Kornika. Sam mówiłeś, że...

— Dobrze, dobrze, sprawdzę to potem — powiedział Marcin.

— Nie potem, tylko natychmiast. Czekam przy telefonie i żeby ci nie przyszło do głowy odkładać słuchawkę, bo będę dzwoniła aż do skutku. Albo porozmawiam z tym twoim Derką.

Marcin spojrzał zrozpaczony w stronę drzwi.

— Zaczekaj... — zrobiło mu się gorąco, kiedy wyjmował z teczki Janoty mały kalendarzyk orbisowski. — Może masz rację... — powiedział po chwili niepewnie. — Pod literą „K” jest nazwisko, które wcale nie zaczyna się na „K”...

— No, no — ponaglała Karolina.

— Andrzej Golski.

— Ulica Wiśniowa 6?

— Nie, Derkacza 12...

— Aha, to nie ten. W każdym razie pomyśl nad tym jeszcze chwilę. Myślenie ma podobno kolosalną przyszłość.

— Błagam cię, przestań się tym zajmować! — Marcin w popłochu spojrzał w stronę drzwi. W progu stał kapitan Derko. — Muszę już kończyć. .Przepraszam cię, jestem bardzo zajęty.

— Domyślam się, że babcia Karolina dala o sobie znać?

— Nie, nie... Rozmawiałem ze znajomą— skłamał niezręcznie Marcin.

— Aha... — powiedział bez przekonania Derko. — A czegóż to pan szuka w kalendarzyku Janoty?

— Chciałem coś sprawdzić...

— No i sprawdził pan?

— Tak., to znaczy niezupełnie... Panie kapitanie — powiedział Marcin Zieją z desperacją

— czy nie uważa pan, że Andrzej Golski może być tym tajemniczym Komikiem?

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Ponieważ... ponieważ Janota wpisał jego adres i numer telefonu pod literą „K”. Skoro Ewa wpisuje Bombę pod „L”... to znaczy na odwrót, Lipską pod „B”, tylko dlatego, że kiedyś nazywano j ą na uczelni „Bomba”...

— Podporuczniku, o czym pan mówi?

Derko przerzucał kartki kalendarzyka, podczas gdy Marcin usiłował całą rzecz wyłożyć od początku. Wreszcie kapitan rzucił kalendarzyk na biurko i spojrzał na podporucznika badawczo.

— Czy pan to sam wykombinował?

— Panie kapitanie...

Marcinowi na samą myśl, że za chwilę będzie musiał powiedzieć o babci Karolinie, po prostu „odjęło mowę”. Stał bez słowa w postawie „na baczność”, przeklinając w duchu swoją nadmierną gadatliwość wobec Karoliny.

— Zresztą to nieistotne — powiedział Derko z ledwo widocznym uśmieszkiem na twarzy.
— Cala ta pańska historyjka jest zupełnie idiotyczna. Absolutnie pozbawiona sensu.

Marcin poczuł, że się czerwieni.

— Panie kapitanie...

Derko już nie słuchał. Podniósł słuchawkę telefoniczną i wykręcił numer.

— Zygmunt? Musisz porozmawiać z kilkoma absolwentami Akademii Sztuk Pięknych, rocznik Janoty. Dowiedz się, czy Andrzej Golski miał wśród swoich kolegów jakieś przezwisko... No, mówię wyraźnie, przezwisko: Kalosz, Bufon, Książę... lub coś w tym rodzaju. Tylko gazem. Masz na to godzinę. Czekam.

Derko odłożył słuchawkę i spojrzał rozbawiony na Marcina Zieję.

— Historyjka zupełnie pozbawiona sensu — powiedział i wyszedł z pokoju.

## Nadal wtorek, 11.VI.

— Nie rozumiem, o co pani chodzi?

Andrzej Golski starannie szorował ręce namydloną szczoteczką.

— Chyba wyraziłam się dosyć jasno? Oczywiście nie mogę pana zmusić do rozmowy. Trudno. Ale jeżeli pan pozwoli, odpocznę u pana przez chwilę. W moim wieku spacery na drugi kraniec miasta są jednak trochę, męczące.

— Co pani przyszło do głowy, żeby mnie nachodzić? Czy pani naprawdę myślała, że będę opowiadał zupełnie obcej osobie o moim zmarłym koledze?

— Miałam nadzieję, że jednak zechce pan ze mną porozmawiać. Ta młoda dziewczyna, która chwilowo jest pod moją opieką, przeżyła poważny szok po aresztowaniu pana Kostery. Wyrzuca sobie, że jej zeznania obciążyły niewinnego człowieka.

— Gdyby był niewinny, nie aresztowano by go. Zresztą to nie moja sprawa. — Z rozmachem rzucił zmięty ręcznik na stojące w kącie krzesło.

— Jak pan sobie życzy... Czy mógłby mi pan dać szklankę wody?

— Źle się pani czuje? — zapytał podejrzliwie.

— Jestem trochę zmęczona.

Golski bez słowa wziął kubek stojący na umywalce i nalał do niego wody.

— Ma pan ładną pracownię — powiedziała ugodowo babcia Karolina.

— Doprawdy? Widziałem ładniejsze.

— Duża, wygodna... Niech się pan nie gniewa, że się tak rozglądam. — Karolina wstała i powoli podeszła do stojących pod ścianą kamiennych brył. — Jak widzę, robi pan teraz w kamieniu? O ile mnie pamięć nie zawodzi, swego czasu wolał pan drzewo?

— Jak pani może to pamiętać? — zapytał kpiąco Golski. — Ja nie należę do twórców, których się wystawia.

— Tak, wiem... A szkoda.

Karolina rozejrzała się znowu po pracowni i demonstracyjnie posapując wróciła na fotel, w którym wygodnie się rozparła.

— Pana to dziwi, że znam pańskie prace. Widzi pan, interesuje mnie twórczość młodych, To jest takie moje hobby. Od wielu, wielu lat odwiedzam co roku wystawę studentów ASP. Pamiętam jeszcze studenckie prace Janoty... i wielu innych. Mam zadziwiającą pamięć do nazwisk — dodała z uśmiechem. — W moim wieku to prawie niespotykane. Prawda? Pańskie nazwisko nie jest mi obce. Widziałam pańskie prace. Bardzo interesujące. Ale to były prace w drzewie. Czyżbym się jednak myliła?

— Rzeczywiście, ma pani fenomenalną pamięć — powiedział Golski nieco łagodniej. — Istotnie, będąc jeszcze studentem, wolałem drzewo... To było niemal obsesyjne upodobanie. Drzewo, porowate, chropawe... Zrobiłem wtedy cały cykl w drzewie: „O czasie”. Myślałem, że umie koledzy zjedzą z kopytami za ten cykl. Wierciłem w drzewie na całej powierzchni otwory różnej wielkości, zagęszczające się w niektórych partiach tak dalece, że robiły wrażenie ażurowej siatki. Czy pani wie, jak mnie przezywali? Komik. Stary Komik! Ten pani Janota jeszcze do dziś czasem mnie tak nazywał. Ileż w tym było pogardy, lekceważącej pogardy...

— Tak, tak, młodzi ludzie bywają okrutni... Pamiętam, bardzo dobrze pamiętam pańskie prace, może dlatego, że zrobiły na mnie duże wrażenie. — Karolina pokiwała z uznaniem głową. — Ma pan bardzo ładną pracownię. Kto by pomyślał, że w tej starej przybudówce znajduje się takie pomieszczenie. Pan tu mieszka?

— Nie, Mieszkam obok.

— Świetnie się pan urządził.

— Władowałem w to wiele pieniędzy — powiedział Golski siadając na drewnianym zydlu.

— Masę. Nawet tego nie widać.

— Wyobrażam sobie. No, ale za to ma pan znakomite miejsce do pracy.

— Zawracanie głowy. Nie mogę tu pracować. Nie mogę w

ogóle pracować w tym cholernym mieście!

— Dlaczego? — zdziwiła się babcia Karolina.

Spojrzał na nią ze złością.

— Ja muszę mieć spokój do pracy. To nie jest pracownia. To jakaś remiza tramwajowa. Każdy może wejść i dowolnie długo przeszkadzać mi w pracy. W sąsiedztwie jest warsztat samochodowy. Nie mogę tego znieść. Wyprowadzę się! Wyniosę się z tego miasta. Wyjadę gdzieś na wieś, do lasu. Kupię sobie starą leśniczówkę albo jakąś stodołę i wreszcie będę miał spokój!

— To bardzo dobry pomysł. Sądzę, że pan dostatecznie dobrze zarabia, żeby sobie pozwolić na kupno jakiejś starej leśniczówki.

— Zarabia! — Golski wzruszył ramionami. — Pani, jak widać, nie ma pojęcia, w jakiej sytuacji znajdują się artyści. Oczywiście mówię o tych, którzy nie rozmieniają się na drobne. Gdybym fabrykował figurki do Cepelii, na pewno nie brak by mi było pieniędzy. Ale ja nie zajmuję się takimi duperelkami. Nie będę knocił „Pamiątek z Krakowa”, tak jak to robią moi czcigodni koledzy.

Splunął z obrzydzeniem na podłogę i wyciągnął z kieszeni fajkę.

— Co pan powie? Myślałam, że pan świetnie zarabia?

— Zarabiają chałturszczycy i kombinatorzy, a nie artyści.

— A mówił pan, że wydał pan masę pieniędzy na przeróbkę tej pracowni.

— Zadłużyłem się jak idiota. Jak pani się ta pracownia tak podoba, może ją pani odkupić ode mnie — powiedział, rozglądając się niechętnie po swoim „królestwie”

— Chce pan sprzedać pracownię?! Ależ dlaczego? Teraz już nie musi pan jej sprzedawać.

— Co pani opowiada?

— Chyba pan nie musi, skoro pański wierzyciel nie żyje?

— Co pani opowiada! — powtórzył ze złością.

— Przecież pożyczył pan pieniądze od Janoty. Sądzę, że nie wystawił mu pan rewersu?

— Wie pani co, niech pani już stąd idzie, bo mogę pani

nagadać głupstw. Jakim prawem wtrąca się pani w nie swoje sprawy. Co panią to obchodzi, od kogo pożyczyłem pieniądze!

— Nie chciałam pana dotknąć. Niepotrzebnie pan się denerwuje.

— Po co pani tu przyszła?

— Już panu mówiłam. Ani ja, ani ta dziewczyna, o której panu wspominałam, nie wierzymy, że Kostera mógł zabić Janotę.

— Niech mi pani wreszcie da święty spokój! — wrzasnął.

— Pan był jego przyjacielem. Mógłby pan pomóc w wykryciu: prawdziwego zabójcy.

— Rany boskie! Przecież ja nie wiem, kto to zrobił! Zresztą milicja już mnie przesłuchiwała i zostawili mnie w spokoju. Dlaczego pani się do mnie przyczepiła?

— Niepotrzebnie pan się tak irytuje. Istotnie, nie mam prawa pana nachodzić. Ale sądziłam, że pan, jako przyjaciel Janoty, mógłby jednak coś pomóc. Mieliście wspólnych znajomych, wie pan, z kim się spotykał, z kim przyjaźnił. Wcale nie chcę, żeby mi pan opowiadał cokolwiek. Może mi pan nic nie mówić. Proszę się tylko zastanowić, czy nie wie pan o czymś, co mogłoby mieć znaczenie dla śledztwa. Niech pan weźmie pod uwagę, że być może niewinny stary człowiek spędzi resztę życia w więzieniu. Niech pan o tym pomyśli.

Golski roześmiał się.

— Jest pani uparta i bezczelna. Co miałem do powiedzenia, już powiedziałem milicji...

— Szkoda. Działa pan wbrew własnym interesom.

— Doprawdy?

— Milicja wie, że pożyczał pan pieniądze od Janoty. W sumie 65 tysięcy. Janota wyznaczył panu tygodniowy termin zwrotu pieniędzy i nie chciał już dłużej czekać. Milicja wie również, że był pan u Janoty w dniu zabójstwa. Waszą kłótnię słyszał: doktor Serczyński. Pan był w pracowni Janoty, mało tego, był pan ostatnią osobą, która widziała Janotę żywego.

— Co pani... co pani tu opowiada?!

Golski wstał z zydla i powoli podszedł do Karoliny. Patrzył na nią błyszczącymi, złymi oczyma.

— Co to za brednie?

— To nie są brednie. Pan o tym dobrze wie.

— Brednie! — Golski zaczął mówić podniesionym głosem: — Wierutne kłamstwa! Nie byłem tego dnia u Janoty.

— Doktor Serczyński...

— Co mnie obchodzi jakiś doktor Serczyński.

— Doktor Serczyński siedział na tarasie, a okno od pracowni było otwarte. Na dole słychać było wasze podniesione głosy.

Golski odwrócił się nagle na pięcie. Kopnął wściekle jakiś kubeł z gliną, a potem znowu usiadł na zydlu.

— To nie byłem ja — powiedział nieco spokojniej. — To musiał być ktoś inny.

— Zachowuje się pan wprost śmiesznie. Wystarczy pokazać pańskie zdjęcie kilku osobom mieszkającym w pobliżu willi Serczyńskich. Milicja na pewno już to zrobiła. Znajdą się świadkowie, którzy pana rozpoznają. Ktoś musiał przecież pana widzieć. A pan nie będzie miał żadnego alibi. Żadnego, ponieważ był pan wtedy u Janoty. Pańska sytuacja wcale nie jest wesoła. Miał pan motyw i sposobność, żeby zabić Janotę.

— Co mi pani opowiada! Kostera miał zarówno motyw, jak i sposobność, jak to pani określa, a poza tym zjawił się u Janoty po moim wyjściu. I przyznał się! Ja zostawiłem Grzegorza żywego!

— Kostera go nie zabił. A z tym motywem to chyba pan przesadza. Chyba nie usiłuje mi pan wmówić, że Kostera zabił z zazdrości kochanka swojej nieżyjącej już od pięciu lat żony. Dlaczego czekał aż pięć lat?

— Może dopiero teraz się dowiedział?

— Nic podobnego. Jeszcze za jej życia wiedział, że ma kochanka.

— Ale nie wiedział, że Olga przez niego umarła.

— Popełniła samobójstwo, ponieważ obawiała się, że nigdy nie będzie mogła już grać. Dla znanej pianistki utrata

możliwości uprawiania zawodu...

— Ale kto ją tego pozbawił? Jeszcze pani nie wie? To stało się przez Janotę! To on jej przetrącił rękę tym swoim cholernym świecznikiem.

Karolina przez dłuższą chwilę milczała, obracając w palcach niedopałek papierosa,

— Świecznikiem?... Pięć lat temu mówił pan co innego,

— Tak. Ponieważ obiecałem pomóc koledze. Z Moniką Skrzyską złożyliśmy fałszywe zeznania, żeby go ratować. Taka jest prawda. A pani opowiada mi teraz jakieś bzdury.

— Więc jaka była ta prawda?

— Olga była nieznośną histeryczką. Starała się utrzymać w tajemnicy swój romans z Janotą. Nie wolno mu było do niej dzwonić ani przychodzić ani pisać listów. Spotykali się w tajemnicy, wyjeżdżali do jakichś zapadłych dziur. Potem ona znikała na wiele tygodni. Wyjeżdżała na koncerty, pracowała, a on mógł o niej przeczytać co najwyżej w gazecie. W ogóle musiał trzymać się z daleka. Grzegorz po jakimś czasie miał jej serdecznie dosyć. Ale ona pilnowała go jak pies policyjny. Była o niego wściekle zazdrosna. Monika Skrzyską przyjaźniła się z Olgą. Już po jej śmierci opowiadała mi nieraz, jakie piekło fundowała Grzegorzowi ta cudowna Oleńka. Zrywali ze sobą kilka razy, a potem się godzili. Wreszcie Janota dostał zaproszenie na rok do Paryża. Oczywiście przyjął je. Misłocka zaczęła szaleć. Podobno zupełnie zwariowała. I właśnie wtedy zdarzył się ten nieszczęśliwy wypadek. Olga przyszła, do pracowni Janoty. Była podobno trochę pijana. Pokłócili się i Misłocka rzuciła się na Janotę z pięściami.. I wtedy on ją odepchnął. Zbyt mocno, jak na mój gust. Upadła do tyłu, uderzając głową w półkę, na której stał ten ulubiony świecznik Janoty. Świecznik spadł tak nieszczęśliwie, że pogruchotał jej kości w prawym nadgarstku. Janota zupełnie stracił głowę. Chciał dzwonić na pogotowie, ale ona nie zgodziła się na to. Wyła z bólu, ale nie chciała, żeby pogotowie zabierało ją z mieszkania jej gacha. Janota zadzwonił do Moniki, a ona przyleciała do mnie. Po prostu Monika nie umie prowadzić

samochodu, a pod oknem Janoty stał wóz Misłockiej. Zawiozłem ją do szpitala i powiedziałem, że spadła ze schodów. Tak sobie życzyła Olga. Bała się skandalu, jak ognia.. „Mój mąż nie może się o tym dowiedzieć”, płakała przez całą drogę do szpitala. Bała cię plotek, bała się wszystkiego. Grzegorzowi nie wolno było nawet pokazać się w szpitalu, A potem... kiedy już nie żyła, postanowiliśmy z Moniką trzymać się naszej pierwszej wersji. Ten idiota chciał się sam oskarżać, ale wytłumaczyliśmy mu, że nie może tego zrobić ze względu na jej męża i dziecko. A poza tym chcieliśmy go ratować przed odpowiedzialnością kamą. Bądź co bądź spowodował ciężkie uszkodzenie ciała, no i pośrednio pchnął j ą do samobójstwa. Dzięki nam uniknął skandalu, przesłuchań, a może nawet sądu. Ach! W ogóle! O czym tu gadać! Narażaliśmy się na poważne nieprzyjemności, żeby tylko ratować kolegę z opresji. A teraz pani sobie wymyśliła, że ja poszedłem do niego i dałem mu w łeb?

— Zażądał zwrotu pieniędzy, których pan nie miał.

— Bzdura! To on był moim dłużnikiem. A nie ja jego! Dlaczego miałbym go zabić?! Stary Kostera miał powody. Musiał się dowiedzieć, jak to było naprawdę z jego Oleńką. Pani mówi pięć lat. Skąd pani wie, czy przez te pięć lat codziennie nie marzył, żeby Janocie rozwalić łeb? A jeżeli nie on, to jego synek. Wisiał przy Janocie, który sobie ubrdał, że ma wobec niego jakiś moralny obowiązek. Biedna sierotka, której życie potoczyłoby się zupełnie inaczej, gdyby nie śmierć ukochanej mamusi. Dwa razy, pani rozumie, dwa razy chciano go wylać z akademii za pijaństwo i rozróby. Za każdym razem Janota gardłował w jego obronie na radzie wydziału. Mówiłem Grzegorzowi, żeby zostawił tego gnoja jego własnemu losowi. Ale nie! Ten chciał koniecznie „wyprowadzić go na łudzi”. Arturek sprowadzał do jego pracowni dziwki, obrzygiwał mu mieszkanie, ciągnął od niego forsę, a potem płakał mu w mankiet, że jest taki samotny, że jedyną istotą, która mogłaby go uratować, była jego matka. No i Janota usiłował spłacić swój dług wobec

Olgi i ciągnął tego łobuza za sobą. Artur jest zdolny do wszystkiego. Według mnie nienawidził Grzegorza. Chciał go zniszczyć. Jeżeli wreszcie Grzegorz zorientował się, z kim ma naprawdę do czynienia, jeżeli chciał się go pozbyć, Arturek mógł z wściekłości rozwalić mu łeb.

— Bardzo przekonywające to, co pan mówi — powiedziała powoli Karolina — ale Artur opuścił pracownię przed panem. Widziano go, jak wychodził z willi Serczyńskich, widziano go później na przystanku tramwajowym. W tym samym czasie, kiedy on odjeżdżał tramwajem ze Zwierzyńca, pan wchodził do pracowni Janoty.

— Jest pani pewna, że nie wrócił?

Karolina milczała.

— A skąd u Janoty znalazł się stary Kostera? Po co przyszedł? Żeby mu podziękować za to, że mu zabił żonę? Bo przecież Janota zabił mu żonę. Zrobił z niej kalekę.

— Sam pan twierdzi, że nikt o tym nie wiedział poza panem i Moniką Skrzyską.

— Ja nikomu o tym nie mówiłem. Wreszcie nie miałem ochoty odpowiadać za złożenie fałszywych zeznań. Ale za Monikę nie mogę ręczyć.

— Teraz rozumiem, dlaczego Janota powiedział: „Dajcie mi spokój z waszą przyjaźnią, drogo mi każecie za nią płacić”. Pan kazał sobie zapłacić za tę przyjacielską przysługę 65 tysięcy złotych. Czego zażądała Monika?

— Pani przekręca to, co powiedziałem! Nie kazałem sobie za nic płacić!

— Czego zażądała Monika? — powtórzyła Karolina.

— Niechże się pani odczepi ode mnie! Nie wiem! Nie wiem! Pewnie niczego!

— Dlaczego nazwał go pan fałszerzem?

Golski patrzył na Karolinę przez dłuższą chwilę w milczeniu, Zastanawiał się nad czymś, wreszcie powiedział powoli:

— Kiedy? Nie przypominam sobie.

— Podczas waszej ostatniej kłótni powiedział pan: „Jesteś fałszerzem, Janota”.

— Niczego takiego nie mówiłem.

— Dlaczego pan kłamie?

— Co jest, do licha! Prowadzi pani śledztwo? Co to ma znaczyć? Po co ja w ogóle z panią rozmawiam! Niech się pani wreszcie wynosi! Mam tego dosyć!

— Trudno. Jak pan uważa. — Karolina wstała. — Bardzo dziękuję za rozmowę. Była bardzo interesująca, jednak słyszałam o wielu wypadkach, w których ludzie za mniejszą sumę niż 65 tysięcy rozwalali komuś łeb.

— Jak Boga kocham! Za chwilę zrobię to zupełnie za darmo!

— Wierzę, że jest pan do tego zdolny. Żegnam — powiedziała z godnością Karolina i wyszła.

Na podwórzu jednak zatrzymała się. Rzuciwszy szybkie spojrzenie w stronę starej, zarośniętej dzikim winem willi właściciela „posesji", ostrożnie wróciła pod drzwi pracowni. W środku panowała zupełna cisza. Upewniwszy się jeszcze raz, że nikt jej nie obserwuje, wkroczyła dziarsko na wąski trawniczek ciągnący się wzdłuż bocznej ściany pracowni. Po kilku krokach zatrzymała się. Zaczynało się tu olbrzymie okno wypełniające prawie całą południową ścianę przybudówki. Babcia Karolina stała pochylona, nasłuchując przez nie domknięte okno głosów dochodzących z pracowni. Golski rozmawiał z kimś przez telefon: „Podobno ostatnio interesujesz się ikonami?" — powiedział. — „Wiesz, że niektóre zainteresowania bywają bardzo kosztowne"...

— Co pani tam robi na tym trawniku?

Karolina podskoczyła jak oparzona. W progu sąsiedniego domu stała jakaś kobieta i przyglądała się Karolinie z wyraźnym niezadowoleniem.. Karolina szybko opuściła trawniczek, nie oszczędzając mizernych kwiatków, których chyba od wieków nikt nie podlewał.

— Niechże pani nie krzyczy — powiedziała niechętnie.

— Depcze pani grządki, zagląda do cudzego mieszkania, a ja mam na to patrzeć cierpliwie,, i nie, odzywać się? — huknęła nieznajoma.

— Oj, dobrze, dobrze. Szukam pana Rybczyńskiego.

— Nie mieszka tu taki.

— Właśnie widzę, że nie mieszka.

— No to na co jeszcze pani czeka? Nie ma tu już więcej grządek do deptania.

— Ale jest za to jedna do podlewania, czego, jak dotąd, nikt nie zauważył — powiedziała Karolina z godnością, wycofując się w stronę furtki prowadzącej na ulicę. — Wściekłe babsko!

— mruknęła z niezadowoleniem. — Całe szczęście, że Golski nie usłyszał jej wrzasków.

Karolina wróciła do domu jak zwykle taksówką. Usiadła w swoim ulubionym fotelu i obliczyła szybko, ile w ciągu ostatnich kilku dni wydała pieniędzy na niepotrzebne nikomu jazdy. Wprawiło ją to natychmiast w okropny humor. Była zmęczona i głodna, ale nie chciało jej się szykować czegoś dojedzenia. Postawiła przed sobą filiżankę z gorącą herbatą i z pasją zaczęła pruć swoją ostatnią dziergotkę.

Na szczęście koło szóstej przyleciała Ewa, która szybko zorientowała się w sytuacji i zakręciwszy się po kuchni, zabrała się dziarsko do zajęć gospodarskich. Potem usiadła koło Karoliny i, zwijając zgrabne kłębuszki kolorowej włóczki, wysłuchała relacji o wizycie, u Andrzej a Golskiego.

— To był on — powiedziała z przejęciem. — Golski zabił Janotę, ponieważ nie chciał albo nie mógł oddać mu pieniędzy.

— Tak myślisz? — zapytała ostrożnie Karolina.

— Ależ tak! Na pewno! Pokłócili się i wtedy... Przecież doktor Serczyński mówił o jakiejś szamotaninie.

— Może... może właśnie tak było. Ale w takim razie skąd się wzięły na podłodze rozdeptane farby? Dlaczego nie było śladów stóp. Golskiego? Dlaczego Kostera nie zauważył, że pracownia wygląda jak pobojowisko?” Kto otworzył drzwi staremu Kosterze?

— Nie wiem. Ale musi pani przyznać, że Golski może być mordercą?

— Tak, ale równie dobrze może nim być Kostera... albo

Artur. Albo ktoś, kogo w ogóle nie bierzemy pod uwagę, ktoś, kto przyszedł po Golskim, a przed starym Kosterą. — Babcia Karolina zaczęła niecierpliwie wrzucać do plastykowej torby kłębki włóczki i nie dokończoną robótkę. — Należałoby sprawdzić, czy Artur nie kręcił się w tym czasie koło willi Serczyńskich, czy naprawdę odjechał, czy Stefcio leżał cały czas na tarasie, czy Marianna zajmowała się wyłącznie gotowaniem obiadu, a Serczyński czytaniem gazety, czy ktoś podejrzany nie wałęsał się pod domem, czy Stefcio na pewno niczego więcej nie widział, nie słyszał i dlaczego bał się milicji. Poza tym kto zabrał ikony...

— Czy pani ma zamiar...

— Nie, nie mam! — przerwała energicznie Karolina. — Od tego jest milicja. Bądź pewna, że oni potrafią zadać te same pytania i wiele innych, które nam nawet nie przychodzą do głowy.

Z niewiadomych powodów Karolina była wyraźnie podrażniona.

— Zresztą ja mam zupełnie co innego do roboty — powiedziała stanowczo. — Podjęłam się pewnej pracy społecznej (można to i tak nazwać) dla Związku Kynologicznego. W lipcu odbędzie się Ogólnopolska Wystawa Psów Rasowych, w Łodzi. Nasz związek wypadł w ubiegłym roku dosyć mizernie... Postanowiliśmy zaagitować właścicieli do wystawienia swoich pupili. Chodzi bądź co bądź o honor krakowskiego oddziału — powiedziała z lekkim uśmieszkiem.

— Na czym ma polegać ta praca społeczna? — zapytała Ewa bez entuzjazmu.

— W związku przyjęto mój projekt z dużym zadowoleniem. Kilka osób zwizytuje niektórych członków. Trzeba trochę z nimi pogadać, tym bardziej że niektórzy płacą składki nieregularnie... No, muszę przygotować kolację dla Marcina. Pewnie niedługo wróci. Właściwie powinien już być w domu.

Ewa wydawała się zawiedziona. Z pewnym ociąganiem poszła za Karoliną do kuchni.

— Czy taka praca nie będzie dla pani zbyt męcząca?
— Ach nie! Dostałam tylko jedną dzielnicę. Wyobraź sobie, co za zbieg okoliczności. Wiesz, jaką mi przydzielono dzielnicę? Zwierzyniec.
Ewa roześmiała się.
— Byłam tego pewna!
— Nie wiem właściwie, co masz na myśli — Karolina energicznie postawiła czajnik na gazie. — Marcin jest bardzo zdolny. Jestem przekonana, że będzie z niego wyśmienity oficer śledczy. Brak mu tylko odrobiny tupetu i pewności siebie. No i trochę szczęścia, żeby dobrze wystartować. Derko i ta cała jego kompania to stare wygi. Marcina to trochę deprymuje, chociaż się do tego nie przyznaje.

## 12.VI. środa

Następnego dnia już o dziewiątej rano Karolina krążyła po Zwierzyńcu. Szczególnie pociągała ją ulica Akacjowa. Wdała się nawet w rozmowę z jakąś panią, która w ogródku pod czwartym plewiła grządki. Ale zainteresowanie Karoliny wyjątkowo udanym egzemplarzem róży piennej nagle osłabło, kiedy zauważyła przystojną brunetkę, wychodzącą z willi położonej po przeciwnej stronie ulicy.
— Skąd ja znam tę osobę? Na pewno już ją gdzieś widziałam — zaczęła się głośno zastanawiać.
— To jest żona doktora Serczyńskiego — powiedziała właścicielka róży i z powrotem pochyliła się nad grządką.
Karolina wysłuchała jeszcze kilku światłych rad na temat hodowli tulipanów i pożegnała gościnną i dosyć gadatliwą ogrodniczkę.
W willi doktora Serczyńskiego panowała niczym nie zmącona cisza. Dopiero po drugim dzwonku szczęknął zamek i w progu stanęła wysoka, starsza kobieta.
— Czy zastałam pana Serczyńskiego? — zapytała Karolina.
— O tej porze pan jest w szpitalu — odpowiedziała Marianna i już chciała zamknąć drzwi.

— Proszę zaczekać. Może jest pani Serczyńska?

— Wyszła. A o co chodzi?

— Widzi pani, mam sprawę do państwa Serczyńskich. Muszę z nimi porozmawiać. Właściwie wolałabym z panem doktorem, ale mogłabym w ostateczności z jego żoną.

— Niech pani przyjdzie po południu.

— Chodzi o Stefcia. Pani rozumie, że wolałabym spotkać się z kimś z rodziny teraz, kiedy chłopiec jest w szkole. Bo mam nadzieję, że on jest w szkole?

— O co pani właściwie chodzi? — zapytała Marianna podejrzliwie.

— Pani j est j ego krewną?

— Nie, ale o co chodzi?

— To delikatna sprawa. Muszę rozmawiać z rodzicami.

— Rodzice! — Marianna wzruszyła ramionami. — Niech pani wejdzie.

— Będę mogła zaczekać na ojca lub matkę?

— No, niech pani wejdzie.

W milczeniu wprowadziła Karolinę do dużego pokoju.

— Może mi pani powiedzieć, o co chodzi. Ja tu pracuję od piętnastu lat..

Karolina bez zaproszenia usiadła w fotelu,

— Widzi pani, ja jestem z komitetu rodzicielskiego..

— Tak? — zdziwiła się Marianna. — Ja pani nie znani. Mieszka pani na Zwierzyńcu?

— Nie. Ale mój wnuk chodzi do tutejszej szkoły.

— Jak się nazywa?

— Nie może go paru znać. Jest dopiero w pierwszej klasie. Jego matka pracuje. Więc ja się nim często zajmuję. Przychodzę na wywiadówki, zebrania rodzicielskie. Kto z młodych ma dzisiaj na to czas. A kontakt ze szkołą jest bardzo ważny dla dziecka Bardzo ważny.

— No, dobrze, ale skoro pani wnuk nie jest kolegą Stefcia, to właściwie dlaczego pani się nim interesuje?

— Miałam rozmawiać z jego ojcem — powiedziała Karolina niechętnie. — Dyrektor prosił mnie, żebym porozmawiała z rodzicami.

— Przecież rano nie może pani zastać doktora w domu.
— Kiedy wróci jego żona?
— Ona nie jest matką Stefcia — zniecierpliwiła się Marianna.
— Wiem. Mówiłam dyrektorowi, że na tym. polega właśnie cały problem. Rozbita rodzina, brak opieki, brak matki.
— Niech pani wreszcie powie, co on takiego zrobił?
— Myślę, że mogę mieć do pani zaufanie? Jest pani jakby członkiem rodziny. Stefan wagaruje. Jeżeli się nie zmieni, wyrzucą go ze szkoły.
— Me mogą go wylać.
— Dyrektor jest innego zdania.
— Powinni mu pomóc, a nie wyrzucić. To jest dobre dziecko, tylko... sama pani powiedziała... bez matki.
— Nie uczy się.
— No to co? Taki wiek.
— Inni chłopcy w jego wieku zdają maturę. Stefan ma bardzo dobre warunki. Mógłby być pierwszym w klasie.
— To nie jego wina.
— Właśnie dlatego będę musiała porozmawiać z ojcem. Tym bardziej, że to jeszcze nie wszystko.
— Co jeszcze?
— Sama pani wie.
— Skąd mogę wiedzieć? Mówię pani, że to dobre dziecko.
— Boję się, żeby się całkiem nie zmarnowało.
— Co pani opowiada? Niech pani mówi wyraźnie, o co chodzi?
— Wolałabym z ojcem. Zadzwonię po południu do doktora i umówię się.
Karolina zrobiła ruch, jakby chciała wstać. Na jej twarzy malowało się szczere zakłopotanie. Istotnie żałowała, że tu przyszła. Napięcie, z jakim obserwowała ją ta kobieta, sprawiło, że zrobiło jej się wstyd.
— Niech się pani tym nie przejmuje. Wreszcie to nie pani dziecko — powiedziała.
— Wychowałam go jak matka. Był zupełnie mały, kiedy tu przyszłam. Nikt się nim nie zajmował. Wycierałam mu nos, a

potem nauczyłam, czytać. Sama niewiele umiem, ale robiłam, co mogłam. To jest dobry chłopak — powtórzyła Marianna z uporem.

— Może ojciec go trochę rozpieścił? Pozwalał mu na wszystko.

— Nie. Ojciec po prostu się nim nie interesował. Nie miał na to głowy. Zresztą czy mężczyzna potrafi wychować dziecko? Czy on się na tym zna? Wyobraża sobie, że jak kupi chłopakowi zagraniczne dżinsy i magnetofon kasetowy to już jest dobrym ojcem. Szpital, pacjenci, 5 teraz jeszcze młoda żona.

— Tak, tak, ma pani rację... No, ale ja już pójdę...

— Chyba nie przyszła pani tylko pa to, żeby powiedzieć, że Stefcio wagaruje?

— No, nie... ale to już nieważne...

— Jak to nieważne? Czy on coś zrobił?

— Proszę pani, powiem pani prawdę. Mnie nie przysłał tutaj dyrektor szkoły. Czy pani myśli, że on ma czas na jednego ucznia? Jak Stefan nie będzie się uczył, to zostanie na drugi rok w czwartej klasie, a jak coś narozrabia, wyleją go ze szkoły. Nikt sobie nim nie będzie głowy zawracać. Stefana znają wszyscy chłopcy w szkole. Opowiadał mi o nim mój wnuk. Wiem, że wagaruje, że ma nieodpowiednich kolegów, że boi się milicji.

— Co to za wymysły?!

— Tak, boi się. Czy to normalne, żeby dziewiętnastoletni chłopak uciekał, na widok milicjanta? To nie moja sprawa, ale uważam, że ktoś powinien się nim zająć. Póki nie jest za późno. Karolina wstała.

— Stefan nie zrobił nic takiego, żeby się bać milicji — Marianna mówiła z narastającą pasją.

— Ma pani rację. Nieodpowiedni koledzy są wszystkiemu winni. Imponują mu starsi chłopcy, którzy włóczą się z dziewczynami i piją wódkę. Ulega ich wpływowi. Zwłaszcza tego Artura! Mówiłam Stefanowi, że tak chce go naśladować, a przecież nawet on zdał maturę i jest już studentem. Wprawdzie jaki on tam student! Artysta! Bezczelny bękart.

Ale to już już skończyło. Niech on mi się tylko pokaże!

— Skoro pani uważa, że to ten jakiś Artur ma na Stefcia taki zły wpływ, to dlaczego pani go wpuszcza do domu? Niech pani porozmawia z panem doktorem.

— Z nikim nie będę rozmawiać, tylko wyrzucę, łobuza za drzwi. Zresztą on tu już nie przyjdzie. To był przyjaciel tego malarza z góry. Teraz nie ma tu po co przychodzić. A innych to ja przegonię bez niczyjej pomocy. Skończyły się dobre czasy. Niech pani będzie pewna, że ze Stefanem dam sobie radę. Mam na mego sposób!

— Jak pani uważa, ale może jednak lepiej by było powiedzieć o wszystkim ojcu. Jeżeli nie on, to może jego żona zajmie się wychowaniem chłopce.

— Ona!! Jej co innego w głowie, Nie po to wyszła za mąż za starego chłopa, żeby chować cudze dzieci! Pan doktor jest jeszcze przystojnym mężczyzną, ale przede wszystkim ma pieniądze. Własna willa, samochód, ot, co jej się podoba’

— Pani Serczyńska przecież nie pracuje, ma czas...

— Ale nie będzie go marnować na cudze dzieci. Zaraz po ślubie męczyła pana doktora, żeby odesłać Stefcia do babci, do Łodzi. Ale starsza pani tez po nie chciała mieć u siebie. Tak, proszę pani, tak to wygląda. Kto ma się nim zająć? Wszyscy myślą, że on ma aksamitne życie. Owszem, nie żałują mu niczego. Chciał mieć narty, dostał narty i jeździ w zimie do Zakopanego, ale sam. Płyty, aparat fotograficzny, proszę bardzo, ale żeby z nim pogadać, przypilnować, to nie ma kto.

— Niech mi pani powie, czy ojciec daje mu dużo pieniędzy?

— Nie. Pieniędzy nie dostaje. Jak czegoś potrzebuje, to mu kupią, ale pieniędzy mu nie dają. Na kino nieraz ode mnie wyciągał.

— Doktorowa powinna się nim zająć, to jej obowiązek.

— Pani jej widocznie nie zna! Fryzjer, kosmetyczka, nowa kiecka, to ją tylko interesuje. No i chłopy. Do tego na górze też latała. Doktor nawet nie wiedział. Dawno bym stąd poszła ale nie zostawię Stefcia. Zmarnowaliby go do reszty.

Ja go przypilnuję. On mi już będzie chodził jak w zegarku, niech pani będzie spokojna.

— Coś podobnego! Romansowała z tym malarzem i doktor się nie zorientował?

— Nie — odpowiedziała niechętnie Marianna.

— No, a jak przyszła milicja w sprawie tego morderstwa? Oni przecież wygrzebują różne takie historie? Nic się nie wydało? Nikt im o tym nie powiedział?

— Kto i po co miałby o tym mówić? Wszystko się działo w tych zamkniętych ścianach. Jak ona do niego leciała, to nikt spoza domu tego nie wiedział. Nawet ja nie tak szybko się zorientowałam, chociaż nie jestem ani ślepa, ani głucha. Wchodziła do kuchni i mówiła: „Marianno, idę do miasta" i strzelała wejściowymi drzwiami. Kiedyś, może dwa tygodnie, temu, wybiegłam za nią, żeby jej powiedzieć, że w domu nie ma już cytryn. Ona nie robiła zakupów, ale od czasu do czasu przywoziła coś z miasta. Wybiegłam natychmiast po jej wyjściu i bardzo się zdziwiłam, bo nie było jej ani przed domem, ani na ulicy. Zniknęła jak kamfora. Zaczęłam ją obserwować. No i oczywiście przyłapałam ją na tym, że idzie na górę do Janoty. Nic nie powiedziałam doktorowi. Ja się nie wtrącam w cudze sprawy, ale postanowiłam, że jeszcze ją tak urządzę, że ją doktor wyrzuci z domu. Może miałby wtedy więcej czasu dla własnego syna. Ona, była tu zupełnie niepotrzebna... Ale widzi pani, nie doszło do tego, a po śmierci Janoty nie było o czym gadać. Po co? Milicja zaczęłaby niuchać po domu, zaczęliby męczyć doktora. O nią mi nie chodziło, ale po co ściągać ich na naszą głowę. Niech szukają gdzie indziej winnego.

— No tak, mogliby podejrzewać doktora, że zrobił to z zazdrości.

— Wykluczone. Był w szpitalu, a po powrocie do domu siedział na tarasie i czekał na obiad. Potem poszedł prosto do gabinetu.

— Skąd pani może wiedzieć? Towarzyszyła mu pani przez cały czas?

— Siedział na tarasie i czytał gazetę. Kiedy nakrywałam do

stołu, widziałam go. I w czasie obiadu też nie był sam. Wrócił właśnie Stefcio.

— Ze szkoły?

— Tak.

— Przecież wagarował tego dnia.

— A co ma z tym wszystkim wspólnego Stefcio! — zdenerwowała się Marianna. — Widzi pani! Gdybym posiedziała milicji o doktorowej, też by zadawali takie głupie pytania. A przecież to bzdura! Doktor zabił Janotę! Co za brednia! Naprawdę śmiać mi się chce! Ten malarzyna prowadził różne ciemne interesy. Niech szukają wśród jego przyjaciół. Taka Monika Skrzyską, jego przyjaciółeczka. Sama słyszałam, jak się kłócili o jakąś robotę, którą miał dla niej wykonać Janota. Albo ten typ, który w dniu zabójstwa awanturował się na górze. Pan doktor słyszał, jak się wydzierali na siebie, jeden drugiemu nawymyślał od oszustów. A potem już nikt nie widział Janoty żywego.

— Pani też to słyszała?

— Oczywiście! Chodziło o forsę. Byłam zajęta przy kuchni i nie zwracałam uwagi na ich wrzaski, więc dokładnie nie mogłabym powtórzyć. Zresztą nie było potrzeby, bo doktor wszystko słyszał i złożył odpowiednie zeznania. Po co ja się miałam w to mieszać. Nie mam ochoty na rozmówki z milicją. Pani pierwszej o tym wszystkim opowiadam. Po prostu zdenerwowałam się. Pani wspomniała o kłopotach, które mógłby mieć Stefcio. Nie wiem, o czym pani myślała, ale chciałabym, żeby temu chłopakowi wreszcie dano spokój.

— Nie mówiłam, że ma jakieś kłopoty, tylko że może się ich nabawić, jeżeli nie zwróci się na niego większej uwagi.

— Wiem. Już ja go przypilnuję. Zapewniam panią. Skończą się koleżkowie j labowanie. Będzie repetował klasę, no to trudno. Za kilka dni wywiozę go na wieś do mojej rodziny. Nie musi czekać na zakończenie roku szkolnego. A od września weźmie się do roboty. Mogłaby pani porozmawiać z jego wychowawczynią. Ze mną nie będzie chciała mówić. Cóż, ja jestem tylko gosposią. Ale pani wysłucha. Niech szkoła ma na niego jakiś wzgląd. To dziecko

chowane bez matki, a w jego domu nie dają mu najlepszego przykładu. Szkoła powinna mu pomóc, a ja zrobię wszystko, żeby on się uczył. Jest zdolny. Jeszcze wyjdzie na człowieka.

— Koniecznie trzeba się nim zająć. Takie straszne rzeczy dzieją się teraz... Zbyt mało uwagi poświęca się ‘młodzieży. Czytałam kilka dni temu w „Echu” o. tym chłopcu, którego wepchnięto pod pociąg. Słyszała pani o tym?

— Nie.

— Znaleziono pokiereszowane zwłoki dwudziestoletniego chłopca koło torów kolejowych. Podobno należał do jakiegoś gangu przestępczego. Milicja jest już na ich tropie. Ogłoszono list gończy. Może widziała pani w telewizji?

— Nie — powtórzyła Marianna.

— Też młody chłopak, ma zaledwie 23 lata. Podejrzany jest o to, że wepchnął tamtego pod nadjeżdżający pociąg.

— Nie wiem, o czym pani mówi. I mało mnie to interesuje. Właściwie po co mi to pani opowiada?

— Ależ bez specjalnego powodu. Po prostu rozmawiamy o młodzieży... Uważam, że należy ją otoczyć szczególną opieką.

— Nie obchodzi mnie to wszystko — przerwała Marianna obcesowo. — Stefanowi nic takiego nie zagraża. Nie zadaje się z bandziorami.

— Kto to może wiedzieć, z kim on się zadaje?

— No, wie pani!

— Zna pani jego kolegów?

— Nie, ale to są chłopcy z „dobrych domów”.

— Co to znaczy z „dobrych domów”?

— Ach, to już nie moja sprawa. Będzie pani czekać na doktorową? Uważam, że to nie ma sensu. Tłumaczyłam już pani, dlaczego.

— Tak, ma pani rację...

Karolina przyglądała się Mariannie w milczeniu, potem westchnęła ciężko i podniosła się ponownie z fotela.

— No cóż. Widzę, że Stefan ma jednak kogoś bliskiego i życzliwego. Mogę pani tylko życzyć powodzenia.

— Porozmawia pani z wychowawczynią?

— Postaram się.

— Pani ją zna? To jest pani profesor Dębska.

— Tak, znam ją..

Karolina pożegnała się i wyszła. Koło furtki ogrodowej obejrzała się jeszcze raz za siebie. Przez chwilę patrzyła na dcm państwa Serczyńskich, potem powoli odeszła ulicą Akacjową, postukując kolorową parasolką o płyty chodnika.

Przez kilka dni Karolina krążyła po Zwierzyńcu, tym razem naprawdę wizytując członków Związku Kynologicznego, których zresztą nie było wielu w tej dzielnicy. Zaprzyjaźniła się z właścicielką wspaniałego dobermana, oczarowała starszego pana, posiadacza pudla-miniaturki i doszczętnie opiła z kawy pewną emerytkę, której jamnik długowłosy był kandydatem do złotego medalu (oczywiście zdaniem Karoliny). W pozostałych sześciu domach, witano ją już jak starą znajomą. Kilka razy zatrzymywała się u wylotu ulicy Akacjowej, w zadumie spoglądając w stronę willi Serczyńskich. Raz nawet po chwili wahania skierowała się w stronę domu, który przyciągał ją jak magnes, ale po kilku krokach, widać, rozmyśliła się i zawróciła. Właśnie wtedy zza rogu wyszło dwóch chłopców. Jeden z nich był rudy. Drugi, dosyć wysoki, o bezczelnym wyrazie twarzy i wyglądzie typowego żuła, mówił podniesionym głosem:

— Nie myśl, że mnie wykiwasz...

Byli tak zajęci sobą, że nawet nie spojrzeli na staruszkę która nagle zaczęła gwałtownie czegoś szukać w swojej torebce. Potem rozejrzała się z rozpaczą, wyciągnęła okulary i, wpatrując się w chodnik, powoli szła z powrotem; penetrowała ze szczególną uwagą trawę pod każdym drzewkiem, rozgarniając ją swoją nieodstępną parasolką. Rudy, który dotychczas wyprzedzał o pół kroku swojego towarzysza, zatrzymał się i powiedział gwałtownie:

— Mówiłem ci, żebyś tu nie przychodził! Nie kręć się koło mojego domu!

— Słuchaj, mały — żul był wściekły — albo forsa, albo

towar. Zapamiętaj sobie, że ze mną nie ma żartów!

— Wiesz, że w tej sytuacji nic nie mogę zrobić.

— Powtarzam i to po raz ostatni: ze mną nie ma żartów.

Nagle odwrócił się i spojrzał na Karolinę.

— Czego? — warknął.

Karolina widocznie nie usłyszała, bo pochyliła się z wysiłkiem i zaczęła obmacywać trawniczek pod kolejnym drzewkiem.

— Czego tu pani szuka?

Babcia wyprostowała się.

— Do mnie mówisz, młodzieńcze?

— A do kogo?

— Chodź no tutaj. Jesteś młodszy i masz lepsze oczy. Spójrz no, czy tu w trawie nie leży taki malutki kluczyk. Wiesz, taki od skrzynki na listy.

— Zgubiła pani?

— Ano właśnie. Musiał wypaść mi z torebki.

— No to niech go pani sobie szuka... Czekam na ciebie jutro pod Basztą— rzucił w stronę rudego i odwróciwszy się na pięcie odszedł, pogwizdując przez zęby.

— Może ty... — zaczęła Karolina, ale rudy nawet nie słuchał. Szybko oddalił się w głąb ulicy Akacjowej.

Zapalona „działaczka Związku Kynologicznego” przez chwilą obserwowała zgrabną sylwetkę chłopca, po czym westchnęła ciężko i podreptała w przeciwnym, kierunku.

Jednak „praca społeczna” dla związku widocznie nie przynosiła jej zadowolenia. W ciągu trzech dni humor wyraźnie jej nie dopisywał. Wracała do domu zmęczona i nieswoja. Nie wdawała się w żadne rozmowy, siadała w swoim fotelu i zapamiętale szydełkowała. Ewa odwiedzała ją codziennie. Robiła zakupy i chętnie wyręczała w pracach domowych. Trochę się niecierpliwiła milczeniem Karoliny, a z drugiej strony bardzo już chciała jechać do domu.

— Do mamy? —pytała z uśmiechem Karolina.

— Nie — mówiła Ewa — nie o to chodzi, Po prostu nie mam tu już nic do roboty. Szkoda mi wakacji.

Wieczorami Marcin grywał z Ewa w szachy, ale ile razy

panie zaczynały rozmowę na temat śledztwa w sprawie Janoty, uciekał do swojego pokoju.

## 17.VI. poniedziałek

Była godzina dziewiąta wieczorem i Ewa już dwukrotnie powiedziała, spoglądając niechętnie na zegarek:

— Chyba już pójdę...

— Posiedź jeszcze trochę — protestowała Karolina. — Nie lubię siedzieć sama w domu.

Marcina widocznie zatrzymało coś niespodziewanego w pracy. Zazwyczaj o tej porze był już w domu. Ewa po raz trzeci miała właśnie zakomunikować, że chyba już pójdzie, kiedy nagle wpadł jak bomba Marcin, strzelając wszystkimi możliwymi drzwiami.

— Babciu! Mamy je! — krzyknął stając w progu.

— Co takiego? — Karolina natychmiast się ożywiła.

— Ikony!

— Walczakowie? — obie panie zapytały równocześnie.

— Tak. Ewa... przepraszam — trochę się speszył — szukam pani po całym mieście. Byłem już u Anety. Powiedziała mi, że jest pani u nas. Przed domem czeka samochód. Obiecałem Derce, że panią przywiozę, oczywiście o ile zgodzi się pani jechać o tak późnej porze.

— Czy powiesz mi wreszcie, jak znaleźliście te ikony? — zdenerwowała się Karolina.

— Babciu, nie mam teraz czasu.

Jednak zatrzymał się w progu:

— Dostaliśmy rano cynk, że Walczakowie wyjeżdżają na wakacje. Nasz samochód jechał za nimi. Derko z Bartkowskim dogonili ich drugim samochodem, minęli w Wiśle i czekali na nich na punkcie granicznym. Szkoda, że mnie tam nie było!

— No i co? — ponaglała Karolina,

— Opowiem ci wszystko z detalami po powrocie z komendy.

— Nie pytam o detale! — babcia cisnęła dziergotę z rozmachem na stół, omal nie wywracając filiżanki z herbatą.

— Walczakowie wieźli ze sobą trzy ikony. Mieli zaświadczenie z Cepelii, że kupione u nich ikony są namalowane przez Janotę i nie przedstawiają wartości muzealnej, jako twórczość „pamiątkarska” nie podlegają ocleniu ani zakazowi wywozu. Lecę!

— Marcin !

— Aha. Okazało się (Derko wiózł ze sobą eksperta), że Janota wcale ich nie malował. Dokonał tylko drobnego retuszu, nadając im swój „sznyt”, zresztą łatwy do usunięcia. Odwrotna strona jest precyzyjnie „zrobiona”. Cienka warstwa świeżego drzewa powleczonego pokostem... takie tam sztuczki i oczywiście naklejki z nadrukiem „Grzegorz Janota — Artysta malarz, Kraków 1972 r., pieczątka Cepelii i numer ewidencyjny. Jedna z nich, zgodnie z zaświadczeniem, była kupiona w Cepelii. Pozostałe dwie miały delikatnie naklejone karteczki z pieczątkami, prawdopodobnie zerwane z ikon, które Walczakowa kupiła już po śmierci Janoty.

Marcin wybiegł z pokoju, ale Karolina z niespodziewaną w jej wieku energią dogoniła go na korytarzu:

— Czy nie możesz powiedzieć w jednym zdaniu jasno i przejrzyście, co to za ikony?

— Ach! Rzeczywiście! To są autentyki.
Siedemnastowieczne autentyki. Wszystko na to wskazuje, że jest to tryptyk skradziony trzy lata temu z muzeum. Lecę!

Ewa z wypiekami na twarzy przyglądała się jasno oświetlonym obrazom.

— Tak, to są te same ikony. Jestem tego pewna. Te dwie — wskazała palcem — widziałam u profesora Janoty w pracowni w dniu, w którym przyszłam do niego po podpis w indeksie. Nie wiedziałam, że to są autentyki. Wyglądały tak samo jak pozostałe. Tej trzeciej nie było wtedy w pracowni.

— Nie mogło jej tam być — mruknął porucznik

Bartkowski. — Zgodnie z ułożonym z góry planem Janota oddał ją do Cepelii i tego samego dnia została kupiona. Mówiąc dokładniej, w ciągu dwudziestu minut nabyła ją pani Walczakowa, która „przypadkowo” była wtedy w sklepie. Stała kierowniczce nad głową i czekała, aż załatwi kwity i zaewidencjonuje wszystkie ikony przyniesione przez mistrza.

— I nie bała się, że ktoś inny ją uprzedzi?

— Oczywiście ryzykowała, ale nie tak bardzo. Janota przyszedł tuż przed zamknięciem sklepu, a Walczakowa już tam była. Kierowniczka znała „mistrza” i jego twórczość pamiątkarską od kilku lat. Przyjęła te ikonę wraz z innymi w dobrej wierze, nie przyglądając się jej dokładnie, tym bardziej że nachalna klientka (którą była Walczakowa) bez przerwy ją zagadywała i wyrywała spod ręki po kolei wszystkie ikony, przyniesione przez Janotę.

— A pozostałe dwie? Skąd się wzięły u Walczakowej? Przecież nie kupiła ich w Cepelii?

— Ano nie — porucznik Bartkowski roześmiał się. — Ale nie tak szybko, moja panno! Może pani być pewna, że i to wyjaśnimy do końca.

Ewa była już teraz wolna. Przez chwilę pomyślała o Bieszczadach i Kryśce, ale przyznała w duchu, że już wcale nie ma ochoty na żadną wędrówkę.

Wyjadę, niedługo wyjadę — wzdychała idąc powoli prawie pustą ulicą.

Tymczasem Jolanta Walczak siedziała naprzeciw kapitana Derki i z uporem powtarzała swoją wersję.

— Kupiłam je w Cepelii. Nie rozumiem, o co panu chodzi?

— Niechże pani nie będzie naiwna. — Kapitan patrzył na nią z niezadowoleniem. — One nigdy nie były wystawione na sprzedaż. W dniu śmierci Janoty znajdowała się jeszcze w jego pracowni. W jaki sposób weszła pani w ich posiadanie’

Walczakowa milczała.

— Musi pani sobie uświadomić, że tu chodzi o dwie sprawy. Jedna to kradzież i przemyt dziel sztuki za granicę, druga to sprawa o morderstwo.

— Morderstwo? Ja nie mam z tym nic wspólnego.

— Janota podjął się retuszu ukradzionego z muzeum tryptyku. Chodziło o „odnowienie” ikon w celu zakamuflowania ich istotnej wartości i o uzyskanie pokwitowania z Cepelii, stwierdzającego, że nabyła pani „pamiątki” nie przedstawiające większej wartości. Przy odrobince szczęścia mogła pani przewieźć tryptyk przez granicę. Ale Janota został zamordowany. W jaki sposób weszła pani w posiadanie dwóch ikon, które znajdowały się w pracowni Janoty jeszcze w dniu jego śmierci? — powtórzył kapitan.

— Kupiłam je.

— Od kogo?

— Pan mi nie uwierzy.

— Niech się pani postara, żebym uwierzył.

— Od Janoty.

— Kiedy?

— W środę, piątego czerwca.

— Gdzie?

— Byłam u niego w pracowni.

— O której godzinie?

— Rano..

— O której?

— O... o dziesiątej.

— Niech pani skończy tę zabawę. Jeszcze pół godziny przed morderstwem ikony były w. pracowni Janoty. Czyżby odwiedziła go pani w ciągu tych trzydziestu minut?

— Nie! Nie byłam tam!... W ogóle go nie znałam.

— Wiem, że nie kontaktowała się pani z nim bezpośrednio. Sprawę z Janotą załatwiała Monika Skrzyską, którą poznała pani dwa lata temu nad Morzem Czarnym podczas wakacji. No więc?

— Nie znam tego człowieka.

— Jakiego człowieka?

— Od którego kupiłam ikony.

— Coraz lepiej.

— Ale to prawda! Właśnie dlatego zaczęłam kłamać,

ponieważ wiedziałam, że mi pan nie uwierzy.

— No więc dobrze Niech pani opowiada. Ale dokładnie.

— Janoty nigdy przedtem nie widziałam na oczy. Nie znałam go. Skrzyską obiecała mi, że wszystko z nim załatwi. On miał podobno wobec niej jakieś zobowiązania. Najpierw jej odmówił, ale wreszcie się zgodził. Zrobił pierwszą ikonę na próbę. W Cepelii poszło wszystko nadspodziewanie gładko. Ale on się bał. Minął miesiąc, zanim się zdecydował zrobić następne. Miał przygotować kilka swoich ikon, żeby te dwie mniej rzucały się w oczy. Ciągle zwlekał. Zaczęliśmy ponaglać, tym bardziej że nie byliśmy pewni, czy Skrzyską nas nie oszukuje. Ale ona istotnie robiła, co mogła. Doszło nawet między nimi do kłótni. Wreszcie Monika dała nam znać, że szóstego, zaraz po otwarciu sklepu Janota przyniesie swoje ikony. Mój mąż miał go obstawiać. To znaczy miał wejść do Cepelii i pilnować, żeby ktoś inny nie uprzedził mnie. Nie chciałam po raz drugi powtarzać numeru z kupnem prawie bezpośrednio od Janoty. Ale jak przyszłam o dwunastej, tak jak było umówione, Zdzisław, to znaczy mój mąż, powiedział, że Janoty jeszcze nie było. Nie wiedziałam, co robić. Na wszelki wypadek weszłam jednak do sklepu i sprawdziłam. Ikon nie było. Porozmawiałam z kierowniczką i wyszłam nic nie kupiwszy. Skontaktowałam się natychmiast z Moniką, a ona usiłowała się dodzwonić do Janoty. Telefon nie odpowiadał. Twierdziła, że poprzedniego dnia rozmawiała telefonicznie z Grzegorzem i że obiecał jej definitywnie sprawę dzisiaj załatwić. Musiał się wystraszyć. Monika pojechała na Zwierzyniec, ale szybko wróciła. Przed domem Janoty stały wozy milicyjne. Nie wiedzieliśmy, co się stało. Dopiero potem okazało się, że ktoś go zamordował. Podczas przesłuchania, bo Monikę wzywano na milicję, nie pytano jej o żadne ikony. Zupełnie straciliśmy głowę. Co robić? Doszliśmy do wniosku, że ikony są nadal w pracowni Janoty, ale nie wiedzieliśmy, jak je odzyskać. O pójściu tam nie było mowy. Domyślaliśmy się, że dom może być pod obserwacją. Po trzech dniach ktoś zadzwonił do Moniki do Sukiennic. Ona tam pracuje, w dziale konserwacji. Ten

mężczyzna nie podał oczywiście swojego nazwiska. Zaproponował jej kupno dwóch ikon Janoty za dwadzieścia tysięcy. Skrzyską nie powiedziała mu ani tak, ani nie. Była ostrożna. „Jutro zgłosi się do pani mój kumpel” — oświadczył ten człowiek. „Tylko bez żadnych kombinacji. Dwadzieścia patyków i obrazki są pani. Żadnych pośredników. Interes z rączki do rączki”. Nazajutrz jeszcze raz zadzwonił. Zapytał, czy przygotowała forsę, bo jeżeli nie, to nie ma o czym mówić, Monika powiedziała,, że ma pieniądze. Rzeczywiście o szóstej po południu pod Sukiennicami czekał na nią jakiś oprych. Twierdzi, że widziała go po raz pierwszy w życiu. Jakiś dwudziestoletni żul. Wziął pieniądze i poszedł. Już go więcej nie spotkała.

— A ikony?

— Dał jej Były owinięte w szary papier Naderwał opakowanie na rogu i pozwolił jej zajrzeć. Oczywiście dopiero w domu sprawdziliśmy zawartość paczki. To były właśnie te ikony. Przedtem nie mieliśmy żadnej pewności.

— Pani była również pod Sukiennicami?

— Musieliśmy się asekurować. A gdyby ten typ wziął pieniądze i uciekł? Byliśmy na miejscu obydwoje z mężem. Oczywiście obserwowaliśmy tę transakcję z boku, żeby go nie spłoszyć.

— Jak wyglądał ten chłopak?

— Szczupły, średniego wzrostu, blondyn o długich włosach, twarz opryszka i cwaniaka. Pełno można takich osobników spotkać wieczorem na plantach albo pod każdym kioskiem z piwem. Typowy żul.

— O ile dobrze zrozumiałem, Janota działał na pani zlecenie. To znaczy zanim zajął się „odnawianiem” ikon, były one w pani posiadaniu. Skąd pani miała ten tryptyk?

— Kupiłam go.

— Znowu? — zdziwił się Derko.

— Tak, kupiłam go jakieś trzy lata temu.

— Zapewne od nieznajomego, którego już więcej nigdy pani nie widziała?

— Pan mi nie wierzy... Kupiłam je od pośrednika za

pięćdziesiąt tysięcy złotych. Mogę panu podać jego nazwisko i adres... Czekaliśmy blisko trzy lata. Myślałam, że teraz będziemy już mogli wywieźć je za granicę.

— Miała pani na nie kupca?

— Tak.

— Gdzie?

— W Paryżu.

— Ile pani proponowano?

— Osiem tysięcy dolarów.

— Cena niezbyt wygórowana. — Derko skrzywił się nieznacznie. — I pani sądzi, że ja uwierzę w tę transakcję pod Sukiennicami?

Walczakowa milczała.

— Przedmiot takiej wartości jakiś żul sprzedaje za dwadzieścia tysięcy złotych?

— Widocznie nie znał się na tym.

— Jak to sobie pani wyobraża? Jakiś opryszek kradnie z pracowni Janoty dwa obrazy, może uprzednio zabiwszy go, potem dzwoni do Skrzyskiej proponując sprzedaż? Skąd mógł wiedzieć, że warto zabrać właśnie te obrazy, a nie inne, bardzo podobne? Kto mu powiedział, te Skrzyska zapłaci dwadzieścia tysięcy za coś, co w Cepelii kosztuje dwa lub dwa i pól tysiąca?

— Nie wiem, sama tego nie rozumiem.

— Przecież musieliście państwo się nad tym zastanawiać? Choćby z czystej ostrożności.

— Tak. Doszliśmy do wniosku, że ktoś wie o tych ikonach i o nas, ale nie orientuje się w prawdziwej ich wartości.

— Nie baliście się podstępu?

— Z czyjej strony? Ta osoba mogła wejść w posiadanie tych ikon tylko w sposób nielegalny...

— Ładnie to pani określiła — mruknął kapitan Derko. — Więc temu komuś również zależało na zachowaniu tajemnicy. Ryzykowaliśmy tylko utratę dwudziestu tysięcy. Pan mi nadal nie wierzy?

— Nie.

— Wiem, o co pan nas podejrzewa... Osiem tysięcy

dolarów to dosyć duża suma... Ale nie chcę być wmieszana w sprawę o morderstwo. Musi pan zrozumieć, że śmierć Janoty była nam bardzo nie na rękę. Pokrzyżowała nam plany, naraziła nas na niepowodzenie. Janota był nam potrzebny żywy! To chyba oczywiste! Żywy! Samo przemalowanie ikon nic nam nie dawało. Musieliśmy, mieć kwit z Cepelii. Żeby go uzyskać, potrzebny nam był Janota, a nie jego trup!

— Jolanta Walczakowa mówiła coraz głośniej. Ręce jej drżały, kiedy zapalała kolejnego papierosa.

— A jeżeli Janota nie chciał oddać ikon? Jeżeli zażądał ceny, której nie była pani w stanie zapłacić? Jeżeli szantażował panią?

— Ja go nie zabiłam... Skrzyską kupiła te ikony od zupełnie obcego człowieka, który sam się do niej zgłosił. Mam na to dowód.

— Jaki?

— Mój mąż jest fotografem... Byliśmy pod Sukiennicami i widzieliśmy, jak Skrzyską wręczała pieniądze temu typowi. Zdzisław sfotografował tę scenę... na wszelki wypadek. Obawialiśmy się, że ten człowiek weźmie pieniądze i ucieknie. Mogliśmy go stracić z oczu... Chcieliśmy mieć jego zdjęcie... To by nam ułatwiło poszukiwania, gdyby nie oddał tych ikon...

— Ma pani to zdjęcie?

— Tak. Oczywiście nie przy sobie... Mamy kliszę w pracowni.

— Nie zniszczyła jej pani po odzyskaniu tryptyku? zdziwił się Derko.

— Nie... Nie pomyślałam o tym... na szczęście...

— Taaak... — powiedział przeciągle kapitan Derko. Warto mieć takie zdjęcie. Dla Skrzyskiej byłaby to miła pamiątka. Akurat do albumu rodzinnego.

— Nie rozumiem... Doprawdy? — Derko wstał od biurka, prostu, plecy. — Wyprowadzić! — powiedział krótko i podszedł do okna.

## 18.VI. wtorek

Monika Skrzyską początkowo usiłowała wszystkiemu zaprzeczać, ale szybko doszła do wniosku, że to nie ma najmniejszego sensu. Siedziała teraz zrezygnowana, rozmazując po policzkach resztki tuszu z rzęs. Odpowiadała na pytania bez ociągania, pokornym, usłużnym tonem. Chciała za wszelką cenę przekonać kapitana o swojej szczerości. Jeszcze raz opowiedziała wszystko o śmierci Olgi Misłockiej, tym razem nie ukrywając związku wielkiej pianistki z Janotą i swojej roli w całej sprawie.

— Poprzednio udawałam, że nie wiem o romansie Janoty z Olgą. Po prostu nie chciałam zwracać na siebie pańskiej uwagi. Wolałam, żeby pan sądził, że ja byłam taką sobie znajomą Grzegorza, zupełnie nie zorientowaną w jego osobistych sprawach. Teraz to już nie ma znaczenia... Przyznaję się do współudziału w oszustwie Walczaków... nawet do tego, że w jakiś sposób wymusiłam, na Janocie, żeby nam pomagał, ale z jego śmiercią nie miałam nic wspólnego! Ikony odkupiłam od zupełnie obcego mężczyzny. Nie znam go. Nigdy go przedtem nie widziałam. Nie chciałam się z nim spotkać, ale Walczakowie nalegali... Zależało im na tych ikonach, chcieli je odzyskać za wszelką cenę. „A może temu człowiekowi istotnie chodzi tylko o dwadzieścia tysięcy?” — mówili. No i okazało się, że on naprawdę, chciał sprzedać ikony. Nie wiem, skąd je miał. Mogę się tylko domyślać, że je ukradł.

Rozmawiała pani najpierw z jakimś mężczyzną przez telefon. Potrafi pani powiedzieć, czy to był ten sam, który przyszedł potem na spotkanie?

— Nie. Wydaje mi się, że miał inny głos i sposób mówienia.

— Jak to było? Zadzwonił i umówił się z panią pod Sukiennicami?

— Tak... To znaczy niezupełnie tak. Najpierw zaproponował mi kupno ikon Janoty za dwadzieścia tysięcy.

— Zgodziła się pani?

— Byłam zaskoczona. Zapytałam go, skąd mu przyszło do głowy, że zechcę je w ogóle kupić. Roześmiał się i powiedział: „Nie czaruj, siostro!”, a potem oświadczył głosem nie znojącym sprzeciwu, że nazajutrz zgłosi się do mnie jego kumpel, któremu mam wypłacić pieniądze w banknotach tysiączłotowych, i odłożył słuchawkę nie czekając na odpowiedź.

— Podał czas i miejsce spotkania?

— Nie. Na drugi dzień zadzwonił dwadzieścia po piątej i powiedział, że ten człowiek będzie na mnie czekał o szóstej pod Sukiennicami. Zawiadomiłam telefonicznie Walczaków. Punktualnie o szóstej wyszłam z pracy. Ten chłopak podszedł do mnie bez najmniejszego wahania. Jakby mnie znał.

— A gdyby nie dał pani tych czterdziestu minut czasu, nie zawiadomiłaby pani Walczaków?

— Powiedziałabym, że nie mogę w tej chwili wyjść nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Za wszelką cenę musiałam umówić się tak, żeby Walczakowie zdążyli przyjechać. Oczywiście to mogłoby się wydać temu typowi podejrzane, ale na szczęście on sam zaproponował mi spotkanie dopiero o szóstej, więc czasu było dosyć.

— Czy Golski panią szantażował?

Monika wydawała się zaskoczona tym pytaniem.

— Nie... wprawdzie...

— Słucham, co pani chciała powiedzieć?

— Proszę pana, chciałabym, żeby mi pan uwierzył, nie mam zamiaru pena okłamywać. Zdaję sobie z tego sprawę, że w tej chwili muszę mówić prawdę. Nie chcę być posądzona o morderstwo. Dlatego w moim interesie leży, żeby pan jak najszybciej znalazł tego człowieka, od którego kupiłam ikony pod Sukiennicami.

— Mówiliśmy o Golskim — przypomniał kapitan Derko.

— Tak, pamiętam. Prawdopodobnie ten chłopiec był tylko podstawionym pośrednikiem. Tak mi się wydaje. Nie wiem, kto się za nim ukrywał. Ale... ja również pomyślałam, o

Golskim. We wtorek, dokładnie tydzień temu, zadzwonił do mnie. Sugerował, że coś wie o ikonach. Udawałam, że nie domyślam się nawet, o co chodzi.

— Proszę dokładnie powtórzyć tę rozmowę.

— Powiedział: „Podobno ostatnio interesujesz się ikonami? Niektóre zainteresowania bywaj ą bardzo kosztowne...”

— Proszę, proszę dalej.

— „Nie jestem zbieraczem, Andrzejku” — odpowiedziałam, siląc się na obojętny ton — „a ikonami oczywiście interesuję się. To mój zawód.” On zaczął się śmiać, a ja z kolei oburzyłam się. Niby, że biorę jego śmiech za aluzję do moich nie ukończonych studiów. Usiłowałam nawet się obrazić. — „Moja złota — powiedział — dobrze wiesz, o czym mówię. Myślę, że jeszcze wrócimy do tego tematu” i pożegnał się.

— Czy odezwał się jeszcze raz?

— Nie, Może się rozmyślił, a może... to był wstęp do tej nieszczęsnej transakcji?

— Kto mógł jeszcze wiedzieć o udziale Janoty w waszym oszustwie?

— Nie wiem. Wątpię, żeby Grzegorz komuś się tym chwalił.

— Artur?

— Nie wiem. Ale nie przypuszczam.

— Dlaczego?

— Grzegorz wolał uchodzić w jego oczach za nieskazitelną postać.

— Tak pani sądzi?

— Wspomniałam już panu, że swego czasu bardzo mu na tym zależało, żeby Artur nie dowiedział się .prawdy o wypadku Olgi Misłockiej. Po jej śmierci w pierwszej chwili sam chciał się oskarżyć, ale potem zdał sobie, sprawę, że zaszkodziłby nie tylko sobie, ale w równej mierze Arturowi i jego ojcu. Był przerażony, że mogliby się o wszystkim dowiedzieć. „Nie wolno im tego zrobić! Nie wolno!” — mawiał. „Zniszczyłem Olgę i nigdy, bym sobie nie wybaczył,

gdybym skrzywdził jeszcze jej syna i tego biednego starego człowieka. On ją bardzo kochał.” Był przekonany .o swojej winie i w sposób obsesyjny wracał do tej sprawy. To był dziwny człowiek. Zdolny zarówno do dobrego, jak i do złego. A poza tym słaby i tchórzliwy. Zadręczał siebie i innych swoimi wyrzutami sumienia, a jednak bał się głośno powiedzieć: „Tak, ja to zrobiłem”. Kiedy Artur po śmierci matki pojawił się ponownie w Krakowie, Grzegorz był skłonny uwierzyć, że los postawił syna Misłockiej na jego drodze, aby mógł spłacić swój dług. Chciał koniecznie wychować Artura, zdobyć go, uszczęśliwić, zastąpić mu rodzinę. Oczywiście me przyznawał się nawet do znajomości z Olgą. Trwało to dwa lata. Mnie zabronił pokazywać się w pracowni bez uprzedzenia. Nie chciał, żebym spotkała się z Arturem. Może obawiał się, że coś wygadam. A chłopak po prostu go torturował. Mówił nagle: „Wiem, że lubisz blondynki”. Albo przynosił nagranie swojej matki i puszczał w kółko. A potem znienacka pytał: „Ona była piękna, prawda? Chyba ją znałeś? Wszyscy w Krakowie znali Olgę Misłocką.” Grzegorz wykręcał się, jak mógł. Mówił, że nie chodzi na koncerty, że nigdy jej nie widział. Potem wieczorami dzwonił do mnie i zanudzał mnie: ,.On chyba o wszystkim wie, jak myślisz?” I tak w kółko. A Arturek urządzał pijackie burdy, potem popadał w skruchę i pozwalał Grzegorzowi wyciągać się za uszy z „depresji”. Wykorzystałam tę sytuację. Janota w pierwszej chwili nie chciał się zgodzić na tę kombinację z ikonami. Musiałam powołać się na naszą przyjaźń, musiałam przypomnieć mu, co mi zawdzięcza, jak ratowałam mu skórę, że dzięki mnie Artur o niczym nie wie... i tak dalej, i tak dalej... wreszcie nawet go trochę podszantażowałam, że powiem wszystko Arturowi. Poza tym przysięgałam, że to są ikony znajomych, którzy odziedziczyli je po swojej starej ciotce. Takie tam bzdury. Prymitywne kłamstwa, ale wygodne dla niego. Udawał przed samym sobą, że w nie wierzy. Zresztą kto wie, może naprawdę w nie wierzył? W każdym razie nie było mowy o kradzieży, tylko o oszustwie i o ominięciu przepisów

zabraniających wywożenia dzieł sztuki z kraju. Na to Grzegorz mógł się zgodzić, tym bardziej że robił to bezinteresownie. Nie wziął za to pieniędzy. Ale po oddaniu pierwszej ikony do Cepelii był chory ze strachu. Nie mogłam go namówić do skończenia pozostałych dwóch. Miałam z nim straszną awanturę. Powiedziałam mu, że zawdzięcza mi karierę, bo po skandalu z Misłocką nigdy by nie mógł zostać na akademii, miałby sprawę sądową i w ogóle byłby skończony. Wreszcie powiedziałam znowu o Arturze, a on się wściekł. Widocznie w ostatnich czasach coś się między nimi zepsuło.

— Kiedy to było?

— Pan wie, kiedy... podczas tej rozmowy, o której wspomniała Marianna. Trzy dni przed śmiercią Grzegorza.

— Co pani przez to rozumie: „wściekł się"? Powiedział wyraźnie, że już mu nie zależy na tajemnicy?

— Coś w tym rodzaju. Oświadczył, że mogę mówić, co mi się podoba i że ma już zupełnie dosyć Artura i wszystkich jego spraw. Byłam zaskoczona. Brakło mi argumentów, więc zaczęłam płakać. On tego nie znosił. No i jakoś się zgodził. Widzi pan, Janota był na swój sposób poczciwy i łzy robiły na nim wrażenie. A poza tym uważał, że wykiwanie celników nie jest znowu takim wielkim przestępstwem. Gdybym go nie znała tak dobrze, nie zwróciłabym się, do niego z tą propozycją... On przecież nieźle zarabiał i za pieniądze nigdy by tego nie zrobił.

— Przypuśćmy, że podjął się roboty bezinteresownie. Ale kiedy się zorientował w wartości tych obrazów, mógł postawić warunki nie do przyjęcia dla pani.

— Ależ nie...

— Odmówił wydania ikon?

— Ależ nie... — powtórzyła Monika. — Nie wiem, co mam robić, żeby mi pan uwierzył... Ja naprawdę nie mam nic wspólnego ze śmiercią Janoty. Przecież pan wie, że mam alibi. Zresztą o ile się orientuję, Walczakowie również.

— Z tym pani alibi wcale nie jest najlepiej — Derko powoli przerzucał jakieś kartki leżące przed nim na stole. —

Owszem, od godziny osiemnastej była pani w kawiarni „Niezabudka” ze swoją przyjaciółką, Heleną Wilk. Pani Wilk to potwierdziła, no i widziano panie w „Niezabudce”. Ale przed osiemnastą? Wyszła pani tego dnia z pracy o czternastej i udała się pani prosto do domu. Ale nie ma żadnego dowodu na to, że właśnie tak było. Żadnego świadka. Więc? Przyzna pani, że pani alibi od czternastej do osiemnastej jest raczej problematyczne?

— Ale jakie to ma znaczenie, skoro Janota o osiemnastej jeszcze żył?

— Kto pani to powiedział? — zdziwił się nieco kapitan.

— Nikt mi tego nie musiał mówić. Żył, ponieważ z nim rozmawiałam.

— Była pani u niego?

— Nie! Rozmawiałam z nim telefonicznie!

— Ach tak? — Derko uśmiechnął się nieznacznie. — To coś zupełnie nowego.

— Nie powiedziałam panu tego podczas naszej poprzedniej rozmowy, ponieważ nie chciałam się przyznać do bliższych kontaktów z Janotą. Po co miałam zwracać na siebie pańską uwagę? Nie przyszło mi nawet do głowy, że ktoś może łączyć moją osobę z tą zbrodnią. Zresztą sądzę, że ustalenie godziny zgonu dla lekarza sądowego nie przedstawia dużej trudności, więc i tak pan wie, o której on zginął...

— Oczywiście.

— No, właśnie... więc przyzna pan, że to nie ma znaczenia, co robiłam przed osiemnastą.

— Niech pani zostawi mnie ocenę, co jest, a co nie jest istotne dla śledztwa. Proszę mi powiedzieć, kiedy miała miejsce ta rozmowa, to znaczy o której godzinie i czego dotyczyła.

— Byłam umówiona z Heleną na szóstą. W „Niezabudce”. Tuż koło mojego domu. Przed wyjściem postanowiłam zadzwonić do Grzegorza.

— Która była godzina?

— Za piętnaście szósta. Spojrzałam na zegarek i

pomyślałam, że jeszcze zdążę do niego zadzwonić. Potem mogłam nie mieć okazji... W poniedziałek po tej awanturze, o której już panu wspomniałam, Grzegorz obiecał mi, że w czwartek przyniesie ikony do Cepelii. Chciałam się upewnić... Po prostu mógł znowu się rozmyślić.

— Tak... No więc zadzwoniła pani i co było dalej?

— Grzegorz się odezwał... W pierwszej chwili zupełnie go nie poznałam. Był po prostu kompletnie pijany. Powiedział, żebym dała mu święty spokój. Byłam wściekła, ale postanowiłam, że na drugi dzień rano znowu zadzwonię i przypilnuję go, żeby się nie spóźnił.

— I zrobiła to pani?

— Tak. Dzwoniłam kilka razy, ale nikt nie odbierał telefonu.

— Proszę bardzo dokładnie powtórzyć tę ostatnią rozmowę z panem Janotą. Ale bardzo dokładnie. Niech się pani postara powtórzyć każde słowo.

— Spróbuję. Więc... powiedział „Halo", ale tak jakoś niewyraźnie... zapytałam: „Grzegorz, to ty?", a on na to: „Ja, no i co z tego?" „Czy pamiętasz o jutrze?" „Nie, nawet o dniu dzisiejszym nie chcę pamiętać" mówił bardzo niewyraźnie, prawie bełkotał. Zdenerwowałam się, ponieważ już wiedziałam, że jest pijany. Powiedziałam: „Grzegorz, ty jesteś kompletnie zalany". On także się zezłościł" „Do cholery, z kim ja właściwie rozmawiam?" A potem zaczął mnie namawiać, żebym koniecznie przyjechała, to się czegoś napijemy.

— Czy powiedziała mu pani, kto mówi?

— Tak. To znaczy podałam tylko swoje imię. On w kółko powtarzał: „Przyjedź zaraz, nie lubię pić do lusterka." Zaczęłam prawie krzyczeć: „Czy skończyłeś te ikony?", a on swoje: „Przyjedź zaraz...". „Grzegorz, czy skończyłeś ikony? Czy pamiętasz, że obiecałeś je przynieść jutro do Cepelii?", a on znowu, żebym przyjechała. Odłożyłam słuchawkę. Pomyślałam, trudno, zadzwonię jutro rano. Ale po kilku minutach (byłam właściwie już w progu) zadzwonił: „No więc, przyjedziesz czy nie?" Powiedziałam, siląc się na

spokój,: „Grzegorz, teraz nie mogę. Może trochę później. Słuchaj, jeśli znowu mnie wykiwałeś, jeżeli nie skończyłeś tych ikon, nigdy ci tego nie zapomnę.” Potem trochę żałowałam, po prostu bałam się, że mógł się obrazić. Trudno. Natychmiast wybiegłam z domu. Na spotkanie z Heleną przyszłam punktualnie.

— No tak... — Derko przyglądał się Monice przez chwilę. — Czy jest pani pewna, że to był Janota?

— Jak to? Oczywiście, że tak.

— Przecież w pierwszej chwili pani go nie poznała.

— Tak, ale potem już wiedziałam, że to on, tylko że jest pijany.

— Świetne alibi: rozmowa z nieboszczykiem.

— On wtedy jeszcze żył,

— Nie. Muszę panią rozczarować. Pan Janota wtedy już blisko od dwóch godzin był trupem.

Monika wpatrywała się w kapitana Derkę szeroko otwartymi oczyma.

— To niemożliwe... niemożliwe...

Do gabinetu wszedł porucznik Bartkowski. Bez słowa położył na biurku grubą kopertę. Kapitan Derko zważył ją z namysłem w ręce.

— Wrócimy jeszcze do tego tematu — powiedział prawie nie patrząc na Monikę Skrzyską. — Mam nadzieję, że nie jest pani rozczarowana naszym „pokojem gościnnym”.

Wstał energicznie od biurka i podszedł do okna.

— Proszę przeczytać i podpisać protokół.

Odwrócony plecami, czekał, aż Monika opuści gabinet. Potem wrócił na swoje miejsce i szybko wyciągnął z koperty kilkanaście fotografii.

— Nie są zbyt wyraźne — powiedział Bartkowski — ale od biedy...

— Nie szkodzi. Dopilnuj, żeby zostały natychmiast rozesłane po dzielnicowych komendach.

— Za godzinę dostaniesz szczegółowy protokół techników.

— W porządku. Ranna projekcja na razie zupełnie mi

wystarcza. Nie ulega wątpliwości, Skrzyską wręcza temu typowi pieniądze. Za co i ile, tego technicy i tak mi nie powiedzą.

— Na tym zdjęciu widać wyraźnie paczkę, o której mówiła Walczakowa...

— Dobrze, dobrze. Przecież to może być w ogóle inscenizacja. Znajdziemy faceta, to porozmawiamy. Na razie nie wiadomo, jak było naprawdę.

— Sądzisz...

— Zygmunt! Zlituj się! Nic nie sądzę. Jadę do Komika. Przypilnuj komunikatu i ponaglaj archiwum. Miejmy nadzieję, że ten żul miał już z nami kiedyś do czynienia.

— Dowiedziałeś się czegoś nowego od Skrzyskiej?

— A owszem. Pani Monika Skrzyską rozmawiała telefonicznie z Janotą w dniu jego śmierci za kwadrans osiemnasta.

— Co ty opowiadasz?! Przecież to niemożliwe.

*

— Jak widzę, przywiązał się pan do mnie — powiedział Andrzej Golski na widok kapitana Derki stojącego w progu.

— Proszę powstrzymać się od komentarzy — warknął Derko.

Był zły. Nie miał zwyczaju rozmawiać w tym tonie, ale Kornik drażnił go w sposób szczególny. Opanował się jednak natychmiast i już zupełnie spokojnie usiadł na połamanym krześle.

— To jest druga moja wizyta w pańskiej pracowni i mogę panu obiecać, że ostatnia. Następnym razem pan się pofatyguje do mnie.

— To znaczy, nie dacie mi spokoju?

— Pan chyba żartuje. Jest pan jak dotychczas ostatnim człowiekiem, który widział Janotę żywego.

— Znowu! Znowu pan do tego wraca?! Już panu mówiłem...

— Niech pan da spokój — przerwał stanowczo Derko. — Niepotrzebnie pan zaprzecza. Szkoda czasu. Wiem, że pan

tam był. Teraz dysponuję już dostatecznymi dowodami. Widziano pana. Jak pan się domyśla, nie siedzimy z założonymi rękami: w oczekiwaniu, że wszystko samo się wyjaśni. Mam świadków, z którymi pana skonfrontuję. Poza tym zostawił pan swoje odciski palców.

— No dobrze, byłem. I co z tego? — powiedział Golski z ociąganiem.

— Kłóciliście się o pieniądze. Chodziło o dług, którego nie chciał pan spłacić.

— Ależ chciałem oddać mu te pieniądze, tyle że chwilowo ich nie miałem. Prosiłem, żeby mi wyznaczył jakiś realny termin.

— A on nie zgodził się.

— Uparł się. Właśnie o to pokłóciliśmy się. Ale to jeszcze nic nie znaczy.

— Powtarzam, że był pan ostatnim człowiekiem, który widział Janotę żywego

— Nie zabiłem go! O co wam chodzi?! Przecież macie Kosterę!

— Już go nie mamy.

— Jak to? Przecież się przyznał.

— Ale tego nie zrobił.

— To dlaczego się przyznał?

— Chciał osłonić swojego syna.

— Ach tak, więc to Artur?

— Pan przyszedł po Arturze.

— A po mnie? Kto przyszedł po mnie?

— Może już nikt nie musiał przychodzić.

— Ja się nie dam... Ja się nie dam!... — Golski z rozmachem cisnął na stół pudełko zapałek.

Derko przyglądał mu się spokojnie.

— Niech pan wreszcie usiądzie. Nie mogę rozmawiać, kiedy pan biega po pokoju.

— Jak ja mam pracować w tych warunkach! Łażą za mną jakieś typy, milicja mnie nachodzi, co ja mam zrobić, co ja mam zrobić?

— Proszę pana, zdawało mi się, że już za pierwszym razem

zdołałem pana przekonać, że nasza praca jest wprawdzie może pozbawiona polotu, ale charakteryzuje się dużą dokładnością. Przyszedłem tu przygotowany do rozmowy. Choćby dla przykładu: pańskie sprawy finansowe, pańskie wydatki na remont pracowni, terminy płatności, źródła dochodu, pańskie długi nie były dla mnie tajemnicą. Przyzna pan, że najlepszy księgowy nie sporządziłby dokładniejszego bilansu. Nie mógł pan zaprzeczyć, że pożyczył pan od Janoty pieniądze i że ich pan nie oddał. Miałem na to dowody, tak jak teraz mam na to, że był pan w pracowni swojego kolegi w dniu jego śmierci między piętnastą pięćdziesiąt a szesnastą piętnaście. To są fakty.

— Aleja go nie zabiłem — powtórzył z uporem Golski.

— Porozmawiajmy spokojnie. Więc przyszedł pan do Janoty, żeby go prosić o prolongatę swojego długu.

— Tak.

— A Janota się zgodził?

— Nie. Wściekłem się i trochę mu nagadałem. To wszystko.

— Nie, nie wszystko.

— Wszystko.

— Próbował go pan szantażować.

— Niby czym?

— Odkrył pan, że Janota ma u siebie w pracowni autentyczne siedemnastowieczne ikony, które zostały przez niego „sfabrykowane”. Odpowiedni retusz miał ukryć istotną wartość tych obrazów.

— Przecież on chałturzył do Cepelii, to były...

— Nie bawmy się w ciuciubabkę. Powiedział pan wtedy; „A jednak nie dostaniesz ani grosza ode mnie! Jesteś fałszerzem, Janota!” Chyba cytuję dość dokładnie?

— Nie pamiętam. Byłem wściekły i mówiłem, co mi ślina na język przyniesie.

— Kiedy dzwonił pan do Moniki Skrzyskiej, nie był pan już chyba wściekły?

— Nie rozumiem...

— Czy to miała być próba szantażu, czy też wstępna

propozycja kupna tych ikon?

— O czym pan mówi, na Boga!

— We wtorek jedenastego czerwca zadzwonił pan do Moniki Skarżyskiej: ..Podobno interesujesz się ikonami...” Niech mi pan nie każe cytować z pamięci wszystkich pańskich rozmów. To zaczyna być irytujące.

Golski nie odpowiadał.

— No więc? — ponaglał kapitan Derko.

— Owszem, widziałem te ikony u Janoty. Ale wcale nic miałem zamiaru szantażować ani Grzegorza, ani Moniki — nagle się ożywił — nie powinien mnie pan podejrzewać o morderstwo. Po co miałbym zabijać? Czy szantażysta zabija swoją ofiarę?

— Więc przyznaje się pan do szantażu?

— Nie... Ale... Byłem winien Grzegorzowi pieniądze i według pana to mógł być motyw... Ale skoro znalem jego tajemnicę, nie musiałem już spłacać długu... To chyba logiczne? Więc nie miałem powodu...

— Te ikony są warte osiem tysięcy dolarów.

— Aż tyle?

— Może nawet więcej. Zabrał je pan z pracowni Janoty?

— Ależ skąd! Po co? Nie znalem ich wartości. Domyślałem się, że za tym kryje się grubsza forsa, ale nie byłem pewien. Po wyjściu z pracowni zastanawiałem się nawet, dlaczego Grzegorz to robi. Dlaczego tak ryzykuje. Miał przecież pieniądze, dobrze zarabiał, miał stałą pensję na akademii, sprzedawał swoje obrazy za granicą — Golski nieznacznie wzruszył ramionami — chałturzył. Po co się w to wplątał? Facet z nazwiskiem...? Dopiero ta stara wariatka, którą na mnie nasłaliście, podsunęła mi Skrzyską. Aż zdębiałem, kiedy to do mnie doszło. Oczywiście! Monika mogła go do tego namówić.

— Wariatka? — Derko patrzył na Golskiego w osłupieniu.

— Co takiego?

— Nie, nic — kapitan wrzucił do popielniczki papierosa, który parzył mu palce. — Wracając do motywu. Zabicie Janoty nie tylko zwolniłoby pana od płacenia długu, ale

jeszcze pozwalało zabrać ikony, za które Skrzyską gotowa była zapłacić.

— Nie zabrałem tych ikon! — Golski zaczął krzyczeć. — Nie zabrałem ich! Ktoś przyszedł po mnie!

— Którędy wyszedł pan z pracowni?

— Jak to którędy?

— Frontowymi drzwiami czy...

— Wyszedłem na kuchenne schody. Zawsze z nich korzystałem.

— Spotkał pan kogoś na schodach? Albo w korytarzu?

— Nie. Nikogo.

— Czy pan wywrócił sztalugi?

— Nie.

— Janota?

— Nie.

— Przecież coś ciężkiego upadło na ziemię?

— On potrącił krzesło, które się wywróciło.

— I wtedy spadła z niego kaseta z farbami?

— Nie. Leżała na zydlu kolo sztalug. Krzesło stało po przeciwnej stronie stołu.

— Podniósł je?

— Nie.

— Czy Janota zamykał za panem drzwi?

— Sam je za sobą zamknąłem.

— Na klucz?

— Jakim cudem? Normalnie... strzeliłem drzwiami.

— Nie słyszał pan, czy Janota przekręcił klucz w zamku?

— Niczego podobnego nie słyszałem.

Golski był wyraźnie zmęczony.

— Wie pan, teraz, kiedy pan mówi tak w kółko i w kółko o tych drzwiach, przypomniałem sobie pewien szczegół.

— Słucham.

— Kiedy wychodziłem z pracowni, zwróciłem uwagę na uchylone drzwi od stryszku. Pan wie, tuż koło pracowni jest stryszek Serczyńskich... Drzwi były wtedy uchylone. Nawet pomyślałem, że mógł tam ktoś być i przypadkowo słyszeć nasze ryki.

— Widział pan kogoś?

— Nie. Przez taką wąską szparę nie mógłbym nikogo zobaczyć. Zresztą teraz już naprawdę nie jestem pewien... czy się nie pomyliłem... Już sam nie wiem.

Derko z impetem wpadł do swojego gabinetu i natychmiast podniósł słuchawkę telefonu.

— Podporucznik Marcin Zieją, gdzie on jest? Albo nie. Dajcie mi Bartkowskiego. Niech zaraz do mnie przyjdzie.

Zaczął chodzić po pokoju, ciągnąc za sobą smugę dymu z papierosa.

— Mam dla ciebie bombę — powiedział stając w progu Bartkowski.

— Znasz mnie? — przerwał mu Derko.

— Czy coś się stało? — Porucznik obserwował swojego szefa z narastającym zdziwieniem.

— Odpowiedz!

— Dość dobrze, mam nadzieję.

— Czy uważasz, że łatwo mnie wyprowadzić z równowagi?

— Dotychczas sadziłem, że nie. Ale na szczęście widzę, że jednak nie jesteś zupełnie pozbawiony ludzkich cech. Ktoś dokonał tego wiekopomnego dzieła.

— Nie błaznuj! — Derko zatrzymał się w pół drogi. — Jestem bliski morderstwu!

— Chciałeś powiedzieć rozwiązania...

— Nie! Popełnienia. Dlaczego właśnie do mnie przydzielono tego smarkacza i jego straszną babcię?!

— Ach! Jestem w domu! — ucieszył się porucznik. — Cóż nowego „wykonała” nasza przemiła staruszka?

— Prowadzi dochodzenie na własną rękę.

— Nie mów?

— Była u Golskiego.

— Chyba nie jesteś tym zaskoczony?

— Jak to?

— Należało się tego spodziewać... znając jej dotychczasowe „osiągnięcia”. Poza tym to właśnie ona wpadła na

pomysł z kalendarzykiem.

— Myślisz, że bez niej nie doszlibyśmy, kim jest Kornik?

— Na pewno tak, ale jednak musisz przyznać, że ona zrobiła to pierwsza.

— Wyrzucę tego smarkacza!

— Profesjonalna zawiść... — mruknął rozbawiony Bartkowski.

— Co takiego!— kapitan odwrócił się gwałtownie i spojrzał na przyjaciela. Nagle parsknął śmiechem. — Co to za bomba? — powiedział już spokojnie, siadając za swoim biurkiem.

— Bomba? Ach! Znaleźliśmy tego żula.

— No, mów wreszcie, na co czekasz!

— Michał Kowalski, lat 23, bez zawodu, nie pracujący, mieszka na Rakowicach, Dębowa 3. Siedział pół roku za rozróbkę chuligańską, włóczy się, popija, od pewnego czasu ma pieniądze.

— Jakim cudem wpadliście na niego tak szybko?

— Zupełnie przypadkowo. Był u nas na odprawie porucznik Rynkiewicz z komendy dzielnicowej Rakowice. Dałem mu „fotosy” z prośbą o przekazanie. No i rozpoznał tego gagatka. Miał z nim do czynienia dwa lata temu.

— Poślij kogoś po tego młodzieńca. Tylko gazem.

— Już zrobione. Dostaniesz go ekspresową przesyłką.

— Oby nas tylko nie uprzedziła babcia Karolina — powiedział półgłosem Derko wertując leżące przed nim papiery.

Bartkowski przysiadł na brzegu biurka.

— Co było u Komika?

— Nic szczególnego — powiedział Derko niechętnie. — Nie łubie tego typa. Mały szantażysta i złodziejaszek.

— Zabrał ikony?

— Nie... W każdym razie nie przyznaje się do tego. Natomiast tym razem nie mógł już zaprzeczyć, że tam był.

— Myślisz, że to on załatwił Janotę?

— Domysły to nie moja specjalność, Fakty, fakty są ważne. Posłuchaj. Ustaliliśmy, że Ewa Karska wyszła z pracowni

Janoty o godzinie piętnastej dwadzieścia. Artur opuszcza pracownię o piętnastej pięćdziesiąt. Jego ojciec siedzi w kawiarni koło okna i widzi go. Oczywiście nieprawdą jest, jakoby natychmiast udał się na Akacjową. Musiałby wtedy spotkać Golskiego. Zresztą kelnerka twierdzi, że zajmował stolik pod oknem co najmniej do wpół do piątej. W każdym razie po Arturze pojawił się Komik. Wyszedł o szesnastej piętnaście. I teraz wchodzą w rachubę dwie ewentualności. Pierwsza: Golski nie zabił Janoty, a co za tym idzie, nie mógł zabrać ikon. I druga możliwość: zabił Janotę i zabrał ikony. Z początku nie wiedział, kto się nimi interesuje, ale babcia Karolina podsunęła mu Skrzyską. Zadzwonił do niej, żeby sprawdzić jej reakcję. Gdyby się mylił, Skrzyską na pewno by zażądała wyjaśnień, ale Skrzyską milczała, czekała na następny ruch Komika. Teraz Golski nie chciał się już ujawnić, wynajął małego złodziejaszka, który załatwił sprawę za niego.

Również jest możliwe, że Golski podczas kłótni zabił Janotę, ale nie zabrał ikon. Próbował nastraszyć Skrzyską, żeby ją ewentualnie w przyszłości szantażować.

— A jeżeli Golski nie jest mordercą, to kto nim jest?

— Może Kostera zabił i, tak jak twierdzi, przesiedział w pracowni przeszło godzinę. Pod wpływem szoku nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu, nie uciekał, nie ukrywał się. Czy zabrał ikony? Raczej wątpliwe. Przyjechał tego samego dnia z Wrocławia. Nie miał kontaktu z Janotą, nawet go nie znał. Nie wiedział o jego twórczości „pamiątkarskiej", a tym bardziej o fałszerstwie. Z tego, co wiemy dotychczas, wynika, że ikony nie mogły być motywem zbrodni w wypadku Kostery. No i kolejna możliwość: Kostera nie zabił. Wszedł do pracowni i zastał Janotę rozciągniętego na podłodze, z dziurą w głowie. Nie tak dawno widział swojego syna wsiadającego do tramwaju. Jest przerażony i postanawia osłonić Artura. Kłamie, że wyszedł z kawiarni wcześniej. Po prostu chce przybliżyć się czasowo do domniemanego momentu zbrodni. Siedzi w pracowni, dając Arturowi czas na sprokurowanie sobie alibi. Celowo zwraca na siebie

uwagę męża pacjentki, wyciera narzędzie zbrodni, klamki w drzwiach i wszystkie przedmioty, których mógł dotykać Artur, potem odbija swoje odciski na słuchawce telefonicznej. Krótko mówiąc prokuruje dowody przeciw sobie.

— A ikony? Kto je zabrał?

— A kto rozdeptał farby, podarł płótno i przewrócił pracownię do góry nogami?

— Mógł to zrobić Kostera.

— Po co?

— Żeby zatrzeć ślady swojego syna.

— W takim razie opowiedziałby jakąś bajeczkę o napadzie furii Janoty. Twierdziłby z uporem, że Janota wpadł we wściekłość i podarł swoje płótno, demolując pracownię. Tymczasem on zupełnie pomija milczeniem ten fakt.

— W takim razie kto zabił? Golski?

— Golski twierdzi, że jedynym przedmiotem, który przy nim Janota wywrócił, było krzesło. Tymczasem kiedy weszliśmy do pracowni, stało z boku oparte o ścianę. Leżała na nim wyłamana noga; Czy sądzisz, że po dokonaniu morderstwa zatroszczył się nagle o jedno kulawe krzesło? Należy raczej przypuszczać, że po wyjściu Komika Janota podniósł je i odstawił pod ścianę.

— Przyjmując, że Golski nie zabił (bo chyba to wynika z twojego ostatniego stwierdzenia) i że nie zabił również Kostera, mordercą byłby ktoś, kto wszedł do pracowni po Golskim, a przed ojcem Artura.

— Cały czas braliśmy przecież tę możliwość pod uwagę.

— Tak... Po prostu przez chwilę łudziłem się, że mamy już zabójcę.

— Golski ego?

— Tak — powiedział niechętnie Bartkowski.

— Jeszcze nie wykluczam zupełnie Golskiego. Ale przeciw każdej z tych wersji zabójstwa przemawiają pewne okoliczności.

— Tak, wiem...

— A jednak któraś z nich może być prawdziwa.

— Wszystko się okaże, kiedy złapiemy tego szczeniaka.

— O kim mówisz?
— O Michale Kowalskim.
— Dlaczego upierasz się, że ikony zabrał morderca? — zapytał Derko wrzucając jakieś papiery do szuflady.
— Wiesz przecież, że ikony wcale nie muszą być motywem zbrodni — przypomniał porucznik.
— Nie muszą, ale mogą.
— W tej pięknej wilii zgromadziło się zbyt wiele różnych ciemnych spraw, żeby z taką łatwością wyróżnić tę jedną. Jak myślisz, kto rozmawiał z Moniką Skrzyską, podszywając się pod Janotę?
— Stale każesz mi się czegoś domyślać. Wiesz, że tego nie lubię — powiedział niechętnie Derko wstając od biurka. — Idę coś zjeść. Wracam za godzinę.
Na schodach spotkał niespodziewanie Ewę Karską.
— Pani jeszcze tutaj? — zdziwił się.
Ewa wykonała jakiś piruet, potykając się o stopnie.
— Właśnie szłam do pana — powiedziała zmieszana, spoglądając gdzieś nad jego głową w głąb korytarza.
— Ach, tak? No więc słucham, słucham. Czy chodzi o coś ważnego?
— Nie, to nic takiego... Mogę zapytać, czy będę panu jeszcze potrzebna?
— Chciałaby pani już wyjechać?
— Tak... Ale jeżeli jestem potrzebna...
— Przykro mi, że lak niefortunnie zaczęła pani swoje wakacje. Pani Ewo, zapraszam panią na lody, a potem będzie pani już mogła jechać do mamy. Ale na Boga, niech pani uważa na stopnie — dodał, spoglądając nieco ubawiony na jej nieprawdopodobnie wysokie koturny.
W malej kawiarence tuż koło komendy na szczęście znaleźli wolny stolik.
— Pan nie lubi lodów? — zdziwiła się Ewa, kiedy kelnerka postawiła przed kapitanem dużą czarną.
— Raczej nie. Wolę kawę — przyznał ze skruchą Derko. — A więc chce pani koniecznie, wyjechać.
— Tak... Zresztą wcale się nie upieram — dorzuciła

pośpiesznie. — Dzwoniłam do Tamowa. W domu jest tylko moja ciotka. Okazuje się, że mama musiała wyjechać na tydzień w sprawach służbowych. Nikt się mnie. w domu nie spodziewa.

— A wycieczka?

— Och! — Ewa machnęła ręką. — Już przepadło. Kie wiadomo, gdzie oni teraz są.

— Właściwie, nie mam powodu pani zatrzymywać. Kiedy się pani wybiera do Tarnowa?

— Za kilka dni.

— Dlaczego nie jutro?

— Czekam na dowód osobisty. Pan wie, musiałam sobie wyrobić nowy.

— Ach tak, oczywiście. Pani. Ewo, chciałem panią jeszcze o coś zapytać. Kiedy pani wychodziła z pracowni Janoty, czy pani jest pewna, że profesor nie odprowadził pani do drzwi?

— Ależ nie! Rozmawiał z Arturem, o ile to można nazwać rozmową. Byłam akropole speszona, bąknęłam coś w rodzaju „do widzenia, przepraszam"' i szybko wybiegłam.

— Proszę sobie dokładnie przypomnieć, jak to było.

— Pamiętam to dobrze. Mówiłam już panu.

— Ale jeszcze raz. Wybiegła pani na główną klatkę schodową.

— Tak.

— I drzwi otworzyła sobie pani sama?

— Tak.

— Ale czy pani je zamknęła za sobą?

— Tak... Chyba tak... Proszę pana, nie jestem pewna.

— Proszę się zastanowić. Tam jest zamek yalowski. Słyszała pani, ze drzwi się za panią zatrzasnęły?

— Nie pamiętam tego. To znaczy nie przypominam sobie, żebym to słyszała.

— Więc nie jest pani tego pewna?

— Nie... Bardzo mi przykro... byłam tak zdenerwowana... i bardzo się spieszyłam. Mój Boże — przeraziła się Ewa — ułatwiłam... ułatwiłam mordercy dostanie się do domu!

— Nie, nie. Niech pani się nie przejmuje tym tak bardzo.

Jeszcze wcale nie wiadomo, czy istotnie zostawiła pani drzwi otwarte. Jeżeli nawet... czy pani sadzi, że dla kogoś, kto przyszedł zabić Janotę, zamknięte drzwi mogłyby stanowić jakąś przeszkodę?

— Nie wiem... Wolałabym jednak, żeby nie skorzystał z mojej nieuwagi. — Ewa grzebała łyżeczką w roztapiających się lodach z taką miną, jakby sama osobiście wsadziła mordercy do ręki mosiężny świecznik.

— Niech pani nie popada w rozpacz — pocieszał ją Derko. — To jest naprawdę mało istotny szczegół. W ogóle niech pani już przestanie o tym myśleć. Ma pani wreszcie wakacje, należy korzystać z pięknej pogody. Chyba nie wszyscy koledzy z akademii wyjechali?

— Prawie wszyscy... w każdym razie moi bliscy koledzy.

— Właściwie to chciałbym jeszcze o coś zapytać... — powiedział Derko z wahaniem. — Ale nie wiem, czy dalej panią męczyć...

— Tak?... Niech pan pyta.

— Czy u was na akademii nie pokazały się w pewnym okresie narkotyki?

— Narkotyki? Ależ nie! Skąd to panu przyszło do głowy!

— Dlaczego to panią aż tak oburzyło?

— Ponieważ o studentach ASP mówi się czasem niestworzone rzeczy. A to tylko dlatego, że ubieramy się nieco ekscentrycznie, jesteśmy we wszystkim tacy... tacy „programowo awangardowi”. To przecież nie jest wystarczający powód, żeby nam przypisywać Bóg wie co... U nas młodzież nie jest ani lepsza, ani gorsza niż na innych uczelniach...

— Tak, na pewno ma pani rację. Identyczne pytanie zadałbym studentce wydziału matematyki, gdybym miał podstawy przypuszczać, że na tym wydziale pokazały się narkotyki.

— A u nas?... Ma pan ku temu powody?...

— Nie odpowiedziała pani jeszcze na moje pytanie. Jeżeli pani nie chce, proszę nie odpowiadać.

— O tak! Pomyślałby pan wtedy, że wszyscy chodzimy

półprzytomni przez cały okrągły rok... — Ewa odsunęła stanowczym ruchem miseczkę po lodach, — Mozo mi pan wierzyć lub nie, ale na naszym wydziale nie ma takich historii. Jestem na akademii już dwa lata, w mojej pracowni są studenci z drugiego, trzeciego i czwartego roku, więc stykam się z kolegami z innych roczników i o żadnych narkotykach nie słyszałam.

— Nigdy?

— Nigdy... — Ewa nad czymś się zastanawiała przez chwilę. — Może napijemy się jeszcze kawy?

— Ależ oczywiście! — kapitan przywołał kelnerkę.

— Pan się pewnie bardzo spieszy?

— Nie, niespecjalnie...

— Widzi pan... mam pewne opory... Pan jest jednak milicjantem...

— No tak, nie da się temu zaprzeczyć — powiedział Derko z lekkim uśmiechem.

— I nie chciałabym... nie chciałabym, żeby pan wyciągał zbyt pochopne wnioski...

— Niech pani się nie obawia, nie trudnię się wróżeniem z fusów.

— U nas tylko raz zdarzył się pewien wypadek i to nie mam pewności, czy istotnie chodziło o narkotyki...

— Tak?...

— To było na początku roku akademickiego... Do naszej pracowni przychodziła Danka Lipowska... z trzeciego roku. Zachowywała się dziwnie. Była jakaś taka... jakby wiecznie na „gazie”. Nie znałam jej zbyt dobrze. Myślałam początkowo, że podkochuje się w Arturze, przychodziła właściwie do niego. Siadała, gdzie popadnie, i coś tam monologowała. Artur zaczął ją przeganiać. Kilka razy wyrzucił ją po prostu z pracowni. W listopadzie przestała się w ogóle pokazywać. Miała bardzo fajnego chłopaka na grafice; Krzyśka. Boguckiego. Któregoś dnia wpadł do naszej pracowni, wyciągnął na korytarz Artura... sprał go po buzi. Artur przez jakiś czas chodził w czarnych okularach, bo miał podfanarzone oko. Myślałam nawet, że to jakaś taka głupia

historia między chłopakami o dziewczynę. — Ewa wzruszyła ramionami. — To paskudne, żeby w ten sposób załatwiać sprawy tego rodzaju, ale z drugiej strony byłam nawet trochę zadowolona, że temu bufonowi ktoś przyłożył. Potem Kryśka powiedziała mi, że Danka jest w szpitalu. To mogły być tylko plotki, ale mówiono, ze zatruła się lekami. Ktoś wtedy o niej powiedział „narkomanka”, już nie pamiętam, kto. I właściwie to koniec całej historii. Zdarzyła się tylko raz i jak panu powiedziałam, wcale nie jestem pewna, czy Danka istotnie brała narkotyki...

— Co się z nią stało?

— Wie wiem. Na akademię już nie wróciła. Podobno przez pól roku przebywała w zakładzie psychiatrycznym. Ale może wcale nie z tego powodu...

— A ten Krzysiek Bogucki?

— Grafika ma zajęcia w innym budynku, więc nie spotykam go zbyt często. To bardzo zdolny chłopak. W tym roku robi dyplom.

Derko przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu, wreszcie zapytał:

— Czy pani dobrze się czuje na akademii?

— Nie rozumiem, o co panu chodzi?

— Czy odpowiada pani to środowisko?

— Już panu powiedziałam, że młodzież u nas nie jest ani gorsza, ani lepsza niż gdzie indziej... Jest tylko w trochę odmiennej sytuacji. Wydział malarstwa narzuca pewien ton całej akademii. A młody człowiek rozpoczynając studia na naszym wydziale podejmuje pewne ryzyko, z którego bardzo często nie zdaje sobie sprawy. Potem okazuje się, że jest zbyt młody, zbyt niedojrzały, żeby sobie z tym poradzić. Widzi pan, każdy z nas musi w to wierzyć, że ma talent, że zostanie wielkim malarzem, bo inaczej w ogóle nie zdawałby na akademię... I tylko nieliczni w ciągu trzech pięciu lat „sprawdzają” się. A reszta?... Każdy młody człowiek podejmując studia ryzykuje, ale na innych uczelniach to ryzyko nie jest aż tak wielkie... Jeżeli ktoś zdaje na medycynę, może śni po nocach o karierze naukowej, ale

kończy studia i jest lekarzem, może nawet być bardzo dobrym lekarzem i mieć wysokie poczucie własnej wartości, przydatności. Jeżeli skończy politechnikę, buduje mosty lub projektuje osiedla mieszkaniowe albo zna się na wytopie stali. I wcale nie musi być genialny. Po prostu kończy politechnikę, żeby być inżynierem, medycynę, żeby leczyć ludzi, psychologię, żeby być psychologiem. U nas każdy kończy akademię, żeby być malarzem. Czy dziewiętnastoletni chłopak powie sobie, ze po iluś tam latach będzie malować miseczki do Cepelii i nic więcej? Przecież zdaje na Wydział Malarstwa, a nie na Ceramikę. I żeby w ogóle zacząć, musi wierzyć w swoją „wyjątkowość". A potem zaczyna się od razu na pierwszym rogu „sprawdzać" lub „nie sprawdzać", oczywiście najpierw na taką małą, „akademicką" skalę, i nigdy nie ma pewności. Kiedy ma sobie powiedzieć, że się pomylił? I czy potrafi sobie to powiedzieć? Chyba o wiele łatwiej przyjąć, że inni się mylą. Trzeba mieć mocną głowę, a w tym wieku nie zawsze się ją ma. Więc zaczynają się bronić pozą, nonszalancją, nadmierną pewnością siebie, często wygłupami. Szukają rekompensaty. Przywdziewają „mundur artysty". Proszę pana, wszyscy niby się gorszą i trochę krytykują, ale jesteśmy tacy, jakich się właśnie spodziewacie.

— Co pani opowiada?!

— Ależ tak! Spełniamy wasze oczekiwania! Przez akademię przechodzi w ciągu roku falanga fotoreporterów. Niech mi pan wierzy. Wybierają co ładniejsze dziewczyny, stawiają przed cudzymi pracami i fotografują na okładki pism młodzieżowych łub innych tygodników ilustrowanych. Przychodzą ekipy z telewizji i operatorzy z filmu. Po prostu ładnie się kadrujemy, jesteśmy kolorowi, poprzebierani, a pracownia z obrazami, sztalugami i z podestem dla modelki jest „fotogeniczna". A za tą pozą, za tymi frędzelkami, ozdób kami i całym tym kolorowym kramem nieraz kryje się strach i niepewność, z którą dwudziestoletni człowiek nie umie sobie poradzić, przed którą broni się i szuka ucieczki. Jeżeli ktoś... jeżeli ktoś chce to wykorzystać... jeżeli chce na tym

zarobić... jeżeli ktoś żeruje na głupocie i słabości tych młodych ludzi... powinien zostać za to ukarany... Dlatego właśnie powiedziałam panu o Dance. Powtarzam: nie wiem, czy ona brała narkotyki, ale jeżeli tak, to ktoś je musiał jej sprzedawać.

— To bardzo smutne, co mi pani powiedziała.

— Tak, to smutne... ale czy pan sądzi, że lepiej tego nie mówić?

— Ewo, obiecuję pani, że wyjaśnię tę rzecz do końca. Być może, oboje się mylimy... A teraz niech pani się uśmiechnie — poklepał ją po opalonej dłoni. — Przykro mi, że została pani sama w Krakowie. Musi się pani nudzić.

— O nie! Wcale nie jestem taka sama. Pani Aneta... mieszkam teraz u niej, pan wie?

— Tak, oczywiście.

— Ona jest bardzo miła. Chyba już pójdę — ożywiła się nagle — obiecałam babci Karolinie, że zrobię jej zakupy.

— Coś podobnego!

— Co się stało?

— Nic. Zastanawiam się tylko, czy babcia Karolina zna wszystkich mieszkańców Krakowa, czy tylko niektórych.

— A pan ją zna? — ucieszyła się Ewa,

— Poniekąd... — mruknął Derko.

— Ona jest wspaniała!

— Niech pani pędzi po te zakupy. Ja muszę już wracać do komendy.

— Gdyby mnie pan potrzebował w ciągu najbliższych dni, proszę dać znać przez Marcina... to znaczy przez porucznika Zieję... Strasznie nie lubię tych oficjalnych wezwań. Wpadam codziennie do Karoliny, więc... — Ewa zaczęła czegoś gwałtownie szukać w swojej myśliwskiej torbie.

— Rozumiem.

— Co pan rozumie? — zapytała podnosząc rękę do zaróżowionego policzka.

— Że pani nie lubi oficjalnych wezwań — powiedział Derko z uśmiechem.

**środa—19. VI.**

Mimo zapewnień porucznika Bartkowskiego, dopiero w środę w południe zdołano odszukać Michała Kowalskiego. W pierwszej chwili usiłował wyłgać się z całej sprawy. Był bezczelny, pewny siebie i arogancki. Ala zdjęcia, które mu zademonstrowano, i konfrontacja z Moniką Skrzyską zmusiły go do zmiany frontu. Uderzył w pokorę, jednak nic przestawał kręcić. Owszem, pośredniczył w handlu ikonami, ale nie wiedział, co sprzedaje, no i oczywiście nie znal osoby, dla której podjął się tej roboty. Po prostu jakiś typ przygadał go w barku kawowym „Pod Ratuszem”. Kiedy? Poprzedniego dnia.

— Spotykamy się tam z kumplami. „Wpadam codziennie do tego barku. Zupełnie bez celu, tak sobie, na wszelki wypadek. Zawsze natknę się na kogoś znajomego. I jakoś się żyje. Ten facet sam mnie zaczepił. Postawił mi piwo, a potem zagaił, czy mam ochotę zarobić patola.

— I tak od razu zgodziłeś się? — zapytał z niedowierzaniem porucznik Bartkowski.

— Dlaczego nie? Trochę się bałem, czy mi przypadkiem nie proponuje jakiegoś trefnego interesu, ale on zapewnił, że sprawa jest czysta. Potem poszliśmy pod Sukiennice i czekaliśmy koło kwiaciarek, aż ta babka wyjdzie z pracy. Przyjrzałem jej się wtedy dobrze. Umówiliśmy się, że spotkamy się na drugi dzień piętnaście po piątej w tym samym barku. Przyszedł i przytachał ze sobą pakunek owinięty w szary papier. Powiedział „dobrze, że już jesteś” i odszedł do babiny telefonicznej. Jak wrócił, powiedział, że musimy jeszcze trochę zaczekać. Siedzieliśmy przy piwie dosyć długo. Dopiero tuż przed szóstą powiedział mi, na czym ma polegać moja rola.

— I nie przyszło ci do głowy, że to może być handel kradzionymi rzeczami?

— Owszem. Ale on zaklinał się. że mogę być zupełnie spokojny. „To tylko obrazki, nie chcę, żeby zobaczył mnie jej mąż. On jest wściekle zazdrosny” — tak mi to wytłumaczył.

— A ty w to uwierzyłeś?
— Dlaczego nie?
— Nie rób z siebie naiwniaka — zdenerwował się Bartkowski.
— Ależ tak. Kowalski istotnie dokładał wszelkich starań, żeby wydać się naiwnym,
szczerym chłopakiem. — Co mnie to zresztą obchodzi, dlaczego facet nie chce osobiście spotkać się z tą babką? Nie mój interes, czy ona ma zazdrosnego męża, czy nie.
— No, dobrze i jak to się odbyło?
— Czekałem na nią pod Sukiennicami, koło wyjścia z muzeum. Jak się tylko pokazała, podszedłem do niej i dałem pakunek.
— Tak od razu? Bez słowa?
— Nie. Powiedziałem: „Mam coś dla pani”. Ona wyciągnęła rękę, a ja na to: „Nie, nie, najpierw pieniążki”. To ona mówi: „Skąd mogę wiedzieć, że mnie nie oszukujesz”? Wtedy rozerwałem na rogu papier i pozwoliłem jej zajrzeć do środka. Ale dyskretnie. Tak mi kazał ten facet. Wtedy ona dała mi pieniądze.
— Ile?
— Nie wiem. Nie liczyłem. To był zwitek tysiączłotówek.
— Twierdzisz, że zupełnie obcy człowiek miał do ciebie aż takie zaufanie? Mogłeś nawiać z forsą.
— Nie jestem złodziejem — oburzył się Kowalski. — Zresztą on był w pobliżu. Stał schowany za filarem. Ona go nie zauważyła, ale ja widziałem, że on tam jest i że mnie cały czas obserwuje.
— Mimo to mogłeś uciec. Pod Sukiennicami jest taki ruch, tyle ludzi się tam kręci, że mogłeś.
— Ale tego nie zrobiłem.
— Bo znałeś faceta, dla którego podjąłeś się tej roboty.
— Nie, przysięgam, że go nigdy przedtem nie widziałem.
— Nie opowiadaj bajek. A może ten facet w ogóle nie istnieje.
— Jak to?
— Zwyczajne. Sam ukradłeś ikony i sprzedałeś je

Skrzyskiej.

— Nic podobnego!

— Bracie, w tym wszystkim, co powiedziałeś, łgarstwo pogania łgarstwo. Chyba nie rozumiesz, w jakiej jesteś sytuacji. Te ikony skradziono z pracowni pewnego malarza, któremu ktoś tak przyłożył świecznikiem, w głowę, że facet nie żyje. Rozumiesz? Zamordowano go. Ktoś go zabił i zabrał ikony.

Michał Kowalski siedział przed porucznikiem blady, nerwowo splatał i rozplatał dłonie.

— Powinno ci zależeć na tym, żebyśmy jak najprędzej odnaleźli człowieka, który dał ci te obrazy, o ile on w ogóle istnieje. Słyszysz? To twoja jedyna szansa.

— Aleja nie znam tego człowieka — powiedział Kowalski płaczliwym głosem.

Bartkowski przez chwilę patrzył na niego w milczeniu, po czym pchnął niecierpliwym
ruchem w jego stronę album.

— Obejrzyj sobie te fotografie. Powiedz, jeżeli rozpoznasz tego mężczyznę.

Kowalski powoli przerzucał kartki albumu, potem odłożył go na bok.

— Nie ma go tu.

— Spróbuj jeszcze raz.

Bez słowa ponownie otworzył album. Nad zdjęciem Andrzeja Golskiego nawet się nie zawahał.

— Znasz tego faceta? — porucznik przytrzymał go za rękę.

— Nie.

— Widziałeś go kiedy?

— Nie, nigdy.

— Jesteś pewien?

— Tak.

— A tego? — Bratkowski odwrócił kartkę i wskazał zdjęcie Walczaka.

— Też nie.

— Czy w ogóle kogoś rozpoznałeś w tym albumie?

— Nie.

— Nikogo z tych ludzi nie znasz?

— Nie.

— Ale nie w związku z ikonami, tylko w ogóle. Nigdy nie widziałeś kogoś, kto przypominałby ci którąś z tych 1 warzy?

— Nie, nigdy,

— Masz krótką pamięć.

— Panie poruczniku! Ja nie wiem, o co panu chodzi — zachlipał histerycznie Kowalski. — Ja nie zrobiłem nic złego. Nie mam nic wspólnego z jakimś tam morderstwem; Podjąłem się pośrednictwa w sprzedaży tych obrazków i nic więcej. Po cholerę złakomiłem się na te tysiąc złotych!

— Spokój! — Bartkowski uderzył dłonią w biurko.

— Przepraszam... Czy mógłbym dostać papierosa?

— Trzymaj — porucznik podsunął mu paczkę sportów. — Skąd masz pieniądze?

— Jakie pieniądze?

— Przecież ostatnio nie brakuje ci pieniędzy. Gdzie pracujesz?

— Różnie.

— Przestań kręcić!

— Czasem pomagam na placu Kleparskim. Przywożę od ogrodników owoce. Nieraz trafi się coś lepszego.

— Na przykład?

— Zahandluję skórkami króliczymi... albo...

— Albo kradzionymi przedmiotami?

— Ależ nie! Jak Boga kocham, tylko raz przytrafiło mi się coś takiego.

— Nie opowiadaj mi tu głupstw! Bywasz ostatnio w wesołym towarzystwie i to wcale nie w najtańszych knajpach. Znalazłeś sobie lepsze towarzystwo?

— Pan się dziwi? Ja przecież mam szkolę średnią...

— No, niezupełnie.

— Prawie skończoną... Zrobiłem trzy klasy liceum.

— Więc twoi nowi kumple mają maturę? Może są nawet studentami?

— Nie zaglądałem im do indeksów.

— Nie zaglądałeś? Ty myślisz, że z kim masz do czynienia?

Z frajerami? Grasz na zwłokę? Po co? Wcale ci to na dobre nie wyjdzie. Przedstawię ci całą kolekcję tych twoich „kolegów”, możesz być spokojny. I jeżeli masz nadzieję, że oni nie przypomną sobie twojego nazwiska, to się mylisz.. A wracając do obrazów, radzę ci, zastanów się dobrze. To leży wyłącznie w twoim interesie, żeby wskazać osobę, od której dostałeś ikony. W twoim własnym interesie! Pomyśl nad tym.

## 19.VI. nadal środa

Marcin wrócił do domu koło szóstej po południa. Z przyjemnością wskoczył do wanny, potem ogolił się i założył świeżą koszulę w zieloną kratę.

— Wychodzisz? — zapytała babcia Karolina, rzucając na niego badawcze spojrzenie znad okularów.

— Nic. Dlaczego pytasz?

— Tak sobie, bez powodu — powiedziała obojętnie i wróciła spokojnie do swojej szydełkowej robótki.

Marcin, usiadł w fotelu, rozkładając przyniesione z miasta gazety.

Zaraz się zacznie — pomyślał zerkając w stronę Karoliny, Ale babcia milczała. Przeglądał przez chwilę „Politykę”, jednak w pewnym momencie zorientował się, że nie bardzo może skupić się na lekturze.

Niechby już zaczęła, nie mogę spokojnie czytać — westchnął w duchu, odkładając gazetę. Zapalił papierosa i sięgnął po opowiadania Kafki. Przedłużające się milczenie wyprowadzało go coraz bardziej z równowagi. Wreszcie na dobre się zaniepokoił.

— Co się stało? — spytał zamykając książkę.

— A co się miało stać?

— Jesteś od pewnego czasu okropnie tajemnicza.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi. — Karolina nie przerywała szydełkowania.

— Najpierw gdzieś znikasz, a potem w ogóle się nie

odzywasz.
— Co ty opowiadasz. Nigdzie nie znikam.
— W zeszłym tygodniu ciągle gdzieś chodziłaś.
— Ale jak widzisz, przestałam.
— No, powiedz, gdzieś ty wędrowała? — zniecierpliwił się Marcin.
Karolina odłożyła dziergotę i również zapaliła papierosa.
— Podjęłam się pewnej pracy dla Związku Kynologicznego.
— Na czym ta praca polegała?
— Wizytowałam niektórych członków, namawiając ich do wzięcia udziału w tegorocznej wystawie psów rasowych w Łodzi.
— Niemożliwe.
— Ale tak było.
Marcin znowu otworzył książkę.
— I chodziłaś po całym mieście? — zapytał jeszcze z niedowierzaniem.
— Nie. Ograniczyłam się do jednej dzielnicy.
— Ach tak! — powiedział z satysfakcją. — Założę się, że tą dzielnicą był Zwierzyniec.
— Bystry jesteś. Będziesz zupełnie dobrym oficerem śledczym.
— Po co tam chodziłaś?
— Daj spokój. Już się tam więcej nie wybieram. Przestało mnie to interesować. Zresztą jak widzisz, od niedzieli nie ruszam się z domu.
— Źle się czujesz?
— Nie.
— To dlaczego?...
— Już ci powiedziałam. Przestało mnie to interesować.
— Nigdy w to nie uwierzę.
— Powinieneś się cieszyć.
— Oczywiście, że jestem zadowolony... ale...
Karolina obserwowała go z lekkim uśmiechem.
— Stało się coś? Spotkało cię coś przykrego? — zapytał po chwili.

— I tak, i nie. To znaczy nic takiego, Co by dotyczyło ranie bezpośrednio, jeżeli to masz na myśli. Po prostu w pewnym momencie doszłam do wniosku, że nie mam prawa wtrącać się w cudze sprawy.

Nie wiadomo, dlaczego zrobiło mu się jakoś smutno.

— Napijesz się herbaty?

— Chętnie.

Marcin zerwał się i poszedł do kuchni, z której przez moment dochodziły niepokojące odgłosy, jakby za chwilę cała porcelana Karoliny miała się zamienić w stos potłuczonych skorupek.

— Rozbiłeś wszystkie filiżanki czy tylko jedną? — zapytała Karolina, kiedy Marcin wniósł wreszcie triumfalnie tacę z herbatą.

— Tylko jedną... A teraz opowiadaj — powiedział przysuwając sobie krzesło.

— Nie mogę ci powiedzieć nic nowego. Na pewno są to dla was znane fakty.

— Nie szkodzi. Zresztą trzeba przyznać, że kilka razy wyprzedziłaś nas nieco... — dodał zachęcająco.

— Po prostu byłam w dziewięciu domach na Zwierzyńcu. W sprawie wystawy. Sąsiadów Serczyńskich o wiele bardziej pasjonuje morderstwo popełnione w domu doktorostwa niż wystawa psów. Przy Akacjowej mieszka właściciel wspaniałego boksera. Bardzo mili ludzie, uraczyli mnie herbatą. Rozmowa kręciła się wokół willi Serczyńskich. Pan domu ulotnił się, no i wtedy jego żona rozgadała się na dobre. Stefcio chodził z jej synem do jednej kłosy. Podobno rok temu w szkole pojawiły się narkotyki. Nauczyciele zareagowali ostro. Zwołano zebranie rodzicielskie. Jednak nie wykryto źródła. Sprawa ucichła. Nie zauważono już później niczego podejrzanego. Syn pani Bukowskiej (mówię o właścicielce boksera) przyjaźnił się ze Stefciem. Przestał się uczyć. To był podobno zdolny, fajny chłopak. Matka była zaniepokojona, ponieważ podejrzewała, że narkotyki trafiły swego czasu do szkoły przez Stefcia. Postanowiła uniemożliwić synowi kontakt z Serczyńskim. Wysłała go do

siostry do Katowic, gdzie zresztą przebywa do dnia dzisiejszego.

— Dlaczego nie porozmawiała z dyrektorem szkoły?

— Nie miała żadnych dowodów. Jej syn zaprzeczał, jakoby Stefcio przynosił do szkoły jakieś narkotyki. Ale wpływ Tarczyńskiego na chłopca był tak negatywny, ze matka zdecydowała się wysłać po do siostry. Rozmawiałam o Stefciu nie tylko z Bukowską, Sąsiedzi dobrze go znają. O wielu sprawach i sprawkach nie będą opowiadali milicji, żeby nie zaszkodzić doktorowi. „Stefcio to rozpuszczony, nieznośny smarkacz. Ale jego ojciec jest porządnym, szanowanym człowiekiem”, mówią. Tak wiec Stefcio od pewnego czasu jest „panem Zwierzyńca”. Nie, nie chuligani, nie wdaje się w bójki. Urządza dla kolegów libacje, wydaje sporo pieniędzy, podrywa dziewczyny. Swojej koleżance ofiarował złoty pierścionek, bransoletkę i wyjechał z nią na tydzień do Zakopanego.

— Myślisz, że o tym nie wiemy?

— Na pewno wiecie, ale dla mnie to była nowość.

— Jego ojciec świetnie zarabia. Daje mu sporo pieniędzy.

— Nie. Nie daje mu pieniędzy.

— Skąd wiesz?

— Rozmawiałam z Marianną.

— Jesteś okropna! Przecież oni nie mają psa!

— Oczywiście nie powołałam się na Związek Kynologiczny. Byłam tam w innym charakterze.

— Mianowicie w jakim?!

— Wszystko jedno. To nieistotne. W każdym razie to była nieprzyjemna rozmowa…

— Dlaczego?

— Nie potrafię ci tego wytłumaczyć…

— Może nie chcesz?

— Chyba nie… Widzisz, ona bardzo kocha Stefcia. Nie ma i nigdy nie miała własnych dzieci. Jej przywiązanie do tego chłopca wzruszyło mnie i przeraziło… Ot i wszystko.

— Czy… z nią także rozmawiałaś o narkotykach? — zapytał Marcin ostrożnie.

— Ależ nie! Zresztą wtedy jeszcze o niczym nie wiedziałam, ponieważ zaczęłam od Marianny, a dopiero potem odwiedziłam te dziewięć domów. Rozmawiałyśmy o Stefciu. Że się nie uczy, że się włóczy. Wyraziłam przypuszczenie, ze przebywa w nieodpowiednim towarzystwie. Strzelałam właściwie w ciemno. Ale Marianna bardzo się zdenerwowała. Widzisz, ja powiedziałam, ze jestem z komitetu rodzicielskiego. Ona w to początkowo uwierzyła i starała się Stefcia bronić. Usiłowała zlekceważyć wagary i złe stopnie. Ale potem coraz bardziej była zaniepokojona...

— I co?

— Nagle próbowała zainteresować mnie osobą doktorowej. Sugerowała, że pani Lidka romansowała z Janotą.

— To nieprawda.

— Jesteś pewien?

— Tak.

— Wydaje mi się, że ona doszła do wniosku, że podesłała mnie milicja.

— Dlaczego tak myślisz?

— Prosiła, żebym porozmawiała z wychowawczynią Stefcia. Zapytała, czy ją znam. Skłamałam głupio, że tak. „To jest profesor Dębska” powiedziała. Ja potwierdziłam: „Tak, znam ją”.

— No i co z tego?

— Po prostu w szkole Stefcia nie ma profesor Dębskiej. Nie istnieje taka.

— No to złapała cię.

— Ano właśnie.

— Musiałaś j ą wystraszyć.

— Sądzę, że dlatego podsunęła mi doktorową.

— Tak... — Marcin zaczął wędrówkę po pokoju. — Właściwie nie wiem, jak mam się zachować. Ale... Nie chcę, żebyś biegała po Zwierzyńcu i wdawała się w jakieś rozmówki. Naprawdę szkoda twojej energii...

— Mnie nie. Nudzę się przez cały dzień w domu.

— Poza tym możesz nam tylko pokrzyżować plany... — przez chwilę zastanawiał się nad czymś, jakby się jeszcze wahał. — To nie jest sprawa narkotyków. To byłoby za trudne dla rozwydrzonego synalka pana doktora. W grę wchodzą pewne specyfiki: leki psychotropowe i niektóre neuroleptyki. Towar w pewnych kręgach bardzo chodliwy. Młodzi „kontestatorzy” doprawiają się „pigułami” własnej roboty, podlewając je często alkoholem. W szpitalu psychiatrycznym mamy kilku takich „bohaterów”. Zdarzają się również wypadki śmiertelnego zatrucia.

— Mój Boże... Co oni robią ze swoim życiem?...

— Wyłowiliśmy w krakowskich aptekach fałszywe recepty z pieczątką doktora Serczyńskiego. Nietrudno się domyślić, że to jest dzieło Stefcia. Prawdopodobnie ma wspólników. Poza tym musi mieć „rynek zbytu”. Sprawa wymaga szczególnej ostrożności. Dlatego proszę cię, nie mieszaj się do tego. Możesz tylko zaszkodzić. Mówię w tej chwili zupełnie poważnie. Błagam cię, Karolino, nie przeszkadzaj.

— Już nie chodzę na Zwierzyniec.

— Tak, ale nigdy nie wiadomo, co ci przyjdzie do głowy. Nie rozmawiaj już z nikim.

— Dobrze. O lekach i receptach ani słowa.

Marcin przyglądał jej się przez chwilę nieufnie, potem z lekkim westchnieniem, usiadł w fotelu i znowu wziął książkę do ręki.

— Trzymam cię za słowo.

— Oczywiście. — Karolina nie odrywała oczu od dziergoty. — Właściwie dlaczego nie wypuścicie starego Kostery?

— No, wiesz! Jak możemy wypuścić kogoś, kto z uporem twierdzi, że popełnił morderstwo?

— Osłania syna. Powiedzcie mu, że Artur tego nie zrobił.

— A czy jesteś pewna, że chłopak jest niewinny? Czy jesteś pewna, że po wyjściu od Janoty wyjechał ze Zwierzyńca, że wstąpił do domu po kąpielówki, a potem poszedł na basen? Boja nie. Nie wiem, co ukrywa i nie wiem, jak można by go zmusić do powiedzenia prawdy. Przesłuchaliśmy jego ciotkę. Twierdzi, że nie było jej w domu i jeżeli nawet Artur wstąpił

po kąpielówki, nie mogła go widzieć. Nie rozumiem tego. Przecież powinna nawet skłamać, żeby mu dać alibi. To byłoby naturalne.

— Nie, nie... Nie masz racji. Ona nie może inaczej zeznać.

Marcin spojrzał z ukosa na Karolinę.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nie wiecie, czy Artur istotnie wyjednał ze Zwierzyńca. Mógł przecież wysiąść na następnym przystanku i wrócić na Akacjową. Ale nie macie żadnych dowodów na to, że tak było. Przypuśćmy więc, że wsiadł w tramwaj i pojechał do domu. I przypuśćmy, że spotkał ciotkę. Tego dnia niespodziewanie przyjechał jego ojciec z Wrocławia. Czy wyobrażasz sobie, że ciotka nie powiedziała mu o tym? Czy to możliwe? Nie wiem, jaki przebieg mogła mieć ta rozmowa, ale musiała mu przecież powiedzieć, że ojciec przyjechał, że dopytywał się o niego, że był zdenerwowany. Sądzisz, że Artur przyjął to zupełnie obojętnie i poszedł na basen? Na pewno był zaskoczony nagłą wizytą ojca. Nawet nie będąc specjalnie czułym synem chyba zapytał, gdzie jest ojciec, czego od niego chciał i po co przyjechał? Może zresztą nie musiał o nic pytać. Stary Kostera wspomniał, że rozmawiał z siostrą o Janocie. Nie przypuszczam, żeby przed Arturem robiła z tego tajemnicę. Jak mógł się w takiej sytuacji zachować Artur? Poszedł spokojnie na basen? Wątpię. Przecież niespełna pół godziny temu pokłócili się z Janotą, który zażądał zwrotu klucza i wyrzucił chłopaka za drzwi. A teraz jego ojciec nie wiadomo po co pojechał do Janoty. .Jak myślisz, co zrobił Artur?

Marcin milczał, przyglądając się z zainteresowaniem babce.

— Jeżeli nawet nie wrócił czym prędzej na Akacjową, to na pewno nie chce, żebyście go, o to podejrzewali. I dlatego nie przyzna się do rozmowy z ciotką, a ciotka skłamie, że nie było jej w domu. Artur nie ma alibi, to prawda, ale równocześnie wy nie macie podstaw, żeby przypuszczać że wrócił do Janoty. Oczywiście to są rozważania czysto teoretyczne. Być może wcale nie wstępował do domu albo

rzeczywiście nie zastał ciotki i nie rozmawiał z nią. Ale jeżeli pani Kostera skłamała, trudno się jej dziwić.

— Babciu, jesteś rewelacyjna! Derko powinien się z tobą ożenić!

Wybuchnęli oboje głośnym śmiechem.

— Ale wiesz, w tym coś jest... — powiedział po chwili Marcin zupełnie poważnie. — Artur od początku kreci. Na przykład wyraźnie podsunął nam Monikę Skrzyską. Robił to bardzo ostrożnie, mimo to przedobrzył. Opowiadał, że Janota prosił go o przyjmowanie telefonów od Skrzyskiej, cytował nawet rozmowy z Moniką. Nie powiedział wprost, że chodziło o ikony. Musiałby się wtedy przyznać, ze o nich wiedział, co z kolei mogłoby go obciążać. Ale twierdził, że była mowa o jakimś obrazie czy nawet kilku obrazach, które Janota miał wykończyć dla Skrzyskiej. Monika dzwoniła i ponaglała, a Janota wymigiwał się tak dalece, że ostatnio nie chciał sam odbierać telefonów. Miał się podobno wyrazić, ze „to babsko” chce go wplątać w aferę kryminalną. Tymczasem zarówno Skrzyską, jak i Golski zeznali, że Janota jak ognia bał się jej kontaktów z Arturem. Na pewno nie opowiadał Arturowi o Skrzyskiej i nie mógł go prosić o odbieranie telefonów od niej. A więc Artur skłamał. Chciał nam podsunąć Skrzyską wraz z motywem.

— I z ikonami.

— Tak... Wiem, co kombinujesz. Ale gdyby Artur zabrał ikony (oczywiście o ile wrócił do pracowni po rozmowie z ciotką), toby nam ich nie podsuwał...

— Chyba że byłyby już w posiadaniu Moniki Skrzyskiej.

— Tak, to by się nawet zgadzało... I wydaje mi się, że Derko wpadł na podobny pomysł, co ty.

— A ten... jak mu tam, Michał Kowalski... nie puścił jeszcze farby?

— Babciu! Jak ty się wyrażasz? — Marcin był szczerze ubawiony „żargonem” Karoliny. — Jakbyś się wychowała w melinie złodziejskiej, a nie w...

— Dobrze, dobrze — przerwała stanowczo. — Zaraz wyjedziesz z pensją w Szymanowie. Mniejsza z tym, jak

mówię. Więc co ten Kowalski”

— Na razie nic. Ale mam nadzieję, że się jednak namyśli i „puści farbę”. Cokolwiek by miał na sumienia, zawsze to lepsze niż oskarżenie o zabójstwo.

## 27.VI. czwartek

Od dwudziestu czterech godzin w całym mieście zbierano informacje na temat Michała Kowalskiego. W barku „Pod Ratuszem” w różnych knajpach, odwiedzanych chętnie przez młodych ludzi nie parających się żadną pracą, na placu Kleparskim wśród przekupek, na Zieleniaku i u badylarzy, na Rakowicach i na Zwierzyńcu, i w wielu innych miejscach.

Tymczasem Kowalski musiał sobie przez noc przemyśleć całą sprawę i dojść do wniosku, że krycie kogokolwiek w jego sytuacji jest zupełnie nieopłacalne. Zgodnie z przewidywaniami Marcina Ziei „puścił farbę”. Obrazy przehandlował do spółki ze Stefanem Serczyńskim. Dostali je od Artura Kostery. Po prostu Artur zaproponował Stefciowi „dobry interes”. Miał obrazy, za które pani Skrzyska gotowa była zapłacić dwadzieścia tysięcy. Trzeba było tylko ostrożnie cała sprawę załatwić. Poradził, jak się do tego zabrać. Nie mógł sam przeprowadzić tej transakcji, ponieważ Skrzyska znała go i bardzo mu na tym zależało, żeby się nie dowiedziała, że to właśnie on sprzedaje te ikony.

Czy rozmawiał bezpośrednio z Arturem? Nie. Oczywiście zna Artura Kosterę. Zna, to może za dużo powiedziane. Spotkał go kiedyś na Zwierzyńcu, a Stefan mu powiedział, że to jest jego kumpel. W dniu, w którym, mieli załatwić len interes, poszli ze Stefanem, na dworzec autobusowy koło piątej po południu. Stefan miał przy sobie kwit z przechowalni bagażowej, podobno dostał go od Artura.

Z budki telefonicznej zadzwonił do Skrzyskiej i umówił się z nią na szósta. Musieli mieć trochę czasu, żeby odebrać z przechowalni worek turystyczny, w którym były obrazy. Dwadzieścia tysięcy miało być do podziału: dla Artura pięć,

reszta dla nich. Jednak Artur nie zgłosił się po forsę. Czekali kilka dni, a potem Stefan dzwonił do niego kilka razy, ale go nie zastał. Kowalski nie znal Janoty, rzadko bywał u Serczyńskich w domu, a ostatnio w ogóle tam się nie pokazywał. Marianna przeganiała go bezceremonialnie, „szkoda zdrowia, żeby się z taką wiedźmą użerać”, a poza tym Stefan nie chciał, żeby coś nagadała starym, więc spotykali się poza domem. O morderstwie w willi doktora dowiedział się od Stefana, który mu nawet radził, żeby się trzymał z daleka od Zwierzyńca. Dom był pod obserwacją milicji, a Kowalski po ostatniej odsiadce wolał nie mieć z milicją do czynienia.

— Wierzycie w tę całą historyjkę? — zapytał porucznik Bartkowski, kiedy wyprowadzono już Kowalskiego. — Przecież ten Stefcio byłby skończonym idiotą, gdyby ryzykował taką drakę. Mając na sumieniu niebagatelną sprawę, powinien przycupnąć jak mysz pod miotłą i przeczekać spokojnie zainteresowanie milicji jego rodzinnym domem.

— Nie należy do najinteligentniejszych chłopców, jakich znam. Prawdopodobnie wyobrażał sobie, że jego kombinacje z receptami tatusia nie zwróciły niczyjej uwagi. Ale Artur... Artur nie jest idiotą... Podporucznik Zieją zajmie się dworcem autobusowym... — Derko spojrzał spod oka na Marcina — ...osobiście! Babcię Karolinę proszę zostawić w domu albo wysłać w podróż dookoła świata.

W hallu dworca autobusowego roił się tłum podróżnych. Kolejka przed kasą biletową, rozgorączkowani ludzie przepychający się w stronę wyjścia, gwar, tumult i absolutny chaos świadczyły o tym, że sezon letni już się zaczął. Marcin smętnie pokiwał głową na widok niezliczonych ilości walizek i worków turystycznych zawalających przechowalnię bagażową.

Oczywiście magazynier mimo najlepszej woli nie mógł sobie przypomnieć rudego chłopca, który dnia jedenastego czerwca odebrał z przechowalni worek turystyczny z

granatowego brezentu. Obejrzał podsunięte mu przez Marcina fotografie i pokręcił bezradnie głową.

— Panie, niech pan się rozejrzy, co tu się dzieje! Nie jestem w stanie rozpoznać nikogo, nawet gdyby sam arcybiskup oddał mi walizkę na przechowanie. Setki ludzi, setki walizek, setki worków turystycznych. Gdyby ten bagaż wyróżnił się czymś szczególnym, to jeszcze... ale worków turystycznych to ja przepuszczam przez ręce kilkadziesiąt w ciągu doby.

— Proszę mi. powiedzieć, jak długo można trzymać bagaż w pańskiej przechowalni?

— Jak długo się chce. Niektórzy nie odbierają swoich pakunków nawet przez dwa dni.

— Chyba prowadzi pan jakiś rejestr rzeczy, które znajdują się w magazynie?

— Oczywiście! Prowadzę książkę magazynową, a poza tym kwit, który otrzymuje pasażer, jest pisany przez kalkę i kopia zostaje u nas.

— Czy z książki można dowiedzieć się, kiedy, bagaż odebrano?

— Tak. Wpisuję godzinę przyjęcia i godzinę wydania. Musimy to robić, ponieważ za przechowalnię płaci się od godziny.

— Niech mi pan pokaże tę książkę. Sprawdzimy, czy jedenastego czerwca, między siedemnastą a osiemnastą ktoś odebrał worek turystyczny.

— Ależ proszę pana! Mogę to panu powiedzieć bez książki. Teraz, w tym okresie, przy takim ruchu na pewno wydałem w ciągu godziny co najmniej dziesięć worków turystycznych. A poza tym to i tak nic nie pomoże. Przecież ja nie zapisuję nazwisk pasażerów. Skąd pan będzie wiedział, że to jest właśnie ten worek, którego pan szuka?

Marcin przerzucał kartki książki magazynowej.

— Będę wiedział... Jak widzę, zapisuje pan również wagę?

— No, tak. Każdą walizkę rzucam najpierw na wagę. Przy odbiorze również. Pan wie, żeby nie było potem reklamacji... Zresztą takie mam zarządzenie. Przepis i koniec.

— Worek, o który mi chodzi, musiał być bardzo lekki. Prawie nic w nim nie było. Niewielka paczka i jakieś papiery, ma pan rację, w ciągu tej godziny wydano kilka worków turystycznych... 17 kg, 14 kg, 16 kg i... 6 kg... To chyba ten. Oddany do przechowania... — Marcin powiódł palcem wzdłuż rubryki — tego samego dnia o godzinie ósmej piętnaście. Widzi pan, więc jednak można coś wyczytać z pańskiej książki — powiedział wesoło. —Nie przypomina pan sobie przypadkiem, kto oddał ten bagaż na przechowanie? Musiał pan zwrócić na to uwagę, .że worek jest wyjątkowo lekki?

— Nie... Nie przypominam sobie... W tym kołowrocie... Bardzo mi przykro...

— Szkoda. W każdym razie dziękuję, panu za pomoc i do widzenia.

Już niczego więcej nie mógł się dowiedzieć, chociaż jeszcze przeszło godzinę „urzędował” na dworcu. Przez sekundę pomyślał o Karolinie, która wykonałaby jakiś nieprawdopodobny numer, na. przykład zemdlałaby na środku poczekalni dworcowej, po czym jakimś cudem znalazłaby kogoś, kto widział, jak Artur (lub wcale nie Artur?) oddawał worek do przechowalni.

Nie ulega wątpliwości, że przez nią wcześniej czy później wyleją mnie z milicji — westchnął w duchu i postanowił wrócić do komendy, żeby zaprezentować kapitanowi Derce swoje skromne plony.

Artur siedział w pozie wyrażającej absolutną swobodę i pełną nonszalancję. Lekki, ironiczny uśmieszek nie znikał z jego twarzy.

— Nie, kapitanie. Tym razem nie uda się panu wrobić mnie w tę historię.

— Proszę odpowiadać na moje pytania jasno i wyraźnie, bez zbędnych komentarzy — Derko nie podniósł głosu ani o ćwierć tonu.

— Tak jest, kapitanie. A więc odpowiadam: nie znam

Michała Kowalskiego, nie wręczyłem Stefciowi Serczyńskiemu żadnego kwitu bagażowego, nic nie wiem o ikonach i w ogóle ta sprawa mnie nie dotyczy.

— Gdzie pan był jedenastego czerwca o ósmej rano?

— Czy muszę to panu powiedzieć?

— Jak pan uważa...

— Chodzi o „honor kobiety”, a wobec kobiet staram się zawsze być gentlemanem.

Derko bawił się długopisem, przyglądając się Arturowi z zupełnie obojętnym wyrazem
twarzy.

— Widzę, że jednak bardzo pan chce wiedzieć... Więc trudno... O ósmej rano byłem u Urszuli Kamiński ej, ulica Floriańska 7, pierwsze piętro, mieszkania siedem, pukać trzy razy.

— Spędził pan u niej noc?

— Panie kapitanie! Cóż to za niedyskretne pytanie.

— No więc?

— Nie. Poprzedniego dnia wieczorem zasiedziałem się trochę u niej. Wyszedłem o drugiej w nocy. Umówiliśmy się, że spędzimy następny dzień razem. I tak się stało, dzięki czemu tym razem mam murowane alibi. Przyszedłem do niej o ósmej, wyciągnąłem ją z łóżka, zjedliśmy razem śniadanie, kolo jedenastej wyszliśmy z domu. Połaziliśmy po mieście, o pierwszej poszliśmy do Europejskiego na obiad. Po obiedzie wstąpiliśmy do Ryśka Zaborowskiego. Nie zastaliśmy go w domu, ale rozmawialiśmy z jego matką. Wstąpiliśmy do Noworolskiego na kawę, gdzie spotkaliśmy kolegę z akademii. Nazywa się Karol Listkiewicz, mieszka przy ulicy Jasnej osiem. Poszliśmy w trójkę nad Wisłę. Nie rozstawaliśmy się do ósmej wieczorem. O ósmej odprowadziłem Ulę na Floriańską, po czym wróciłem do domu, z którego już nie wychodziłem. Jak pan widzi, ani przez chwilę nie byłem sam. Dziwię się, że pan w ogóle uwierzył w tę idiotyczną historyjkę! Coś takiego mógł wymyślić tylko taki orzeł intelektu jak Stefcio Serczyński. Ja miałbym kraść ikony z pracowni Janoty (może nawet go

zabić) po to, żeby zarobić głupie pięć tysięcy! Najprymitywniejsze kłamstwo, jakie udało mi się usłyszeć w ciągu ostatnich dziesięciu lat!

Derko nadal przyglądał mu się bacznie. Artur milczał przez chwilę. Potem spojrzał nieco: zdziwiony na kapitana. Czekał na następne pytania, które jednak nie padały. Wreszcie powiedział zniecierpliwiony:

— Czy mogę już iść? Chyba nie jestem już panu potrzebny? — zgarnął papierosy z biurka, schował je do kieszeni i wstał.

— Proszę jeszcze nie odchodzić — Derko również wstał. — Będzie pan taki uprzejmy i zaczeka w sąsiednim pokoju. Niestety, to może potrwać dosyć długo. Jak pan się domyśla, musimy jednak sprawdzić pańskie alibi. Nie chcę pana ponownie wzywać na rozmowę. Dzisiaj wyjaśnimy sobie wszystko.

Kapitan szedł w stronę drzwi.

— Wszystko?— zapytał Artur.

— Mam na myśli pańskie alibi — powiedział Derko. — Niech pan już przejdzie do poczekalni i uzbroi się w cierpliwość.

Artur dwie godziny spędził w małej poczekalni. Palił papierosa za papierosem, rzucając niedopałki niekoniecznie do popielniczki. Wreszcie zaczął wypytywać sierżanta siedzącego przy małym biureczku, o co właściwie chodzi i kiedy kapitan Derko wróci, ale sierżant oczywiście o niczym nie wiedział.

— Niech pan się nie denerwuje. Kapitan prosił, żeby pan zaczekał — powiedział i zajął się swoimi sprawami.

Artur usiadł więc z powrotem na krześle, wyciągając jak zwykle nogi przed siebie. I wtedy wszedł Derko.

— Zapraszam pana na małą przejażdżkę...

Artur podniósł się niechętnie.

— O co chodzi?

— Powiedziałem panu, że musimy dzisiaj kilka rzeczy wyjaśnić. Jedziemy.

Niczego więcej Artur nie mógł się dowiedzieć, tym

bardziej że kapitan wsiadł do innego samochodu. Z Arturem jechali zupełnie nie znani mu milicjanci. Zatrzymali się przed willą doktora Serczyńskiego. Stały tam już dwa wozy milicyjne. Bez słowa przeszli przez mały ogródek. W progu czekał na nich porucznik Bartkowski.

— Bardzo przepraszamy za najście — powiedział kapitan Derko, wchodząc do saloniku doktorostwa.

— Tak... porucznik Bartkowski już nam wyjaśnił... To ma być coś w rodzaju wizji lokalnej.

— Raczej konfrontacji. Bardzo proszę, żeby wszyscy usiedli. Nasza rozmowa nie będzie taka krótka.

Doktor Serczyński zajął miejsce w fotelu obok swojej żony, która patrzyła na zgromadzonych nieco zdziwiona i jakby trochę znudzona. Widocznie — miała inne plany towarzyskie na dzisiejszy wieczór. Obol: na kanapie siedział Stefcio. Artur obrzucił wszystkich szybkim spojrzeniem i wybrał dla siebie fotel z boku przy małym stoliku, na którym stała popielniczka. Przez chwilę kątem oka przyglądał się rosłemu brodaczowi siedzącemu pod przeciwległą ścianą, potem wyciągnął papierosa i zapalił.

— Nie rozumiem, dlaczego ta rozmowa ma się odbyć w moim domu? — powiedział niechętnie doktor Serczyński.

— Ponieważ dotyczy pańskiego domu w sposób bezpośredni, o czym będzie mógł się pan przekonać za chwilę. Nie ma w tym pokoju wszystkich osób, które brały udział w wydarzeniach rozgrywających się tutaj piątego czerwca. Jednak sądzę, że w tym niewielkim gronie uda nam się wyjaśnić niektóre szczegóły, dotyczące śmierci Grzegorza Janoty. Postaram się w skrócie podać pewne fakty. Piątego czerwca o godzinie piętnastej pani Ewa Karska, studentka II roku ASP przyszła do profesora Janoty aby prosić go o podpisanie indeksu. Po dziesięciu minutach do pracowni wszedł obecny tu Artur Kostera. Pani Ewa przez kilka minut była świadkiem kłótni, jaka miała miejsce między Arturem Kosterą a panem Janotą. Wyszła z pracowni o piętnastej dwadzieścia. Nie zatrzasnęła jednak za sobą drzwi prowadzących na główną klatkę schodową. Pan Artur

Kostera przebywał w pracowni jeszcze pół godziny. Wyszedł o piętnastej pięćdziesiąt „kuchennymi schodami”, z których zresztą zawsze korzystał. Pan Artur zeznał później, że na żądanie profesora oddał klucz od pracowni. Czy tak?

— Tak. Rzuciłem go na stół — potwierdził Artur.

— Na drugi dzień pan Artur wszedł do pracowni przez drzwi balkonowe, wziął klucz ze stołu i otworzył drzwi od środka. Na stole został jednak wyraźny ślad po kluczu i po charakterystycznym breloczka przyczepionym do niego, ponieważ poprzedniego dnia ktoś wylał tusz, który zaschnął na kluczu i na stole. Ale wracając do dnia piątego czerwca... Wiec o godzinie piętnastej pięćdziesiąt pan Artur Kostera wyszedł z willi państwa Serczyńskich i udał się na przystanek tramwajowy. Tymczasem do pana Janoty wszedł pan Golski. Była godzina szesnasta trzydzieści pleć.

— Jak to... ? — Artur spoglądał ze zdziwieniem na kapitana Derkę.

— Słucham?

— Nie... nic...

— Nie wiedział pan, że obecny tu — kapitan wskazał ręka siedzącego pod ściana brodacza
— pan Golski również złożył tego dnia wizytę panu Janocie?

— Skąd mogłem o tym wiedzieć? — mruknął, wzruszając ramionami, Artur.

— A więc pan Golski wszedł do pracowni o godzinie piętnastej pięćdziesiąt pięć i przebywał w niej do godziny szesnastej piętnaście. Również miedzy nim a panem Janotą wybuchła kłótnia, której fragmenty słyszał doktor Soczyński...

— No dobrze, dobrze — przerwał niecierpliwie rzeźbiarz — byłem tam, wcale się tego nie wypieram, kłóciłem się z Grzegorzem, nie ma znaczenia, o co, ale go nie zabiłem. Zostawiłem go żywego i całego.

— Nic jestem tego taki pewien — zasyczał przez zęby Artur.

— Mam powody, żeby przypuszczać, że pan Golski mówi prawdę — powiedział spokojnie kapitan Derko.

— Jakie?

— Wyjaśnię, jeśli to będzie konieczne. Na razie przejdźmy do dalszych faktów. Pan Władysław Kostera wszedł do pracowni o godzinie szesnastej czterdzieści. Początkowo myśleliśmy, że Janota sam go wpuścił do pracowni, ale okazało się, że Ewa Karska nie zamknęła za sobą drzwi. Pan Golski również skorzystał ze schodów kuchennych, więc drzwi prowadzące na główną klatkę schodową były nadał otwarte i pan Władysław Kostera mógł wejść do mieszkania sam. Nikt nie musiał go wpuszczać.

— Czy to znaczy... Nie rozumiem, do czego pan prowadzi... — powiedział Artur, z uwagą wpatrując się w kapitana.

— Pański ojciec wszedł do mieszkania i znalazł Janotę martwego. Ponieważ widział pana na przystanku tramwajowym, pomyślał, że pan jest zabójcą. Postanowił wziąć winę na siebie.

— O Boże! — Artur podniósł się z fotela, ale jakby nie wiedząc, co dalej ma ze sobą zrobić, usiadł z powrotem i nagle zaczął się śmiać.

— Co za idiota ze mnie! O Boże! — potem, spojrzał z wściekłością na Golskiego.

— To on! — powiedział. — To on zabił Janotę!

— Uspokój się, smarkaczu! — krzyknął Golski.

— Proponuję, żeby obaj panowie zachowali spokój przerwał Derko.

— Bardzo pana przepraszam, kapitanie, ale nadal nie widzę związku... — znowu odezwał się Serczyński,

— Zaraz pan zobaczy. W pracowni Janoty znajdowały się dwie autentyczne ikony, które widziała jeszcze pani Ewa Karska. Te ikony zginęły. Na pewno będzie pan zaskoczony, ale to pański syn sprzedał te ikony pani Monice Skrzyskiej za dwadzieścia tysięcy złotych.

— To nieprawda... To niemożliwe — Serczyński patrzył przerażony na kapitana, potem nagle odwrócił się w stronę syna. — Powiedz wreszcie, na Boga, że to nieprawda!

— W ogóle nie wiem, o czym pan kapitan mówi... — Stefcio wbił spojrzenie w dywan.

— Aresztowaliśmy Michała Kowalskiego, twojego przyjaciela.

— Kto to jest? — denerwował się doktor.

— Wspólnik pańskiego syna.

— To jakieś potworne nieporozumienie…

— Niestety, to prawda. Skąd miałeś te ikony? — zapytał Derko zwracając się do Stefcia.

— Dostałem je od Artura…

— To nieprawda — powiedział Artur spokojnie. — Nic nie wiem o żadnych ikonach.

— Jak to?! Dostałem je od ciebie!

— To nieprawda — powtórzył Artur. — Nie wiem, skąd je miałeś. Może zabrałeś je z pracowni Janoty.

— Nawet nie wiedziałem, że należały do niego!

— Panie kapitanie! Przecież mój syn nie mógł tego zrobić. Był wtedy w szkole. Wrócił do domu wpół do piątej, potem jedliśmy razem obiad… W tym czasie… w tym czasie na górze był już pan Kostera… Więc kiedy… kiedy Stefan miałby…

Serczyński usiłował zapalić papierosa, ale nie mógł sobie poradzić z zapałkami.

— Pański syn nie był tego dnia w szkole. Leżał na górnym tarasie i opalał się.

— Jak to?…

— Mógł po wyjściu pana Golskiego wejść do pracowni Janoty i… zabrać te ikony.

— Nie! Nie byłem tam! W ogóle tego dnia nie widziałem Janoty! Leżałem na górnym tarasie, to prawda. Potem zszedłem na dół. Umyłem się… zajrzałem do kuchni…

— Nie wychodziłeś na kuchenne schody?

— Nie.

— Ma pewno?

— Może pan zapytać o to Mariannę

— Była zajęta przygotowaniem obiadu, mogła cię nie zauważyć.

— Nie, stała przy kredensie., chowała właśnie klucz od stryszku do szuflady… Widziała mnie! Na pewno będzie to

pamiętała. Jak tylko mnie zobaczyła, warknęła: „Czego tu chcesz” czy coś w tym rodzaju. Zapytałem, kiedy będzie obiad, a ona kazała mi się wynosić.. Była wściekła...

— Skąd wiesz, że to był klucz od stryszku?

— Przecież znani ten klucz. Jest duży... na długim łańcuszku. Sam zakładałem ten łańcuszek.

— Mniejsza z tym — powiedział powoli kapitan Derko, a potem spojrzał ostro na Golskiego, który niespokojnie poruszył się w fotelu.

— Mogłeś wejść frontowymi drzwiami. Ewa zostawiła je otwarte... — wtrącił Artur.

— W takim razie kto otworzył pańskiemu ojcu? — przerwał mu kapitan.

Artur wzruszył ramionami

— Wreszcie co mnie to obchodzi, skąd Stefan wziął te ikony?

— Dostałem je od ciebie! To ty podsunąłeś mi Skrzypka, zapewniałeś mnie. że to czysty interes i że nie ma mowy o żadnych kłopotach...

— Kiedy zaproponował ci ten interes?

— W niedzielę, dziewiątego czerwca. Potem omówiliśmy wszystko... W poniedziałek po raz pierwszy zadzwoniłam do Skrzyskiej i kazałem jej przygotować pieniądze. We wtorek spotkałem się z Arturem na Plantach. Dał mi wtedy kwit z przechowalni bagażowej. To były właśnie te ikony.

— O której to było godzinie?

— O wpół do drugiej.

— No, właśnie — znowu odezwał się Artur. — Przecież o tej porze byłem z Ulą Kamińską na obiedzie. Najlepszy dowód, że kłamiesz. Na szczęście tego dnia ani przez chwilę nie byłem sam.

— Jak to, przecież spotkaliśmy się! Dałeś mi kwit!

— Nic ci nie dawałem.

— Dosyć tego — powiedział stanowczo kapitan. — Rozmawiałem z Urszulą Kamińską. Całe pańskie alibi jest diabła warte. „Worek turystyczny oddano do przechowalni o ósmej piętnaście. Pan rzekomo o ósmej był już u pani

Urszuli. W pierwszej chwili potwierdziła to, ale okazano się, że nie spojrzała nawet na zegarek. Poprzedniego dnia dała panu klucz od mieszkania. Kiedy przyszedł pan rano, Kamińska jeszcze spała. To pan powiedział jej, że jest już ósma. Powtórzył pan to kilka razy. Kamińska spojrzała na zegarek dopiero tuż przed wyjściem z domu, czyli o jedenastej. A więc wcale nie wiadomo, czy przyszedł pan istotnie o ósmej. Z dworca autobusowego jest dosyć blisko na ulicę Floriańską. Mógł pan oddać worek do przechowalni i w ciągu kilku minut znaleźć się u pani Kamiński ej. O wpół cło drugiej spotkałeś się na Plantach z Arturem Kosterą — kapitan zwrócił się do Stefcia. — W którym to było miejscu?

— U wylotu ulicy Sławkowskiej.

— Pan Artur Kostera piętnaście po pierwszej wszedł do restauracji w hotelu Europejskim. Po zamówieniu obiadu i wypaleniu papierosa zostawił pan Urszulę Kamińską samą przy stoliku i odszedł pan do telefonu. Nie było pana około dziesięciu minut. W tym czasie mógł pan śmiało zdążyć na umówione spotkanie i wrócić spokojnie do stolika.

— Ale tego nie zrobiłem. Chyba nie chce mnie pan oskarżać tylko dlatego, że Urszula nie spojrzała na zegarek i że zostawiłem ją przy stoliku na dziesięć minut.

— Nie... Powiedział pan dwie godziny temu, że pan nie ukradłby ikon, żeby zarobić głupie pięć tysięcy złotych. Skód pan wiedział, że właśnie o taką sumę chodziło?

— Nie rozumiem.

— Michał Kowalski zeznał, że dwadzieścia tysięcy miało być podzielone między was trzech. Dla pana pięć tysięcy, a reszta dla Michała i Stefana do podziału. Skąd mógłby pan wiedzieć, że właśnie pięć tysięcy przeznaczono dla pana, skoro nie miał pan z tą całą sprawą w ogóle do czynienia?

— Nie wiem... Pan o tym wspomniał...

— Nie. Ja panu tego nie powiedziałem.

Artur przez chwilę milczał.

— No, dobrze. Przehandlowałem te ikony. Ale wcale ich nie ukradłem. Janota dał mi je. Chciał, żebym je zaniósł jeszcze tego samego dnia do Cepelii. Nie zrobiłem tego. Po

prostu rzuciłem je w domu w kąt. Dopiero po śmierci Janoty przypomniałem sobie o nich. Nie wiedziałem, co z nimi zrobić, ale jak je obejrzałem dokładnie, stwierdziłem, że to są autentyki. Skojarzyłem to z telefonami Skrzyskiej i byłem już w domu. Kiedy aresztowaliście mojego ojca, wpadłem na niezbyt fortunny pomysł, żeby wrobić Skrzyską. Chciałem ratować mojego ojca. Było mi zupełnie obojętne, kogo będziecie podejrzewać o zabójstwo, chciałem tylko, żebyście dali spokój mojemu ojcu.

— Tak. Być może takie były motywy pańskiego postępowania... Ale Janota nie dał panu tych ikon.

— Oczywiście! — odezwał się Golski. — Przecież ja te ikony widziałem. A przyszedłem już po twoim wyjściu.

— Więc kiedy Janota mógł panuje dać? Czyżby pan nie odjechał ze Zwierzyńca i wrócił do pracowni jeszcze przed nadejściem pańskiego ojca?

— Nie! Pojechałem, tak jak panu mówiłem, do domu.

— Nie ma pan na to żadnego świadka.

— Mam. Zastałem w domu ciotkę... Rozmawiałem z nią. Powiedziała mi, że ojciec przyjechał i że poszedł do Janoty. Potem doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jeżeli to zataję przed wami... I kazałem ciotce milczeć. Nie wiedziała, o co chodzi, ale wytłumaczyłem jej, że jeżeli nie chce zgubić ostatecznie ojca i mnie, musi kłamać. Ale teraz... w tej sytuacji... Niech pan ponownie przesłucha moją ciotkę... Byłem w domu i nie mogłem wrócić do pracowni tak szybko, żeby zdążyć, nazwijmy rzecz po imieniu, żeby zdążyć zabić Janotę. Ja tego nie zrobiłem.

— Wrócił pan o wiele później. Biorąc pod uwagę drogę ze Zwierzyńca do pańskiego domu, tam i z powrotem, i najmniej pięć minut na rozmowę z ciotką, to mógł pan pojawić się w pracowni Janoty najwcześniej o godzinie siedemnastej dziesięć.

— Tak było.

— I zastał pan ojca?

— Tak... Wbiegłem na górę schodami kuchennymi... Drzwi były zamknięte na klucz. Zapukałem, szarpnąłem

klamką raz i drugi, a potem otworzyłem drzwi własnym kluczem... Właściwie nie wiem, dlaczego tak zrobiłem. Byłem pewien, że ojciec jest u Janoty. Kiedy nikt nie odpowiadał na moje pukanie, wystraszyłem się, że coś się stało. Przez chwilę nadsłuchiwałem i zdawało mi się, że coś czy raczej ktoś poruszył się w środku. I dlatego wyjąłem swój klucz (oczywiście nie oddałem go Janocie) i otworzyłem drzwi. Janota leżał na ziemi, twarzą w kałuży krwi. Mój ojciec siedział w fotelu. Był przerażająco blady... w ręce trzymał świecznik.. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie wiedział, gdzie się znajduje. Spojrzał na mnie nieprzytomnie i powiedział: „Dlaczego wróciłeś, dlaczego?”... Nie zastanawiałem się ani sekundy dłużej. Chwyciłem go za ramię i popychając w stronę drzwi mówiłem: .,Wyjdź natychmiast, wyjdź tymi schodami na dół, rozejrzyj się, czy nikt cię nie widzi. Gdybyś kogoś spotkał, powiedz, że szukasz jakiegoś Lipowskiego albo powiedz pierwsze lepsze nazwisko, jakie ci przyjdzie do głowy. Ale raczej uważaj, żeby cię nikt nie zobaczył. Wyjdź do ogrodu, obejdź dom dookoła i uciekaj na ulicę. Prędzej...” A on zatrzymał się w progu i zapytał: „A ty?”. „Ja znam każdy kąt w tym domu, dam sobie radę, wychodź już prędzej! Uważaj, żeby cię nikt nie zobaczył”, i wypchnąłem go za drzwi. Nie wiedziałem, że trafi na główną klatkę schodową, że będzie tam siedział na ławeczce i czekał, aż go ktoś zobaczy.

Artur milczał przez dłuższą chwilę, potem zapalił kolejnego papierosa i podjął swoją opowieść.

— Straszliwie się pomyliłem. Teraz o tym wiem. ale wtedy... Nie miałem zbyt dużo czasu, żeby się zastanawiać. Zastałem mojego ojca nad trupem Janoty... Ja sam kiedyś chciałem go zabić. To było dawno. Kilka miesięcy po śmierci mojej matki... Miałem wtedy niespełna osiemnaście lat i byłem nieprzytomny z rozpaczy i nienawiści. Ojciec wywiózł mnie do Wrocławia. Któregoś dnia wsiadłem w pociąg i przyjechałem do Krakowa. Całą noc spędziłem pod domem Janoty. Patrzyłem w jego okna i przysięgałem sobie, że za chwilę wejdę do jego mieszkania i zabiję go. Nie zrobiłem

tego. Leżałem wiele godzin w trawie i płakałem... a rano wróciłem do Wrocławia. Nie porzuciłem myśli o morderstwie. Robiłem sobie wyrzuty, że byłem zbyt słaby i tchórzliwy. Postanowiłem poznać go bliżej i skorzystać z okazji. Dlatego zapisałem się na akademię i po roku przeniosłem się do Krakowa. Dlatego wybrałem pracownię Janoty. Pan pewnie nie rozumie... Dzisiaj, po pięciu latach, mnie samemu wydaje się. to niemożliwe, żeby pokierować swoim, życiem w ten sposób. Ale wtedy... Widzi pan, kiedy przyjechałem do szpitala do mojej matki... po tym wypadku... zastałem ją w straszliwym stanie. Płakała i powtarzała w kółko: „To on, to on mi to zrobił" i patrzyła na mnie, jakby postradała zmysły. Kiedy wchodziła pielęgniarka, albo lekarz, zagryzała usta i odwracała twarz. Dali jej jakiś środek uspokajający. Zasnęła. Wiedziałem, o kim mówiła. Od dłuższego czasu o wszystkim wiedziałem. Byłem o nią zazdrosny, śledziłem ją, podsłuchiwałem jej rozmowy telefoniczne...

Artur nagle podniósł głowę i rozejrzał się gniewnie, jakby dopiero teraz przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

— Dlaczego zmusza mnie pan do mówienia takich rzeczy w obecności tych ludzi... — powiedział zdławionym głosem.

— Nie zmuszałem pana do niczego — Derko patrzył na niego spokojnie.

Artur zerwał się z fotela i podszedł do okna. przez które wiewała się fala gorącego powietrza. Cisnął niedopałek papierosa w ogród i odwrócił się gwałtownie w stronę kapitana.

— Nie zabiłem Janoty. Już pięć łat temu przekonałem się, że nie potrafiłbym tego zrobić. Ale kiedy zobaczyłem mojego ojca w pracowni z zakrwawionym świecznikiem w ręce, uwierzyłem, że on mógł to zrobić. Byłem tego pewien. Zacząłem działać w pośpiechu. Tragiczne nieporozumienie polegało na tym, że on był przekonany, że ja jestem mordercą... I nie chciał ze mną rozmawiać. Zamknął się w swoim pokoju i nie dopuścił do żadnych wyjaśnień. Źle zrozumiałem jego milczenie. Sądziłem, że nie chce mówić o

swojej winie. Obydwaj pomyliliśmy się... To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat...

Artur wrócił na swoje poprzednie miejsce i znów usiadł w fotelu.

— Więc twierdzi pan, że otworzył pan drzwi swoim kluczem? — zapytał Derko po chwili milczenia.

— Tak.

— Czy to znaczy, że w zamku nie było klucza?

— Nie. Nie było.

— Może wypadł, kiedy pan usiłował otworzyć drzwi?

— Nie. Próbowałem nawet coś zobaczyć przez dziurkę od klucza. Była pusta. Pomyślałem wtedy, że Janota zaniknął pracownię i wyszedł. Ale coś się w środku poruszyło, usłyszałem jakiś szelest i wtedy zdecydowałem się otworzyć drzwi.

— Rozumiem — powiedział powoli Derko. — Dalszy ciąg jest zupełne jasny. Zmusił pan ojca do opuszczenia pracowni, nie wdając się z nim w żadne dyskusje.

— Sądziłem, że nie ma na to czasu.

— Tak... I przystąpił pan do zacierania śladów. Zabrało to panu sporo czasu, ponieważ musiał pan zachować idealną ciszę. Wytarł pan wszystkie przedmioty, których mógł dotykać pański ojciec, ułożył pan sztalugi na podłodze, obok gliniak, z którego rzekomo wypadły pędzle... powinien pan rozbić ten gliniak, no, ale nie chciał pan robić hałasu. Potem położył pan klucz na stole i wywrócił stojącą obok buteleczkę z tuszem. Chodziło o to, żeby zostawić na stole wyraźny i niedwuznaczny ślad, który miał świadczyć o tym, że oddał pan klucz od pracowni Janocie, tak jak się tego domagał. Ale widzę tu pewną nieścisłość. Przecież ślad na stole o niczym nie świadczy, skoro równocześnie zniknął klucz, który zwykle tkwił w zamku. Nie sfabrykował pan żadnego „dowodu” świadczącego na pańską korzyść. Mógł pan zamknąć pracownię drugim kluczem i zabrać go ze sobą?

— Oczywiście teraz wydaje się to bezsensowne, ale ja byłem wtedy przekonany, że tamten klucz zabrał mój ojciec. Któż by inny mógł to zrobić? Przecież nikt nie zamknął ojca

z Janotą w pracowni. Nie chciałem ściągać na siebie podejrzeń, tym bardziej że Ewa słyszała, że Janota domagał się zwrotu klucza.

— W ten sposób miał pan odciętą drogę na kuchenne schody. Musiał pan wyjść frontowymi drzwiami.

— Tak. Mogłem je po prostu zatrzasnąć za sobą.

— Oczywiście. Więc zdjął pan sandały z nóg Janoty i rozdeptał farbę, żeby do reszty zatrzeć ewentualne ślady. Sądzę, że miał pan na nogach skarpetki, żeby wycofując się z pracowni nie zostawić śladów swoich stóp?

— Tak, wyjąłem je z szuflady w pokoju Janoty.

— Wytarł pan również wszystkie klamki... W ogóle wszystkie przedmioty znajdujące się w pracowni. Ale zapomniał pan o telefonie. Po prostu nie przypuszczał pan, że ojciec korzystał z aparatu telefonicznego. Zresztą pański ojciec nigdzie nic dzwonił. Wytarł słuchawkę, a potem wziął ją do ręki. Zrobił to celowo, żeby zostawić swoje odciski palców. Wycierał różne przedmioty, żeby usunąć pańskie ślady, po czym zostawiał swoje. W mieszkaniu Janoty poza pracownią jest jeszcze jeden pokój. Znajduje się w nim drugi aparat telefoniczny, który został przez pana bardzo dokładnie „odkurzony”. Dlaczego? Po prostu, kiedy za kwadrans osiemnasta zadzwonił telefon, przyszło panu do głowy, że mógłby pan udawać Janotę i— w ten sposób zafałszować czas jego śmierci, co stworzyłoby pańskiemu ojcu alibi. Pomysł tyle fantastyczny, co i naiwny. Na wszelki wypadek zmienił pan głos. Chciał pan, żeby rozmówca mógł potem zeznać: „Miał zmieniony głos, ponieważ był zupełnie pijany”. Okazało się, że dzwoniła Monika Skrzyska. Dowiedział się pan o ikonach i o Cepelii. Po odłożeniu słuchawki natychmiast pan zadzwonił do Skrzyskiej, żeby się upewnić, że to była ona. Wtedy postanowił pan zabrać ikony. Podejrzana razem z motywem sama pchała się w pańskie ręce. Ale zabranie ikon nic panu nie dawało. Trzeba było w jakiś sposób oddać je Skrzyskiej i zwrócić na nią naszą uwagę. Dlatego opowiedział mi pan ojej rzekomych telefonach do Janoty, wspomniał pan o jakichś obrazach i o

„sprawie kryminalnej”, w którą Janota był przez nią wmieszany. Potem posłużył się pan Stefciem.

— To okropne — przerwała Serczyńska.

Artur wzruszył ramionami.

— Tak, to prawda. Tak było. W pierwszej chwili nie wiedziałem, o co jej chodzi. Poszedłem jeszcze raz do pracowni i bardzo uważnie obejrzałem sobie te ikony. Wtedy dopiero zrozumiałem, o czym ona mówiła. Wrzuciłem je do worka turystycznego, który znalazłem na dnie szafy. Jednak bardzo długo bałem się wyjść z mieszkania. Jak pan słusznie zauważył, miałem odcięty odwrót przez „kuchenne wrota”. A po głównej klatce schodowej kręciło się zbyt dużo łudzi. Wiedziałem, że to jest dzień przyjęć doktora Serczyńskiego. Czekałem. Wszystko dokładnie przemyślałem. Tak mi się wtedy zdawało. Czekałem,, aż się ściemni. Wyszedłem z mieszkania dopiero o dziesiątej wieczorem, ponieważ słyszałem, że u doktorostwa są goście. Bałem się, że mogę kogoś spotkać na schodach. Może się pan oburzać, że chciałem rzucić podejrzenie na niewinne osoby. Ale takie znowu niewinne to one nie były... Poza tym stało mi się to zupełnie obojętne... Chodziło mi wyłącznie o mojego starego. Nie jest pan, kapitanie, wzruszony rozmiarami miłości synowskiej? — dodał z ironicznym uśmieszkiem.

— Wcale nie pomógł pan ojcu. Przeciwnie, zaciemnił pan całą sprawę i nie jestem, pewien, czy powodowały panem wyłącznie synowskie uczucia.

— Ależ zapewniam pana, że jestem do nich zdolny.

— Zataił pan pewne fakty, które mogłyby nas naprowadzić na kogoś innego.

Artur zawahał się tylko przez chwilę.

— Byłem wtedy przekonany, że sprawcą jest mój ojciec. Dopiero teraz zaczynam brać pod uwagę inne możliwości — powiedział powoli, wpatrując się w kapitana. — Chciałbym, żeby się wreszcie cała rzecz wyjaśniła i żeby mój stary wrócił do domu.

— Dobrze. Więc kończmy. Od jak dawna pośredniczy pan w handlu lekami?

Artur znowu się zawahał.
— Nic wiem, o czym pan mówi.
— Widzi pan, przed domem stoi wóz milicyjny. Czeka w nim Danuta Lipowska. Chciałbym jej zaoszczędzić tej przykrej rozmowy, ale jeśli to będzie konieczne... poproszę ją tutaj.
— Ach tak?...
— Kim jest ta Danuta Lipowska? — zapytał nagle doktor Serczyński.
— Dziewczyną, której pan Kostera sprzedawał leki. Nie muszę panu tłumaczyć, doktorze, jakie to były leki. Na pewno w swojej praktyce zetknął się pan z takim zjawiskiem jak „toksykomanią" i wie pan, że niektórzy młodzi ludzie fabrykują „piguły", w skład których wchodzą bardzo różne środki farmakologiczne, od środków, przeciwbólowych i uspokajających aż po ostre leki psychotropowe. Pani Danuta Lipowska miesiąc temu wyszła ze szpitala psychiatrycznego, do którego trafiła w stanie ostrego zatrucia z objawami epilepsji polekowej.
— To potworne — odezwała się znowu pani Hanka, ale jej mąż spojrzał na nią niecierpliwie.
— I co to ma wspólnego z... całą sprawą?... — zapytał niepewnie.
— Bardzo wiele. Artur Kostera dostawał środki odurzające od pańskiego syna.
— Jak to? To przecież niemożliwe!
— To nieprawda! — powiedział prawie równocześnie Stefcio.
— Wyłowiliśmy w krakowskich aptekach recepty z pańską pieczątką, doktorze. Są sfałszowane przez pańskiego syna, który od dłuższego czasu prowadził „interes" na dużą skalę. Ma swoich chłopaków, którzy realizują recepty; i zabawiają się w domorosłych farmakologów. Sprzedażą zajmował się Michał Kowalski, którego już aresztowaliśmy. Stefan uznał, że akademia może być dobrym „rynkiem zbytu", dlatego zaproponował Arturowi rozprowadzanie „prochów" na uczelni. Komu pan jeszcze sprzedawał leki?

— Na akademii już nikomu — powiedział Artur z ociąganiem. — Wystraszyłem się trochę wypadku Danki Lipowskiej. Tym bardziej że jej chłopak...

— Tak, wiem. Nie wdawał się w długie dyskusje.

— Przez jakiś czas w ogóle nie chciałem się w to bawić. Ale od kilku miesięcy.., Stefan się do mnie przyczepił. Łaził za mną... Wziąłem od niego kilka razy towar i sprzedałem wśród kumpli. Ale już nie na akademii.

— Panie kapitanie — Serczyński był śmiertelnie blady. — Czy jest pan pewien... czy na pewno to są moje recepty?...

— Tak, Nie ulega wątpliwości, jak również i to, że pański syn je fałszował.

— Nie, nie... Ja tylko kilka razy dałem Arturowi...

— Powiedziałem ci już, że mamy Michała Kowalskiego. Rozpoznała go pani magister Wilska, która pracuje w aptece przy linii AB. Natomiast aptekarz z Rakowie rozpoznał Ryszarda Łaskiego, który dnia dwudziestego dziewiątego zrealizował u niego receptę z pieczątką doktora Serczyńskiego.

— Ryszarda?..., Nie znam takiego...

— Znasz, bardzo dobrze go znasz.

— Nie wiem, o czym pan mówi, nie wiem, o czym pan mówi... — Stefcio zająknął się i umilkł.

— Widzisz?! Mówiłam ci, żebyś go oddał babci! — pani Serczyńska zacisnęła ręce na poręczach fotela. — Prosiłam cię, żebyś go oddał. Ja nie chcę mieć z tym wszystkim nic wspólnego — zaczęła płakać.

Kapitan przyglądał się jej przez chwilę z wyraźnym niesmakiem, potem zwrócił się w stronę doktora Serczyńskiego.

— Panie doktorze, czy ogląda pan regularnie dziennik telewizyjny?

— Raczej tak... — Serzczyński był zaskoczony.

— Może przypomina pan sobie list gończy, który ogłoszono po dzienniku trzeciego czerwca. To był poniedziałek.

— List gończy. Może... Nie wiem...

— Dotyczył młodego mężczyzny, który podczas bójki wepchnął swojego kumpla pod pociąg na przejeździe kolejowym na Rakowicach. We wtorek powtórzono ten komunikat dwukrotnie.

— Tak, przypominam sobie... było coś takiego...

— Wypadek miał miejsce dwudziestego dziewiątego maja. Niedaleko apteki, o której mówiliśmy przed chwilą. Poszukiwany nazywa się Ryszard Łaski. Uciekł z miejsca wypadku, ale są świadkowie, którzy mogą go zidentyfikować.

Artur westchnął głośno i sięgnął po packę papierosów. Była pusta. Zmiął ją i rzucił przed siebie.

— Ryszard Łaski — powtórzył głośno kapitan. — To jego zobaczył Stefan w telewizji. Był zaskoczony. Na dragi dzień spotkał Artura przed domem. „Nigdy bym się tego nie spodziewał, że go nagle zobaczę w telewizji” — powiedział. Co mu pan wtedy doradził? — Derko zwrócił się do Artura.

— Żeby siedział cicho i odprawiał nowennę, żeby nie znaleziono tego typa.

— Artur! — krzyknął Stefcio. — Dlaczego to mówisz! Nieprawda! Nie znam żadnego Ryszarda Łaskiego!

— Synku, skończyła się zabawa. — Artur rozejrzał siej po pokoju, potem wstał i podszedł do stołu, na którym leżały czyjeś papierosy. Bez słowa wyciągnął jednego i zapalił. — Powiedziałem przed chwilą, że chcę, żeby się to wszystko nareszcie wyjaśniło. Pan kapitan nie uwierzył mi, aleja naprawdę tego chcę. Byłem skończonym idiotą sądząc, że to mój stary zabił Janotę. Teraz widzę, że on nie miał z tym nic wspólnego. Nie mam zamiaru nikogo kryć, bez względu na konsekwencje.

— On kłamie... — powiedział Stefcio. — On znowu kłamie...

— Znałeś Łaskiego! Należał do twojej paczki. Twoi chłopcy, jak ich nazywałeś, dawno przestali być twoimi. To raczej ty byłeś ich chłopaczkiem, z którego ciągnęli zyski. Dostawałeś byle co i bałeś się ich jak ognia, chociaż się do tego niechętnie przyznawałeś. Al Capone dla ubogich! Szczeniak po prostu. Łaski realizował twoje recepty. Od

pewnego czasu kręcił się koło niego jakiś jego kumpel, który wywęszył interes. Ale nie chciano go przyjąć do ferajny. Tego dnia deptał Łaskiemu po piętach. Pojechał za nim na Rakowice. W drodze powrotnej przyparł go do muru. Zaczął go szantażować. Doszło między nimi do bójki i Łaski pchnął tamtego pod pociąg. Łaskiemu udało się uciec. Wieczorem trzydziestego maja przyszedł do tego domu. Wszedł wejściem od ogrodu, zapukał do kuchni i wywołał Stefcia. Sytuacja była krytyczna, Tym bardziej, że Łaski odgrażał się, że sypnie Stefana. Nasz dzielny Al Capone stracił głowę.

I wtedy zaczęła działać Marianna, która od pewnego czasu miała na Stefcia oko. Przyłapała go na podrabianiu recept. Nie znała całego towarzystwa. Oczywiście swoją wściekłość wyładowała na mnie. Chciała się mnie pozbyć, ponieważ wydawało jej się, że to ja jestem „złym duchem" Stefcia. Sądzę, że to ona napisała ten anonim do mojego ojca, chcąc go zmusić, żeby mnie zabrał, nawet siłą, z powrotem do Wrocławia. Ale wracając do Łaskiego... Marianna przez jeden dzień przechowywała go w swoim pokoju. I wtedy zobaczył go Janota. Po prostu rano spotkał go na schodach. Ten idiota wylazł na korytarz akurat wtedy, kiedy Janota schodził schodami na dół. Speszył się, odwrócił się na pięcie i wszedł z powrotem do pokoju Marianny, co bardzo zdziwiło Janotę. Następnej nocy Marianna wyprawiła go do swojej rodziny na wieś. Pewnie tam jeszcze siedzi, ukryty gdzieś w jakiejś zapadłej dziurze na Podhalu. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że w niedzielę miałem koszmarną awanturę z Janotą. Po prostu Stefan wpakował mi paczkę przyniesioną przez Łaskiego. Powiedziałem mu, że w tej sytuacji niech nie liczy na to, że mu coś sprzedam. Ale paczkę wrzuciłem do mojej kasety z farbami, którą zostawiałem stale, u Janoty w pracowni. No i mój kochany mistrz i nauczyciel zajrzał do mojej, kasety. Chciał sobie pożyczyć cynober, czyja wiem zresztą co? Kiedy do niego przyszedłem w niedzielę, rozpętało się istne piekło. Prawie płakałem i przysięgałem, że to pierwszy i ostatni raz... i takie tam bzdury. Był jednak nadal w stosunku do mnie nieufny.

Mógłbym go zresztą czarować w nieskończoność, ale w kasecie były również dwie recepty z pieczątką doktora Serczyńskiego. Widzi pan, kapitanie — Artur spojrzał na Derkę zaczepnie — mógłbym tego nie powiedzieć, ale...— machnął ręką— Janota jeszcze nadal „bił się z myślami”, co robić. Nie chciał mnie wykończyć, nie chciał szkodzić doktorowi Serczyńskiemu, ale z drugiej strony sprawa nic dawała mu spokoju. Przypomniał sobie nawet Dankę. Ale mu przysięgałem, że to nie ma nic wspólnego ze mną.

Stary był zupełnie rozhisteryzowany. Widziałem, że od pewnego czasu coś się z nim dzieje. Teraz myślę, że przyczyną były ikony, w które dal się wrobić. Stary idiota! Mnie prawił kazania umoralniające, a sam!... Zresztą nieważne. We wtorek czwartego czerwca powtórzono w dzienniku wieczornym komunikat o poszukiwaniu Łaskiego. Janota oglądał tego dnia telewizję (co mu się raczej rzadko zdarzało) i poznał Łaskiego. Kiedy do niego przyszedłem w środę, wyglądał okropnie. Pomyślałem nawet, że jest chory. Już od trzech dni odgrażał się, ze mnie nie chce znać, że nie chce mieć ze mną nic do czynienia. Nie zależało mi na nim, ale starałem się rzecz jakoś zaklajstrować, ponieważ balem się, że zacznie gdzieś bębnić o tych receptach. Wcale mi się nie uśmiechało tak głupio wpaść. Więc chociaż poprzedniego dnia wyrzucił mnie za drzwi, przyszedłem w środę znowu. Trochę zły, trochę z nim skłócony, ale sądziłem, że się jednak jakoś dogadamy. Przy Ewie zażądał zwrotu klucza i znowu zaczął mnie wypraszać za drzwi. Po jej wyjściu powiedział mi, że przemyślał całą sprawę. Kategorycznie oświadczył, ze wieczorem porozmawia z doktorem Serczyńskim, a poza tym da znać na milicję, że widział Łaskiego kilka dni temu, jak wchodził do pokoju Marianny.

Byłem wściekły. Ale pomyślałem, że właściwie nie znam nawet Łaskiego i nie miałem ze śmiercią tamtego chłopaka nic wspólnego. Sądziłem, że jakoś uda mi się wykręcić z całej afery, tym bardziej że od historii z Danka tylko kilka razy wziąłem leki do sprzedania. Postanowiłem porozmawiać ze Stefanem, żeby mnie w to wszystko nie mieszał. No i

chciałem go uprzedzić, że Janota widział Łaskiego. Zbiegłem na dół i wszedłem przez kuchnię do mieszkania Serczyńskich. Stefcia nie było w domu. Nie wiedziałem, że w tym czasie leżał sobie spokojnie na górnym tarasie. Wróciłem do kuchni i wpadłem prosto na Mariannę. Spytałem o Stefcia, a ona z ponurą miną powiedziała, że nie ma go w domu i żebym się wreszcie od nieco odczepił. Wtedy jej powiedziałem wszystko o Janocie, że poznał Łaskiego, że będzie rozmawiał z doktorem, i że prawdopodobnie da znać na milicję. Nic wiedziałem, że Janota ma powody, żeby unikać kontaktu z milicją. Tym bardziej że był mięczakiem i skończonym tchórzem. Ale wtedy jeszcze nie wiedziałem o ikonach. Kazałem Mariannie powtórzyć Stefanowi, żeby do mnie koniecznie zadzwonił. Ona patrzyła na mnie z taką nienawiścią, jakbym to ja był wszystkiemu winien. „Pamiętaj, że jak powiesz komuś choć jedno słowo o tych lekarstwach, to Stefcio nie będzie ukrywał, że i ty miałeś w tym swój udział" — powiedziała. „Trzymaj język za zębami i nie pokazuj się tu więcej". „Będę tu przychodził tak często, jak mi się będzie podobało — odpowiedziałem. — A dla mnie powinna być pani szczególnie miła, bo tylko ja mogę nakłonić Janotę do milczenia...

Artur raptem przerwał swoją opowieść, jakby mu nagle przyszło coś nowego do głowy.

— Ale okazało sic, ze ktoś inny zrobił to o wiele skuteczniej... — dodał po chwili patrząc na Stefana.

— Nie! Nie! Nie zrobiłem tego! — Stefcio zaczął histerycznie krzyczeć, wyciągając rękę przed siebie, jakby chciał przez ścianę wskazać kogoś, kto tam jest i czeka na jego znak. — To ona! Ona to zrobiła! Ja o niczym nie wiem! Leżałem na tarasie i o niczym nie wiedziałem!

Ona to zrobiła.

— Stefan... — powiedział cicho doktor Serczyński. Kapitan Derko spojrzał na porucznika Bartkowskiego i bez słowa skinął głową. Bartkowski wstał i wyszedł z pokoju. Po chwili wprowadził Mariannę Korneluk, która zatrzymała się tuż za progiem i obrzuciwszy wszystkich krótkim, pogardliwym

spojrzeniem odwróciła swoją ciężką, ponurą twarz w stronę kapitana. Stefan płakał.

— Przez nią... przez nią to wszystko się stało — mówił przerywanym głosem. — Gdyby pilnowała swoich garów i nie mieszała się w cudze sprawy, nigdy by do tego nie doszło... Dlaczego ja mam przez nią cierpieć! Kto jej kazał wtrącać się... Ona go zabiła! No, powiedz wreszcie, że ja tego nie zrobiłem! — krzyknął z naglą pasją.

Marianna tylko przez ułamek sekundy zatrzymała na nim swoje ciężkie spojrzenie, potem powiedziała, patrząc przed siebie:

— Tak. Ja zabiłam Janotę. Chciałam go ratować — lekkim, prawie niedostrzegalnym skinieniem głowy wskazała Stefcia. — Ale chyba nie było warto. Chyba nie warto...

## 22.VI. sobota

— Więc jednak wyszła z tego chustka? — zdziwił się Marcin przyglądając się Karolinie, która rozpostarła swoją wielobarwną dziergotę na tapczanie. — Ale czy nie uważasz, że jest zbyt kolorowa jak dla ciebie?

— A kto ci powiedział, że ja będę chodziła w tej chustce?

— Przecież nie masz zamiaru mnie przystroić w coś takiego?

— Nie rób z siebie większego durnia, niż jesteś naprawdę!

— Dobrze, dobrze! Poddaję się! Powiedz, dla kogo ma być to cudo? Czyżby dla Ewy?

— A dlaczego by nie? — Karolina spojrzała na zegarek. — O której ona przyjdzie? O. ósmej?

— Chyba tak.

— Chyba! Znowu udajesz, że cię to wcale nie interesuje?

— Uważasz, że powinno mnie to interesować?

Karolina wzruszyła niecierpliwie ramionami. Zapaliła klubowego i usiadła w fotelu,, co wykorzystała natychmiast Kika, sądowne się na jej kolanach.

— Wiesz, nie mogę przestać myśleć o Mariannie —

powiedziała babcia z pewnym ociąganiem. — Czy ona przypadkiem nie osłania Stefana?

— Nie! — Marcin spojrzał na nią ze zdziwieniem. — Wydawało mi się, że ty ją od dawna podejrzewałaś?

— Tak... To prawda, ale jednak niechętnie uwierzyłam w jej winę... Więc jak to było? To ona ukrywała się na stryszku?

— Tak, po rozmowie z Arturem Marianna wpadła w popłoch. W pierwszej chwili chciała uprzedzić Stefcia, ale jednak się rozmyśliła. Postanowiła porozmawiać jeszcze z Janotą i zmusić go w jakiś sposób do milczenia. Ale kiedy wyszła na schody, usłyszała głosy dochodzące z pracowni. U Janoty był już Golski. Wróciła więc do kuchni, Wzięła klucz i weszła na pierwsze piętro. Otworzyła stryszek, żeby zabezpieczyć sobie szybki odwrót. I rzeczywiście, kiedy usłyszała, że Golski wychodzi, zdążyła jeszcze się schować, nie zamknęła jednak drzwi za sobą. Może zresztą zrobiła to celowo, żeby móc przez szparę obserwować osobę wychodzącą z pracowni. Potem w czasie pierwszego przesłuchania nawet nie wspomniała o kłótni między Janotą a Golskim. Wiedziała już od Serczyńskiego, że ją wyręczył w swoich zeznaniach, wołała więc pozostać zupełnie na uboczu....

— Czy aresztowaliście tego Ryszarda Łaskiego?

— Oczywiście. Ukrywał się w starej leśniczówce u krewniaków Marianny. Gdzieś koło Wólki Podhalańskiej... Babciu, dajmy już temu spokój... Ta sprawa już się dla nas skończyła, to znaczy dla mnie jeszcze niezupełnie. Przez wiele tygodni będą się ciągnęły przesłuchania, konfrontacje, analizy, ekspertyzy...

— Elektrolizy!

— Właśnie — Marcin roześmiał się. — Wszystkie te „izy”, których tak nie lubisz. Zapomnijmy już o Mariannie, Stefciu, Arturze i całej tej kompanii.

Marcin rozłożył na stoliku szachownicę i zaczął na niej ustawiać pionki.

— Chyba nie masz zamiaru spędzić ostatniego wieczoru z Ewą nad szachownicą! — oburzyła się Karolina.

— Dlaczego nie? Ona zupełnie dobrze gra... jak na dziewczynę.

— Jesteś skończonym durniem!... Jak na chłopaka! — Karolina zerwała się energicznie z fotela i skierowała się w stronę kuchni. Zatrzymała się jednak w progu i odwróciła do zaskoczonego wnuka. — Ale jutro odprowadzisz ją na dworzec!

— Dobrze... Jeżeli ci na tym zależy... — powiedział, patrząc na nią z niekłamanym zdziwieniem.




Zamknęła drzwi na klucz i szybko wskoczyła do łóżka, naciągając koc na głowę.

Obudziła się w środku nocy. Znowu burza krążyła gdzieś blisko nad miastem. Zdawało jej się, że ktoś chodzi po korytarzu. Wstrzymała oddech. Ktoś zatrzymał się pod jej drzwiami. Chyba klamka się poruszyła...

Ewa zaświeciła lampkę nocną. Cisza... Siedziała skulona pod kocem i trzęsła się jak galareta. Niewyraźny szelest i znowu cisza...

Przysunęła stół do drzwi. Na wierzch położyła dwa krzesła i wszystko, co jej wpadło w ręce. Potem siedziała znowu w łóżku, owinięta kocem, i wpatrywała się w błyszczącą, nieruchomą klamkę...

Cena zł [illegible].—

